KURS NA BOJKOT SIĘ ZAŁAMAŁ. WYBORY SIĘ ODBĘDĄ!

ARCYBISKUP GEORGE PELL UNIEWINNIONY. KTO GO WROBIŁ?

NIEZWYKŁE EKSPONATY MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU

DODATEK

SIECI

JAK DZIAŁA CENTRUM WŁADZY

RAPORT ZZA KULIS

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 17 (386) 2020
20–26 kwietnia 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SKĄD SIĘ WZIĘŁA TA ZARAZA?

BROŃ BIOLOGICZNA CZY WYBRYK NATURY

CHINY PRZEZ WIELE TYGODNI UKRYWAŁY PRZED ŚWIATEM INFORMACJE O KORONAWIRUSIE.

DLATEGO WIELU NIE WIERZY W OFICJALNĄ WERSJĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 7cf024e5c7

ZAMÓW SIECI
DLA SWOICH BLISKICH

ZOSTAŃCIE W DOMACH
I CZYTAJCIE SWÓJ ULUBIONY TYGODNIK

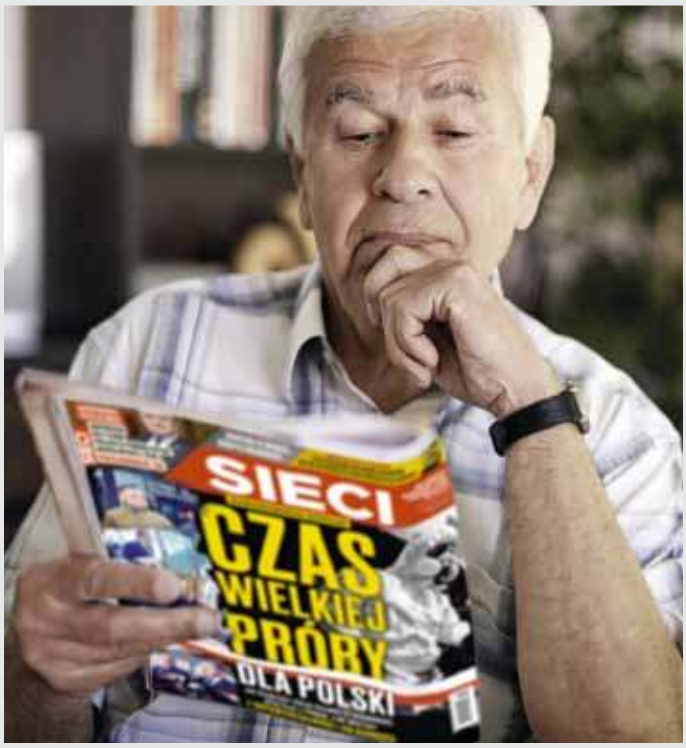

PRENUMERATA

- **do 30% taniej! Tylko 75 zł** za 3 miesiące
- tygodnik trafia **wprost do skrzynki**
- jest **bezpiecznie zafoliowany**

ZAMÓW NA:

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

E-PRENUMERATA

- **do 70% taniej!** Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na **komputerze, smartfonie, tablecie**
- **w prezencie** dostęp do magazynu **wSieci Historii**

ZAMÓW NA:

www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 7cf024e5c7

Gra o podwójnej stawce

Sondaże – w tym te realizowane przez pracownię Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl – zgodnie wskazują na polityczną dominację Prawa i Sprawiedliwości oraz bardzo wyraźne prowadzenie Andrzeja Dudy w wyścigu prezydenckim. Według niektórych badań wybory głowy państwa mogą zostać rozstrzygnięte nawet w pierwszej turze. Trzeba jednak pamiętać, że są to wyniki zaburzone za sprawą niepewności co do terminu wyborów oraz niską frekwencją, która z kolei jest wynikiem świadomej strategii opozycji, straszącej Polaków wizją zagrożenia życia i zdrowia. Czy jest to jednak taki rodzaj zaburzenia, który czyni sondażowy obraz zupełnie fałszywym? Raczej nie.

Autopromocja

PiS nigdy nie zeszło poniżej przyzwoitego poziomu poparcia, a w trakcie epidemii w oczywisty sposób zyskało sporo punktów. Nie tylko dlatego, że w trakcie zagrożenia społeczeństwa skupiają się wokół władzy, lecz również z tego powodu, że opozycja zaprezentowała po prostu żenujący spektakl najtańszego populizmu, szarpania za nogawki, krzyków i wygłupów. Można odnieść wrażenie, że gromadzona latami frustracja oraz kiepska jakość politycznych przywódców, połączone z nadzieją na szybki sukces, odebrały im zdolność wyczuwania realnych nastrojów i oczekiwań społecznych. Uznano, że poparcie dla władzy bierze się wyłącznie z programów socjalnych i koniunktury gospodarczej oraz że wystarczą kłopoty i parę decybeli, by karta się odwróciła. Teraz liderzy – głównie spod znaku Koalicji Obywatelskiej – przekonają się, że przyczyn sukcesu PiS jest więcej i że jest to sukces znacznie bardziej odporny na wstrząsy, niż sądzą eksperci „Gazety Wyborczej".

W tle mamy rzecz jeszcze ważniejszą: przełamanie w sprawie wyborów. Idea bojkotu nie tylko upadła, lecz okazała się bardzo kosztowna dla Platformy, która płaci za ten pomysł dramatycznym spadkiem poparcia dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Dziś to Władysław Kosiniak-Kamysz wyrasta na głównego kandydata opozycji. Partia Borysa Budki może stracić także swoją pozycję hegemona po stronie antypisu. I PSL, i Lewica coraz mniej chętnie podporządkowują się woli największego ugrupowania, a nawet zaczynają kąsać. Za parę miesięcy scena polityczna po stronie opozycyjnej może wyglądać zupełnie inaczej.

Jeśli Zjednoczona Prawica utrzyma jedność i jeśli epidemia nie wymknie się spod kontroli, korespondencyjne wybory odbędą się w maju. Będzie to duży sukces Jarosława Kaczyńskiego, który znów zdołał przełamać coś, co wydawało się polityczną grawitacją. Same wybory też mogą się okazać sukcesem, również frekwencyjnym, o ile zostaną perfekcyjnie przygotowane, a Polacy dostaną rzetelną informację o procesie głosowania. To gra, w której stawki są podwójne, a może i potrójne, zarówno gdy chodzi o koszty ewentualnych wpadek, jak i premię za determinację oraz sprawność.

Polska potrzebuje stabilnej, zgodnie działającej ekipy rządzącej, bo czekają nas ciężkie czasy. Gospodarka – i polska, i europejska – zapłaci wysoką cenę za trwające zamrożenie wielu dziedzin życia. To będzie także wyścig o to, kto ten kryzys najszybciej pokona i kto najlepiej wykorzysta pojawiające się szanse. Jeśli Polska będzie miała u steru sprawną drużynę, jeśli nie będzie się bała również śmiałych rozwiązań, nasze marzenie o dogonieniu Zachodu może się okazać wciąż żywe, a kto wie, czy nie realniejsze niż wcześniej. Ale by choć spróbować, trzeba przeprowadzić szybko wybory. I musi je oczywiście wygrać kandydat gwarantujący kontynuację dobrej zmiany, czego nawet przy tych obiecujących sondażach nie można uważać za pewnik.

Jacek Karnowski

sa.pl 7cf024e5c7

SIECI spis treści

30 *Z prof. Norbertem Maliszewskim rozmawia Michał Karnowski*

45 Edukacja na zakręcie *Małgorzata Żaryn*

63 Niezwykłe eksponaty Muzeum II Wojny Światowej *cz. 2*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **RDZA NA TEFLONIE**
Krzysztof Feusette

9 **KIEDYŚ PÓJDĘ NA LODY**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ODMROZIĆ GOSPODARKĘ I KABARET!**
Jan Pietrzak

13 **UNIA KONTRATAKUJE**
Bronisław Wildstein

14 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY – JAROSŁAW JAKIMOWICZ**
Michał Korsun

15 **BROŃ SWOICH OWIECZEK**
Dominik Zdort

16 **ŚWIĘCONKA OLEJNIK**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WIELKA SUSZA?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

20 **TWÓR NATURY CZY BROŃ BIOLOGICZNA**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

25 **TRYB AWARYJNY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

30 **Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

34 **NIEUFNI I ZADUFANI**
Stanisław Janecki

36 **LOT BEZ CONDORA**
Konrad Kołodziejski

PANDEMIA KORONAWIRUSA

39 **Z PROF. MARKIEM FIGLEROWICZEM**
rozmawia Marcin Fijołek

42 **STACJA „TERAZ, TU"**
Dorota Łosiewicz

45 **EDUKACJA NA ZAKRĘCIE**
Małgorzata Żaryn

48 **MAMY 500 LITRÓW PŁYNU DO DEZYNFEKCJI, WIĘC LIGA MOŻE GRAĆ**
Marek Budzisz

ŚWIAT

50 **CO WOLNO WOJEWODZIE**
Aleksandra Rybińska

52 **NOWA SPRAWA DREYFUSA**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

55 **OD FASOLEK DO „SALI SAMOBÓJCÓW"**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **POLECA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

60 **WSZYSCY JESTEŚMY OFIARAMI KATYNIA**
Maria Szonert-Binienda

63 **EKSPONATY MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ**
Dodatek specjalny

GOSPODARKA

67 **TECHNOLOGIE**
Paweł Gadaczek

68 **OPEC PLUS, CZYLI NAFTOWY TRAKTAT BRZESKI**
Jan Rokita

PODRÓŻE

74 **MOJE SMAKI: JABŁKO NA DOBRY POCZĄTEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 **NALEŻY CZEKAĆ**
Wojciech Reszczyński

77 **LENINÓW NAM TRZEBA**
Wiktor Świetlik

78 **CZEKAMY**
Aleksander Nalaskowski

79 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

80 **ROZŁAM KONTROLOWANY**
Ryszard Makowski

81 **POETA DALEJ ŚPIEWA**
Leszek Długosz

82 **CZEGO NIE WIDAĆ Z LOTU PTAKA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 62/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

Połącz się z dedykowaną infolinią:

22 484 84 84
732 122 500

Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora

KPRM

Tarcza antykryzysowa

Chroni przedsiębiorców i miejsca pracy!

Tarcza antykryzysowa już działa!

15 kwietnia ZUS wypłacił pierwsze świadczenia postojowe.
Na konta **86 tysięcy przedsiębiorców** wpłynęło ponad **172 mln złotych.**

Świadczenie postojowe dla prowadzących działalność gospodarczą

Świadczenie postojowe jest zwolnione z podatku dochodowego i nie jest oskładkowane.

Dla kogo?

- Rozpocząłeś prowadzenie działalności gospodarczej przed 1 lutego 2020 r.
- Twój przychód był o co najmniej 15% niższy lub zawiesiłeś prowadzenie działalności po 31 stycznia 2020 r.
- Twój przychód w miesiącu poprzedzającym złożenie wniosku o świadczenie nie przekraczał limitu (300% przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia).
- Nie masz innego tytułu do ubezpieczeń społecznych (np. umowy o pracę).

Kiedy można złożyć wniosek?

- Najpóźniej w terminie 3 miesięcy od miesiąca, w którym został zniesiony stan epidemii.

Jak złożyć wniosek?

- **Drogą elektroniczną przez PUE ZUS.**
- Za pośrednictwem poczty.
- Osobiście w placówce ZUS – do skrzynki na dokumenty.

Czy wiesz, że...

Do 15 kwietnia do ZUS wpłynęło 783 tysiące wniosków, w tym:

542 096
zwolnień z obowiązku opłacenia należności z tytułu składek za marzec - maj 2020 r.

138 027
świadczeń postojowych dla osób prowadzących działalność gospodarczą

66 212
pożyczek dla mikroprzedsiębiorców

12 001
świadczeń postojowych dla umów cywilnoprawnych

15 688
odroczeń składek ZUS bez opłat

9673
wniosków o wsparcie na ochronę miejsc pracy

Sprawdź jak Tarcza Antykryzysowa może pomóc Tobie: **gov.pl/tarczaantykryzysowa**

KPRM Tarcza Antykryzysowa

eprasa.pl 7cf024e5c7

Sygnalista nadaje

„Ktoś musi walczyć i tej hydrze urwać łeb, powiedzieć PiS-owi: »Nie wygracie tych wyborów«. Trzeba zagłosować, wysłać kartkę i po prostu wygrać. Nie odpuścimy" – stwierdził lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Styl nie najlepszy, ale komunikat czytelny: o bojkocie wyborów nie ma mowy. Pomysł Platformy na ucieczkę od klęski nie wypalił. Znów się potwierdziło, że w polityce wola jest (prawie) wszystkim.

Również ludowcy ani myślą rezygnować. „Nasz kandydat na pewno nie zejdzie z placu boju" – ogłosił Krzysztof Hetman z PSL. I naszkicował plan: „Jest szansa, żeby 10 maja doprowadzić do sytuacji, w której odbędzie się druga tura, do której – jestem przekonany – wejdzie Władysław Kosiniak-Kamysz". Tak, to możliwe. Taki był zresztą plan wielu środowisk z różnych stron sceny politycznej. I kto wie, czy właśnie dlatego nie wysłano do boju kogoś tak słabego jak Kidawa-Błońska?

Małgorzata Kidawa-Błońska poinformowała Polaków, że historia jej rodziny jest długa i kręta: „Mojego ojca zawsze śmieszyło, że nasi krewni walczyli po jednej i po drugiej stronie bitwy pod Grunwaldem. Tata to odkrył". Piękna historia, ale co w niej śmiesznego? Grunwald śmieszy tylko ludzi niedouczonych.

Zdaniem *Aleksandra Kwaśniewskiego* opozycja powinna zrezygnować z bojkotu i pójść do wyborów z jednym kandydatem, właśnie Kosiniakiem-Kamyszem. Co na to Kidawa-Błońska? „Panowie nie widzą kobiety jako prezydenta" – stwierdziła. Co sądzi o spadającym poparciu dla swojej kandydatury? „Nie zaskakuje mnie to, bo spodziewałam się, że jeśli się nie prowadzi kampanii, to musi tak wyglądać". Czy zrezygnuje? „Nie widzę powodów, aby rezygnować". W sumie ten upór w tej nierównej walce może nawet imponować.

„Gazeta Wyborcza" wydała oświadczenie. „Główny serwis informacyjny telewizji państwowej prowadzi nagonkę na stację TVN i jej dziennikarzy. Powód? TVN ośmieliła się zakwestionować etyczny wymiar cmentarnego rajdu prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego z 10 kwietnia 2020 r. […] »Gazeta Wyborcza« protestuje przeciw tym obrzydliwym atakom i solidaryzuje się dziennikarzami TVN". To już dyktatura. W prawdziwej demokracji to TVN prowadzi nagonki, a nie jest obiektem krytyki.

Co ciekawe, rośnie deklarowana frekwencja. W najnowszym badaniu pracowni Social Changes gotowość wzięcia udziału w wyborach prezydenckich „w najbliższą niedzielę" zadeklarowało 36 proc. badanych. tydzień wcześniej było to 29 proc. Teraz wszystko zależy od akcji informacyjnej w sprawie głosowania korespondencyjnego i konkretnych, technicznych przygotowań (karty, skrzynki pocztowe, odbiór i liczenie głosów). Szansa jest.

Aktor Maciej Stuhr: „Poziom absurdu i zapalczywy pęd władzy do utrzymania jej i zagarnięcia każdego rodzaju rzeczywistości doprowadza mnie do przekonania: »niech oni się w tym babrzą, jak chcą«, a nawet – choć jeszcze miesiąc temu nie sądziłem, że coś takiego powiem – niech Andrzej Duda wygra te wybory. Niech wezmą pełną odpowiedzialność za kraj, za stan, w jakim on się znajdzie za pół roku, za rok". OK, nie ma sprawy.

Maciej Stuhr napisał też doktorat. Ze streszczenia pracy wynika, że jest to dzieło opisujące życie i dokonania Macieja Stuhra. Stuhr opisuje swoje dzieciństwo i młodość, opowiada o swoich spotkaniach z ważnymi twórcami, a także prezentuje „swój pomysł na dydaktykę". Pomysł doskonały. Spotkanie

eprasa.pl 7cf024e5c7

z jakąś inną dziedziną niż Maciej Stuhr mogłoby poszerzyć aktorowi horyzonty, a to z kolei groziłoby zawaleniem się tej uroczo prościutkiej wizji świata.

Z wyborami walczy także Olga Tokarczuk. „I pójdziemy jak barany do wyborów? Albo wyślemy na front swoich listonoszy?" – pyta dramatycznie noblistka. Stawia także rzeczywiście ważne pytania: „Dopiero teraz dowiemy się, czy państwowe instytucje są wydolne, dobrze zarządzane, czy mają pomysł na walkę z wirusem i potrafią twórczo poradzić sobie z kryzysową sytuacją". Ciekawe, co powie, jeśli się okaże, że jednak państwo daje radę. Czy skoryguje choć trochę swoje wypowiedzi?

Nakręcanie emocji trwa. Aleksander Hall: „Zbiorowy gniew i poczucie, że władzy nie można zmienić drogą demokratycznych procedur, mogą doprowadzić do scenariusza, którego bardzo nie życzę mojej Ojczyźnie. Nie chcę, aby na ulicach miast popłynęła krew. Niestety, polityka prowadzona przez prezesa PiS niebezpiecznie ten scenariusz uprawdopodobnia". Dlatego nie chcą wyborów, w których każdy Polak dostanie do domu kartę do głosowania. Logiczne.

Nadzieje opozycji, że rząd wyłoży się na koronawirusie, już dziś wydają się mrzonką. Jak słusznie zauważył lewicowy publicysta Rafał Woś: „Polskiemu państwu można zarzucić wiele, ale akurat nie to, że zawodzi w starciu z epidemią COVID-19. Przynajmniej na razie". Dowód? Choćby statystyka. We Włoszech, Hiszpanii, Belgii czy Francji liczba śmierci wywołanych przez COVID-19 wynosi ok. 300 osób na milion mieszkańców, a w Polsce to sześć osób na milion. I tak, to jest zasługa rządu.

Prof. Radosław Markowski o Polakach: „Z naszych cyklicznych badań wynika, że Polacy nie są obywatelami wysokiej jakości. Mówię nie o kwestiach patriotyzmu, ale o takich rzeczach jak np. udział w wyborach – także gotowości do bycia wybieranym. O niskim rozumieniu dobra wspólnego i gotowości cierpliwego działania na jego rzecz. Także wiedza polityczna Polaków jest nieduża: szwankuje rozpoznawanie ludzi polityki, ale też rozumienie procedur politycznych". Za Tuska niby było to samo, albo i gorzej, ale jakoś mniej profesora bolało.

„Czy średniowieczny falsyfikat może zatrzymać pandemię?" – tak ***Radosław Sikorski*** skomentował informację o nadzwyczajnym wystawieniu Całunu Turyńskiego w związku z pandemią koronawirusa. Co ciekawe, jeszcze dwa lata temu polityk KO miał zupełnie inne zdanie w tej sprawie, pisząc w mediach społecznościowych: „W Turynie pokłoniłem się jednej z najświętszych relikwii chrześcijaństwa". Wygląda na to, że ta ekipa nawet siebie i swoich przekonań nie traktuje poważnie.

Donald Tusk konsekwentnie pracuje na opinię Internetowego trolla, którego nawet w chwili takiej próby stać jedynie na małe złośliwości i „erudycyjne" zaczepki. Teraz skomentował w takim właśnie stylu wielki transport sprzętu medycznego z Chin za pomocą samolotu Antonow 225: „Jeszcze nigdy tak wielki samolot nie dostarczył tak wiele maseczek tak nielicznym". W tym momencie należy przywołać inny cytat z Churchilla: „Gadatliwe kobiety mówią, by nic nie powiedzieć; gadatliwi mężczyźni, by nic nie robić".

Tomasz Lis się pochwalił, że „czyta właśnie dzienniki Goebbelsa". „Autor cytuje słowa Hitlera o szkodliwości jedzenia mięsa i zaletach wegetarianizmu" – zauważył. Eliza Michalik dodała: „Świetna i pouczająca lektura. Przeraża mnie to, że kochał Tołstoja. Bo i ja kocham". Trzeba przyznać, że przyznanie się do lektury Goebbelsa wymaga odwagi, zwłaszcza w przypadku niektórych dziennikarzy III RP. Choćby dlatego, że w tych pismach jest także sporo o metodach walki z Kościołem, które wcale nie odeszły wraz z III Rzeszą.

Poseł Konfederacji ***Grzegorz Braun*** zabrał głos w czasie sejmowej debaty o obywatelskim projekcie ograniczającym aborcję, i tak oto zwrócił się do posłanek Lewicy: „Szanowne panie. Kiedy was tak słucham, jestem tylko człowiekiem, nachodzi mnie ochota, żeby jakoś tak zrobić, żebyście zniknęły, ale nigdy w życiu nie głosowałbym za tym, żeby was odessać jakimś dużym odkurzaczem albo żywcem poćwiartować". Czy aby na pewno?

„Rajd" prezesa Kaczyńskiego okazał się w międzyczasie całkowicie legalnym (cmentarze nie zostały zamknięte), uzgodnionym z opiekunami nekropoli złożeniem hołdu wszystkim ofiarom tragedii smoleńskiej, niezależnie od ich barw politycznych, i w imieniu tych, którzy nie mieli tego dnia możliwości złożenia wieńców. A poza tym trzeba powiedzieć jasno: TVN nie ma moralnego prawa, by cokolwiek mówić o Smoleńsku. Mogą albo przepraszać, albo milczeć.

Fot. Mateusz Zelnik, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 7cf024e5c7

Rdza na teflonie

KRZYSZTOF FEUSETTE

Szlag by trafił. Normalnie tak jestem wnerwiony, że chyba sobie w paprotkę kopnę. Albo dajcie chociaż jakąś marynarkę, żebym mógł podłogę wytrzeć, jak mnie krew zaleje. Zwariować można w tym osamotnieniu. No, ale skąd ja mogłem wiedzieć, że to się tak potoczy? Rodzina mówiła „nie", partia mówiła „tak", ja mówiłem o obciążeniu i wszystko psu na Budkę.

Też sobie wybrali kandydatkę. Mówiłem, błagałem: dajcie jej się najpierw odezwać. Przecież jej połowa ludzi nie kojarzyła nawet wtedy, kiedy była marszałkiem Sejmu! Porcelanę rozpoznaje bez patrzenia na spód spodka i co? I nikomu nie dało to do myślenia, że jak kobieta akurat na spodkach zna się najlepiej, to może być z innej cywilizacji? Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus, a ona jest z Ursusa! Tak, wiem, obiecałem, że w kampanii pomogę. Tylko jak kurze pomóc latać? Mam jej balon nadmuchać? A kto mnie nadmucha, jak już wszyscy z nią u szyi pójdziemy na dno? Dobrze, że człowiek ma chociaż te konta w banku i na Twitterze, to się trochę w tej pandemii wyluzuje. 28 lutego: „Rząd stwierdził, że przed koronawirusem uchronić nas mogą tylko czyste ręce. PiS może tego nie przetrwać". 5 marca: „Po tym, jak okradli PCK, trudno się dziwić, że chcą zarobić na epidemii".

Dobre, co? Złodzieje normalnie. Szmalcownicy maseczkowi. Ja tego, oczywiście, napisać wprost nie mogę, ale boty od Brejzy już jadą z narracją. Zwłaszcza że zaczyna się w mediach gadanie o tym, że Unia nic nie pomaga. Koniecznie trzeba dać odpór. 13 marca: „Chiny i Rosja rozpoczęły wojnę informacyjną z Zachodem. Główne tezy: „wirus przyszedł z USA" oraz „Unia nic nie robi", rozpowszechniane są przez pożytecznych idiotów, także w Polsce. W czasach prawdziwej zarazy bądźmy odporni na wirus kłamstwa".

Dobre, co? Byłoby jeszcze lepsze, gdyby ta cała Ursula von der w mordę Lejem nie zaczęła chwilę potem jednak Włochów przepraszać, że Unia im nie pomogła. Szkoda gadać, jak człowiek był kimś w Brukseli, to zawsze mógł pójść, zagadać: „Hey, Jude, chcesz krakersa, bo mi z debaty zostały? A wiesz, że w Polsce władza prawo łamie?" – i ciach pod nosek przedruki w niemieckiej gazecie po niemiecku, z niemieckiej gazety po polsku. Ile razy ja tak Timmermansa wkręciłem, to głowa mała. Juncker to już nie mógł na to patrzeć. „Jak mi jeszcze raz Franza wkręcisz – powtarzał – to cię klepnę". No i klepał. A co mi tam, nie pierwszy, nie ostatni.

Jedno mnie martwi – że jak teraz coś na Twitterze napiszę, to poza Giertychem i Nitrasem nikt tego za bardzo nie cytuje, nie przeżywa, nie gratuluje. No, może jeszcze „Wyborcza" z Lisem, ale trudno, żeby oni akurat rżnęli głupa, na którym siedzą. Czy tam gałąź. Co oni by beze mnie zrobili? 24 marca: „Kiedy dwa tygodnie temu mówiłem, że ludzie władzy zarabiają na maseczkach i testach, kręciliście z niedowierzaniem głowami. Kiedy tydzień temu mówiłem, że władza ma łatwiejszy i szybszy dostęp do testów, zatykaliście uszy. Obudźcie się wreszcie. Tu chodzi o nasze zdrowie i życie". Niestety, i z tym zarabianiem, i z łatwiejszym dostępem ministra Wosia wyszło marnie. W sumie głupia sprawa, bo wycofać się z kłamstwa nie wypada, zwłaszcza z moim nazwiskiem, a przykryć coś tak brzydkiego można tylko czymś jeszcze brzydszym. 31 marca: „W czasach, gdy tryumfuje kłamstwo i propaganda, powinniśmy jutro, w dzień prima aprilis, zażądać wszyscy prawdziwych informacji. I każdego następnego dnia również".

To akurat z kandydatki zaczerpnąłem. Opowieść musi być prosta: nie że „coś ukrywają", tylko po prostu – chowają w szafach ofiary, żeby ludzi przed wyborami nie straszyć. Ludzie, jeśli myśmy z PSL-em, i to bez korespondencyjnych, takie głosowanie urządzili, że ludowcom o kilkanaście procent w dniu wyborów skoczyło, a zaraz potem o kilkanaście spadło, to ja nie chcę nawet myśleć, kto z i kim będzie tutaj korespondować. 5 kwietnia: „Poczta Polska powinna Polakom dostarczyć maseczki zamiast pakietów do głosowania. Trzeba ratować życie, nie władzę". Tak mi się napisało, trochę bez sensu, bo jak mogą dostarczyć maseczki, to koperty tym bardziej. Wszystko przez ten kwiecień. Znowu mi tamte dni stają przed oczami. Ot, taka chwila refleksji nad konsekwencjami własnych czynów. Raz na dekadę da się wytrzymać. 10 kwietnia: „Dziesięć lat smoleńskiej wojny domowej wystarczy. Wyrzec się złych emocji i zacząć na nowo budować wspólnotę – to byłby najlepszy hołd złożony wszystkim ofiarom katastrofy. Spróbujmy".

Fajne, co? Od razu wyjaśniam – 11 kwietnia próbowałem, 12 próbowałem, nawet jeszcze 13 rano mówię do lustra: dasz radę, wystarczy, żebyś się nie odzywał i już się zacznie budowanie wspólnoty, nie od razu, nie z Platformą, jednak ziarno zostanie zasiane, pamiętaj, że jesteś obciążeniem...

Ale jak ten samolot wielgachny zobaczyłem, psia jego kubatura, to nie wytrzymałem. No, czysty populizm! A jaka ksenofobia! Wiadomo, że wszystkie państwa świata walczą teraz o każdą maseczkę, a PiS komu skafandry kupuje? Oczywiście wyłącznie dla Polaków! Żadnej solidarności z narodami Unii Europejskiej, która już nawet zezwoliła swoim krajom przeznaczyć ich fundusze na walkę z koronawirusem! To jest mało, polexity?! Aż się popłakałem z rozpaczy. I same do mnie te słowa przyszły... 14 kwietnia: „Jeszcze nigdy tak wielki samolot nie dostarczył tak wiele maseczek tak nielicznym".

eprasa.pl 7cf024e5c7

Kiedyś pójdę na lody

Kiedy uświadomiłam sobie, że wszystko, czego potrzebuję do szczęścia, mam obok siebie pod własnym dachem, uśmiechnęłam się

„Co zrobicie, jak to wszystko wreszcie się skończy?" – zapytała koleżanka na Facebooku.

Już, już chciałam jej odpisać, że natychmiast pobiegnę na siłownię, bo przecież strasznie mi brakuje tych hektolitrów wylewanego potu, bieżni, sztang, wioseł. Ale przypomniałam sobie, jak wesoło było ćwiczyć z najmłodszymi w domu, w rytm muzyki, ile było śmiechu przy wspólnym tańcu, przy konkurencji skakankowej (kto dłużej wytrzyma) i radości z rodzinnego współzawodnictwa w planku (10-letnia Hanna bije mnie na głowę, wytrzymując cztery minuty!).

Co więcej, okazało się, że ta histeryczna walka o sylwetkę, o te minus parę kilogramów też nie do końca ma sens, bo akurat ci, którzy najbardziej mnie kochają, mają w nosie te plusy i minusy. A w czasach pandemii okazało się, że nie rzeźba jest ważna, a możliwość samodzielnego oddychania.

Pomyślałam więc o kinie. Może pójdę do kina. Ale i tu mój zapał szybko ostygł, bo owszem lubię czasem obejrzeć film, ale najciekawszy scenariusz pisze moje własne życie. I bardziej odpowiada mi rola aktora niż widza. Podczas gdy wszyscy wokół licytowali się liczbą filmów obejrzanych na Netfliksie, ja obejrzałam słownie jeden. Zamiast siedzieć po nocy z nosem w komputerze, woleliśmy ucinać sobie z mężem długie dyskusje przy kominku o przyszłości, sensie życia, o tym, co jest i co będzie. W końcu jest na to więcej czasu i wreszcie nie trzeba organizować całej logistyki z odwożeniem i przywożeniem dzieci z zajęć i na zajęcia.

„Wiem! Pójdę do galerii handlowej!" – zaświtało mi w następnej kolejności. Ale i ta myśl zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Przypomniałam sobie, jak nie znoszę tych galeriowych tłumów, jak irytuje mnie sztuczne światło i zapach przerzuconych z kąta w kąt ciuchów nasiąkniętych sklepowym kurzem. A przecież właśnie się okazało, że to, co naprawdę potrzebne, można kupić przez internet, nie tracąc godzin na snucie się od sklepu do sklepu. Można przy tej okazji nieźle zaoszczędzić, bo nie kupuje się przy okazji całej masy super-, hiper-, ekstraokazji. A zdecydowanie przyjemniejsze jest obserwowanie, jak mąż sadzi z dziećmi poziomki w ogródku.

Może w takim razie pójdę do kawiarni na ciacho i kawę?! Gdy tylko o tym pomyślałam, mój wzrok padł na blaszkę po cieście leżącą w zlewie. Było czekoladowe, z polewą z kakao i posypką z pokruszonych płatków śniadaniowych. Przez ostatnie trzy tygodnie upiekliśmy kilkanaście ciast. I wszystkie były pyszne. Dziewczyny chętnie miksowały i wylizywały miskę z resztkami masy. Hania zrobiła samodzielnie sałatkę jarzynową (tak drobno posiekanej marchewki to chyba nie widzieliście) i wyspecjalizowała się w pieczeniu ciasteczek owsianych (jak nimi pachnie cały dom!). Maja zrobiła najlepszy tort bezowy, jaki jadłam. Dużo owoców i nie za dużo cukru. Palce lizać!

I wreszcie mnie olśniło. Wiem, dokąd pójdę, dokąd pójdziemy, kiedy koronawirus odpuści. Do „niebieskiego domku" (to takie Fantastyczne Miejsce dla Małych i Dużych w Adamowiźnie, nieopodal naszej działki). Robią tam najlepsze lody na świecie. Ale nie, nie pójdziemy tam, tylko pojedziemy na rowerach, tak żeby wiatr rozwiewał nam włosy, a słońce świeciło prosto w twarz. I zjemy tyle lodów, ile zmieści się do największego wafla. Pójdę też spokojnie do kościoła. Jednak oglądanie mszy to nie jest to samo, co uczestniczenie w niej.

Kiedy uświadomiłam sobie, że wszystko, czego potrzebuję do szczęścia, mam obok siebie, na wyciągnięcie ręki, pod własnym dachem, uśmiechnęłam się. Ludzie często gonią za jakimś dalekosiężnym celem, nie widząc tego, co mają najbliżej. Tak jest też w filmach, które wszyscy tak lubią oglądać. Przeważnie w toku akcji cel, który wyznaczył sobie bohater na początku, zmienia się, a bohater odbiera od życia jakąś lekcję. Obyśmy wszyscy zechcieli z tej lekcji wyciągnąć coś dla siebie.

Dorota Łosiewicz

Swojego nie oddamy

Niemcy

Z powodu pandemii koronawirusa giełda przeżywa największy kryzys od dekady. Jednocześnie jest to także złoty okres dla spekulantów. Największy na świecie fundusz hedgingowy Bridgewater Associates postawił 14 mld dol. na spadek wartości akcji europejskich koncernów. Władze w Berlinie obawiają się, że niemieckie spółki staną się łatwym łupem dla spekulantów oraz inwestorów spoza Unii. Według dziennika „Handelsblatt" aż 17 spółek giełdowych jest dziś mniej wartych niż ich kapitał własny pomniejszony o zobowiązania, m.in. koncerny Allianz, BASF, Lufthansa, Munich Re, producent nawozów K+S, RWE, Commerzbank i Deutsche Bank. Szczególnie zagrożony ma być koncern Daimler, który dziś jest wart 30 mld euro, dwa razy mniej niż jeszcze rok temu. Jednocześnie co najmniej 75 proc. akcji największych koncernów jest rozproszonych po giełdzie, co oznacza – jak tłumaczy „Handelsblatt" – że „każdy może je kupić". Temu rząd federalny chce za wszelką cenę zapobiec. Minister gospodarki Peter Altmaier powiedział podczas prezentacji tzw. parasola ochronnego dla gospodarki, że fundusze hedgingowe nie powinny robić sobie „fałszywych nadziei", bo niemiecki rząd jest zdeterminowany, by chronić rodzime koncerny. Berlin przewiduje, że fundusze z „parasola ochronnego" posłużą do wykupienia udziałów w osłabionych koncernach (do wysokości 100 mld euro). Podobne „parasole" przygotowały także władze niektórych krajów związkowych, np. Bawaria, która przeznaczy na ratowanie przemysłu 20 mld euro.

Niemieckim władzom nie chodzi oczywiście tylko o fundusze hedgingowe, lecz także o kapitał zagraniczny, zwłaszcza ten z Chin (w 2016 r. chiński koncern Midea przejął niemiecką firmę Kuka – lidera branży robotyki, co wywołało spory wstrząs za Odrą). Dlatego rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o stosunkach gospodarczych z zagranicą. Transakcje nie będą możliwe, jeśli istnieje choćby „podejrzenie" zagrożenia dla porządku publicznego. Ustawa jest celowo bardzo szeroko sformułowana, pozwalając podciągnąć pod jej regulacje prawie każdą transakcję.

„Co jeśli taka firma jak Lufthansa z dnia na dzień zacznie tonąć? Wtedy trzeba działać szybko"– przekonuje ekonomista Michael Wolff z uniwersytetu w Getyndze. Jego zdaniem pomoc państwa będzie czasowa i skończy się wraz z pandemią. A państwo i tak nie będzie mogło pomóc wszystkim spółkom. „Będzie to ograniczona liczba firm z kluczowych sektorów" – uważa Wolff.

Aleksandra Rybińska

Fot. sylvrob1/Shutterstock.com

Trudny kandydat

USA

Bernie Sanders oficjalnie poparł Joego Bidena w prezydenckim wyścigu. „Potrzebujemy cię w Białym Domu, Joe. Zrobię wszystko, co mogę, aby do tego doszło" – powiedział senator z Vermont, będący jeszcze do niedawna ostatnią nadzieją lewicy na rewolucję w Partii Demokratycznej.

Od chwili gdy Sanders pogrzebał swoje szanse na nominację, Biden sukcesywnie stara się przyciągać jego elektorat. Ciepło wypowiadał się o „ruchu Sandersa" i obiecywał wpleść część jego postulatów do własnej agendy. To ważne gesty, bo 77-letni Biden jest kandydatem waszyngtońskiego establishmentu, który bardzo nieufnie patrzy na postulaty Sandersa (darmowe studia, płaca minimalna w wysokości 15 dol. na godzinę, publiczna ochrona zdrowia etc.).

Postulaty Berniego mogą jednak trafić na żyzny grunt, gdy w USA wybuchnie finansowy kataklizm. A to spowoduje, że Biden będzie musiał zawalczyć o trochę inny elektorat, niż początkowo zakładał, i uderzyć w radykalniejsze tony. Czy jednak zdoła przeciągnąć na swoją stronę cały elektorat Sandersa? Nie jest to wcale takie pewne.

Politycznym dzieckiem lewicowego senatora jest przecież tzw. The Squad, skupiający skrajnie progresywne kongresmenki: Alexandrię Ocasio-Cortez, Ilhan Omar, Ayannę Pressley i Rashidę Tlaib. To właśnie one zarzucały prominentnej przedstawicielce Partii Demokratycznej Nancy Pelosi rasistowskie wypowiedzi. Środowiska wspierające Sandersa były też mocno zaangażowane w ruch #MeToo i patrzą na Bidena z dużą nieufnością. Jego dawna doradczyni Tara Reade mówi, że nie zagłosuje na demokratów, bo Biden miał ją jakoby napastować seksualnie ma początku lat 90. Reade oskarża partię o brak reakcji na jej zarzuty. W czasie kampanii pojawiały się też głosy innych kobiet zarzucających Bidenowi, uwaga, wąchanie ich włosów i całowanie w tył szyi.

Nie można też zapominać, że Joe Biden jest formalnie katolikiem i choć sam popiera prawo do legalnej aborcji, sprzeciwiał się opłacaniu tych zabiegów z podatków. „The New York Times" przypomniał, że głosował on za tym, aby poszczególne stany miały prawo odrzucić wyrok Roe vs. Wade, który de facto zalegalizował aborcję w USA. Lewica atakuje również Bidena za poparcie wojny w Iraku w 2002 r. (potem za to przepraszał) oraz za zbytnie uzależnienie od lobbystów.

Czy te zarzuty spowodują, że wyborcy Sandersa zostaną w domach, czy jednak szansa przepędzenia z Białego Domu znienawidzonego Trumpa pokona wszelkie uprzedzenia?

Łukasz Adamski

Fot. JStone/Shutterstock.com

obrasa.pl 7cf024e5c7

Fot. shutterstock

Chiny

Nerwowo za murem

Ostatnie dane makroekonomiczne opublikowane przez władze Chin sugerują, że tamtejsza gospodarka zaczyna powoli odrabiać straty, jakie poniosła w styczniu i w lutym br. za sprawą epidemii koronawirusa. W marcu eksport był wprawdzie niższy o 3,5 proc. niż rok wcześniej, ale w porównaniu z tym, co działo się w czasie dwóch pierwszych miesięcy roku, kiedy skala spadków była dwucyfrowa (15,9 proc.), zmiana jest wyraźna. Drastyczna obniżka cen surowców importowanych przez Chiny spowodowała też, że w minionym miesiącu odnotowały one najwyższą w historii, szacowaną na 18,5 mld dol., nadwyżkę handlową.

Kiedy piszę te słowa, nie są jeszcze znane oficjalne dane na temat chińskiego PKB w pierwszym kwartale tego roku, ale analitycy spodziewają się największego jednorazowego spadku, odkąd podawane są tego rodzaju dane dla tamtejszej gospodarki, czyli od rewolucji kulturalnej. Odwołanie przez władze oficjalnych prognoz oraz ponowne cięcie przez tamtejszy bank centralny stóp procentowych sugerują jednak, że Pekin ciągle obawia się znacznego spowolnienia tempa wzrostu.

Perspektywy są mocno niepewne z co najmniej dwóch powodów. Pierwszy: nastawiona na eksport gospodarka Chin bardzo potrzebuje zamkniętych dziś rynków państw europejskich. Samo wznowienie produkcji w obliczu zamarcia transportu międzynarodowego i blokad na rynkach nie wystarczy, aby znacząco poprawić chińskie wskaźniki. Drugi powód jest jeszcze poważniejszy. W Europie, Stanach Zjednoczonych i w państwach azjatyckich coraz więcej mówi się, że zbyt rozciągnięte łańcuchy zaopatrzeniowe generują zagrożenie dla suwerenności państw importerów.

Niedawno Chiny zagroziły np. wstrzymaniem sprzedaży substancji czynnych używanych w przemyśle farmaceutycznym, jeżeli świat nie zaprzestanie używać terminu „chiński wirus". Niefortunne posłużenie się przez Pekin groźbą takiego kroku zapaliło w stolicach wielu państw lampki awaryjne. Władze Japonii zapowiedziały już uruchomienie systemu specjalnych dopłat dla firm, które powrócą z produkcją przemysłową do kraju.

Podobną politykę uprawiają Stany Zjednoczone. Od pewnego czasu firmy amerykańskie przenoszą swoją produkcję z Chin do Wietnamu i Meksyku. W rezultacie amerykański import z Chin spadł już o 90 mld dol. Jeżeli COVID-19 spowoduje przyspieszenie tego procesu, to skutki będą dla chińskiej gospodarki opłakane. Chiny, które są głównym beneficjentem globalizacji, będą musiały od nowa zdobywać rynki. Już nie konkurując ceną, ale wykorzystując wpływy polityczne. Zacznie się nowa epoka.

Marek Budzisz

Kolumbia

453 dni w dżungli

Jak przeżyć uciążliwy czas przymusowej kwarantanny? Spośród wielu różnych wypowiedzi licznych doradców życiowych w ostatnich dniach szczególnie wyróżnia się głos Diany Maríi Toro z Kolumbii. Nie jest ona bynajmniej żadnym psychologiem ani terapeutą, lecz osobą mającą jeszcze świeżo w pamięci traumatyczne doświadczenia, które niedawno przeżyła. Kobieta została mianowicie porwana przez nieznanych sprawców 27 września 2018 r., gdy wracała z kościoła do domu. Kidnaperzy wyciągnęli ją z samochodu, którym jechała z trójką małych dzieci, a następnie sprzedali lewicowym partyzantom z Armii Wyzwolenia Narodowego, którzy przetrzymywali ją w dżungli przez 453 dni. Została uwolniona dopiero 24 grudnia 2019 r.

Kolumbijka zdecydowała się publicznie opowiedzieć o swoich przeżyciach dopiero kilka miesięcy po odzyskaniu wolności, gdy usłyszała, jak wiele osób ciężko znosi kwarantannę związaną z epidemią koronawirusa. W wywiadach wspomina, że przez 13 miesięcy nie znała dnia ani godziny, całkowicie zdana na łaskę bezwzględnych zbirów, więziona w dżungli, wśród węży, skorpionów, komarów i wszelkiego robactwa. Mogła myć się co drugi dzień, a ubranie zmieniać co osiem dni. Przez ten czas nie miała żadnych wiadomości o swojej rodzinie. Tym, co pomogło jej przetrwać – jak podkreśla – było zawierzenie Jezusowi, codzienny różaniec i oddanie Matce Bożej z Guadalupe.

Diana María Toro: „Chcę dziś powiedzieć ludziom, którzy w tej chwili czują się samotni lub zrozpaczeni z powodu sytuacji, której doświadczamy w Kolumbii i na całym świecie, że Bóg jest z nami i nigdy nas nie zostawił. Jesteśmy przez Niego uprzywilejowani, rozejrzyjmy się wokół siebie: mamy dom, łóżko, w którym możemy spać wygodnie, spiżarnię pełną jedzenia, jesteśmy z naszą rodziną, a jeśli ktoś nie jest z nami, to możemy się z nim komunikować i wiedzieć, czy wszystko u niego w porządku".

Jej zdaniem okres pandemii to nie czas rozpaczy, ale najlepszy czas na przemyślenie swojego życia, zmianę i nawrócenie.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 7cf024e5c7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Odmrozić gospodarkę i kabaret!

Jan Pietrzak

Władza twierdzi, że gospodarka już w kwietniu będzie odmrażana. Uprzejmie proszę o odmrożenie w pierwszej kolejności gospodarki kabaretowej. Śmiechoterapia jest niezbędna dla rozgrzania społeczeństwa.

Białoruska metoda walki z koronawirusem: wódka, sauna i hokej, budzi zawiść okolicznych narodów. Patent piwo, fajki i zapiekanki brzmi mniej zachęcająco.

Ursula von der Leyen: „Niewykluczone, że osoby starsze trzeba będzie odizolować do 2021 r.". Jako Europejczyk niewątpliwie starszy uważam, że w pierwszym rzędzie należy odizolować osoby głupsze, niezależnie od metryki, zgromadzone w KE.

Na Okęciu wylądował największy samolot świata z ładunkiem medycznego sprzętu. Z powodów ekonomicznych szukano ładunku powrotnego. A gdyby w rejs odlotowy zapakować opozycję totalną? Ech... marzyciel ze mnie...

TVN się skarży, że TVP brzydko zaatakowała Pochanke. Pewne jest jedno, że Pochanke codziennie atakuje Polaków.

Pewien profesor, którego czytuję i szanuję, powiedział w tych dniach, że „W momencie kiedy ważna jest narodowa solidarność, opozycja walczy o swój interes". Obawiam się panie profesorze, że raczej o interesy Rosji i Niemiec, może jeszcze kogoś...?

W miejscowości Rąbień nieznany kierowca wykonał najdłuższy skok przez rondo w historii Polski. Po ścięciu drzewa w locie wylądował bezpiecznie w parafii Zwiastowania Pańskiego. Nowy sport ma duże szanse rozwojowe. Tego rodzaju rond mamy setki.

Teraz, kiedy zamożne spółki skarbu państwa wspierają społeczeństwo podczas zarazy, widzimy fałsz macherów transformacji, tłumaczących nam, naiwnym, w latach 90., że kapitał nie ma narodowości. Ale złodzieje narodowość mają.

Ze względu na izolację epidemiczną mieliśmy z żoną Wielkanoc wspomnień, śmigusa-dyngusa i kalichlorku... Hałas czyniony za pomocą kalichlorku to była kanonada zbliżona do obecnych wrzasków opozycji. Moją specjalnością było strzelanie z klucza. W jakimś stopniu jestem wierny tej tradycji.

Do usłyszenia i do zobaczenia

Z aktorem Krzysztofem Szczepaniakiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Taki mamy czas, że w teatrach spotykamy się wirtualnie?

Krzysztof Szczepaniak: To trochę substytut, ale dobrze, że jest chociaż taki. Dzięki różnym działaniom na internetowych stronach teatry podtrzymują kontakt z widzami. W wirtualnej wersji mojego macierzystego Teatru Dramatycznego też się dzieje. W poniedziałki jest czytanie w ramach Laboratorium Dramatu, we wtorki i czwartki są wykłady i wgląd w archiwalia, w piątki przypomina się „Kabaret na koniec świata", soboty to czas spektakli online, niedziele są dla dzieci, a w środy odbywają się wirtualne rozmowy. W najbliższą, o godz. 19, ze mną.

Live to dla pana nowe doświadczenie?

Po raz pierwszy uczestniczyłem w internetowej transmisji na żywo za sprawą Agnieszki Hekiert, wokalnego coacha z programu „Twoja twarz brzmi znajomo". Co tydzień na swoim oficjalnym facebookowym profilu, w ramach cyklu „Wokalne witaminy", spotyka się ona z innym uczestnikiem. Byłem jednym z pierwszych jej gości.

Gdzie jeszcze można pana spotkać?

Niedawno zakończyła się emisja serialu „Archiwista", w którym zagrałem pasierba Henryka Talara. W AXN co wtorek o godz. 22 jest serialowa premiera „Znaków 2", ale najważniejsze, że rzutem na taśmę udało się, w ramach Teatru Telewizji, zakończyć nagranie. Sztuka Wojciecha Tomczyka „Bezkrólewie" w reżyserii Jerzego Machowskiego, to metaforyczna opowieść, w której odnaleźć można nawiązania i do Wyspiańskiego, Gombrowicza i Mrożka. Premiera już 27 kwietnia w TVP1.

eprasa.pl 7cf024e5c7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Unia kontratakuje

Trybunał Sprawiedliwości UE uznał, że Polska, Czechy i Węgry są winne zlekceważenia unijnego prawa przyjętego w 2015 r. „Prawo" owo polegało na zatwierdzeniu przez instytucje UE łamiącej jej zasady decyzji niemieckiej kanclerz

Kiedy ostatni raz pisałem o UE, odnotowałem wstrzemięźliwość jej instytucji w obecnym, szczególnym czasie. Niestety, myliłem się. Po krótkim okresie uspokojenia związanym z rozwianiem się iluzji znaczenia Unii tudzież kompromitacją jej podniosłych haseł, mamy do czynienia ze wzmożeniem, w którym przoduje dziś TSUE. Najpierw Polska, Czechy i Węgry „skazane" zostały przez ten trybunał za odmowę przyjęcia narzuconych nam kwot imigrantów. Groteskowość owego wyroku warta jest odnotowania.

W 2015 r. kanclerz Niemiec Angela Merkel ogłosiła otwarcie granic i „serdeczne przyjęcie" dla uchodźców z Syrii. Robiąc to, zupełnie zlekceważyła dublińską konwencję, która określa zasady przyznawania azylu na terenie UE, tak jak i układ z Schengen. Wszystko wskazuje, że zdecydowała się na to powodowana najbardziej doraźnymi, wewnętrznymi rachubami politycznymi, które, jak można się było spodziewać, również w tym wymiarze okazały się przeciwskuteczne. Zainteresowanych kulisami tej polityki odsyłam do książki niemieckiego dziennikarza Robina Alexandra „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu".

Ta jednostronna, łamiąca wszelkie reguły unijne decyzja została bez słowa sprzeciwu przyjęta przez unijne instancje i wychwalana jako objaw humanitaryzmu przez dominujące ośrodki. Węgry, które broniąc europejskich norm, zablokowały swoją granicę, zostały odsądzone od czci i wiary i stały się bête noire opinii naszego kontynentu.

Błyskawicznie okazało się, co było oczywiste dla każdego trzeźwego obserwatora, że deklaracja Merkel przez ludność Bliskiego Wschodu, a także Afryki została uznana za zachętę do osiedlenia się w Europie. Szybko więc bogatsze kraje Unii wycofały się z „serdecznego przyjęcia", a uzyskanym w ten sposób dobrodziejstwem ludzkim postanowiły podzielić się z biedniejszymi członkami UE, usiłując podrzucić im niechcianych imigrantów. Polityka ta została zablokowana przez Polskę, do której dołączyły się kraje Grupy Wyszehradzkiej. Zresztą narzucanie przybyszom obowiązku osiedlania w konkretnym kraju okazało się właściwie niemożliwe. Sprawa umarła. Nie dla TSUE jednak. Trybunał uznał, że Polska, Czechy i Węgry są winne zlekceważenia unijnego prawa przyjętego w 2015 r. „Prawo" owo polegało na zatwierdzeniu przez instytucje UE łamiącej jej zasady decyzji niemieckiej kanclerz.

Sprawa ta ma walor symboliczny i odnosi się do nieistniejącej rzeczywistości. W podobnym trybie TSUE mogłoby np. skazać Polskę za wejście do Śląska Cieszyńskiego w 1939 r. Jest jednak o tyle istotna, że raz jeszcze pokazuje podwójne miary, jakimi kierują się instancje europejskie, które wobec naszych krajów pozwalają sobie na daleko więcej niż wobec „starych" członków Unii. Czym innym jest jednak „zawieszenie" przez TSUE Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego w naszym kraju. Wprawdzie trybunał nie ma kompetencji, aby zajmować się sprawami wymiaru sprawiedliwości kraju członkowskiego, a tym bardziej zawieszać „natychmiastowo" działających w nim sędziów – a do tego faktycznie prowadzi jego ostatnia decyzja – ale tym organ unijny się nie przejmuje. Europa drży w posadach, epidemia odsłoniła iluzoryczność jej solidarności, co demonstrują zwłaszcza dominujące i wykorzystujące struktury unijne dla realizacji swoich partykularnych interesów Niemcy, a TSUE zakazuje Polsce utworzenia instancji dyscyplinującej dotychczas zupełnie samowolnie funkcjonujących sędziów.

Decyzja ta to element rozpychania się trybunału i przejmowania metodą faktów dokonanych nieprzysługujących mu uprawnień. Jego arogancja była istotnym argumentem zwolenników brexitu. To jednak również wyraz kolonialnej postawy establishmentu europejskiego w stosunku do nowych członków Unii. Byłoby to niemożliwe, gdyby nie znajdował on w tych krajach wpływowych grup działających przeciw ich niepodległości. W sposób ostentacyjny postawę taką prezentują siły III RP. Za cenę podległości naszego kraju interesom swoich zachodnich patronów mogą utrzymać swoją władzę i pozycję. Prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf już zaakceptowała postanowienie TSUE, jednocześnie głosząc, że Trybunał Konstytucyjny, który według konstytucji rozstrzyga podstawowe problemy prawne naszego kraju, nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia.

Możemy więc mieć pewność, że europejskie elity, nie licząc się z niczym, podejmą walkę o zachowanie swojego znaczenia; jego elementem jest dominacja nad środkowo-wschodnią Europą. W tym działaniu wspierane będą przez swoich klientów także z Polski. Korporacja sędziowska III RP jest jednym z ważniejszych ogniw tego układu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7cf024e5c7

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Jarosława Jakimowicza* PRZED KORONAWIRUSEM

Barcelona

Z 20 lat temu polska edycja „Playboya" zaprosiła mnie do udziału w fotograficznej sesji modowej, która miała się odbyć w Barcelonie. Chcę podkreślić – modowej, nie rozkładówkowej. Zdjęcia wykonywał syn Polki i Katalończyka Darius Dąbek, z którym do dziś się przyjaźnię. Notabene obecnie robi światową karierę.

W każdym razie do stolicy Katalonii polecieliśmy całą ekipą i to była moja pierwsza wizyta w tym mieście. Po powrocie zaproponowałem ówczesnej żonie – artystce Joannie Sarapacie – żebyśmy się przeprowadzili do Barcelony. Ona, jako malarka, potrzebowała światła i soczystych barw, ja słońca i energii. Warto przypomnieć, że Polska 20 lat temu była diametralnie inna. Była szara, paździerzowa, z komunistycznymi stygmatami. Pamiętam też ten moment, kiedy zaczęła się zmieniać, kiedy Warszawa zaczęła mi się podobać... To było jakieś 15 lat temu. Wracając do przeprowadzki – żona wyjechała do Barcelony w grudniu, żeby zaaranżować mieszkanie, ja z synami dojechałem w styczniu. Tam spędziłem cztery lata, ekszona jeszcze dłużej.

Na myśl o Barcelonie też czuję ogromną melancholię i tęsknotę. Nie dlatego, że tam jest architektura Gaudiego, tapasy czy inne obowiązkowe punkty z przewodników turystycznych. Moja Barcelona to ludzie, którzy nie chodzą na tonącą od turystów ulicę Les Rambles, rodowici barcelończycy żyją i bawią się bowiem w innych rewirach.

Tam mój starszy syn – wówczas czteroletni – poszedł do katolickiej szkoły, dzięki czemu nauczył się katalońskiego. Pamiętam, jak jego nauczycielka señorita Gloria mówiła o przedmiotach i wspomniała o zajęciach z matematyki, które właśnie będą prowadzone po katalońsku. Zbaraniałem, bo ten przedmiot zawsze kojarzył mi się z ciągami liczb i pierwiastków na tablicy. Nauczycielka uspokoiła mnie, że matematyka na tym poziomie będzie teoretyczna i będzie dotyczyć tego, „co to jest dużo, co to jest mało". W Hiszpanii przeżyłem wspaniałe czasy i dużo historii z pobytu w Katalonii opisuję w mojej autobiografii „Życie jak film".

Tokio

Byłem w wielu miejscach na świecie i jako mieszczuch wychowany w Warszawie najlepiej czuję się w wielkich aglomeracjach, które uznaję za moje środowisko. Największego zawrotu głowy dostałem po przyjeździe do Tokio. Zawsze powtarzam, że jeżeli ktoś był w Nowym Jorku i zachwycił się energią Manhattanu, to stolica Japonii jest jak pięć różnych Manhattanów. Ten kraj ma obłędny klimat, który porównuję do narkotyku.

Teraz żyjemy w dziwnych czasach. Ludzie unikają kontaktu z innymi, nie podają sobie dłoni, narasta psychoza przed przebywaniem w grupach. Co ja mówię! Stanie na przystanku autobusowym, gdzie jeszcze są dwie inne osoby, napawa już lękiem.

A Tokio, przed koronawirusem, to było pulsujące żywe miasto, gdzie w samych podziemiach, wielkości Mokotowa, przemieszczają się miliony ludzi. Za tym tęsknię. Gdy skończy się ten zły sen, wsiądę w pierwszy lepszy samolot do Japonii i zanurzę się w magii tego kraju.

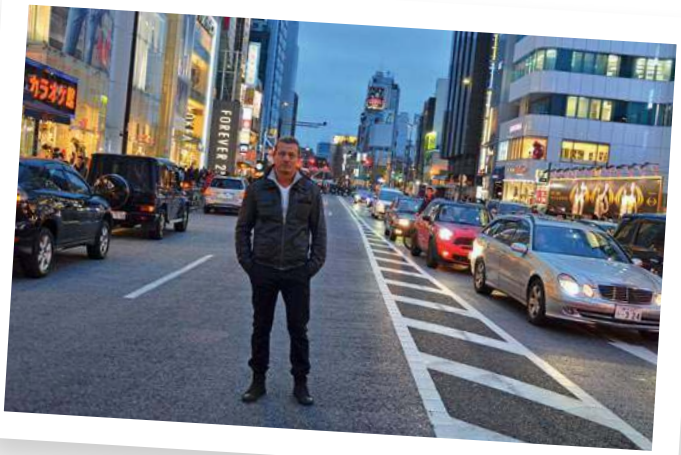

eprasa.pl 7cf024e5c7

Wyspa Seram

W Holandii mieszkałem cztery lata i wówczas spotykałem się z Indonezyjką. Indonezyjczycy, którzy w Niderlandach są przeważnie wyznania chrześcijańskiego, to bardzo rodzinni ludzie i regularnie organizują odwiedziny. Proszę sobie wyobrazić, że z holenderskiego Groningen, w którym mieszkałem, wyruszała 40-osobowa grupa, która dolatywała np. do Dżakarty i tam rozjeżdżała się mniejszymi grupami do swoich bliskich mieszkających na poszczególnych wyspach. Paradoksalnie, mimo że już nie byłem z indonezyjską dziewczyną, zaproponowano mi taki „rodzinny" wyjazd. Ponieważ sam proces przygotowań trwał około dwóch lat, jeszcze się załapałem. Miałem mieszane uczucia, ale tłumaczono mi, że „wszyscy na miejscu o mnie wiedzą, czekają na mnie" itd.

Słowianom trudno jest zrozumieć takie okoliczności, bo albo jest się w rodzinie, albo nie, ale Holendrzy to dziwny naród i podchodzą do życia bardziej zadaniowo niż sentymentalnie, dlatego rzadziej się rozczarowują niż my. Dla nich mój wyjazd wydawał się więc jak najbardziej naturalny.

Sama Dżakarta jest megakosmiczną metropolią, ale im dalej od niej, tym Indonezja staje się coraz dziwniejsza, a zarazem magiczna. Dotarcie do pomniejszych wysp Moluków, zamieszkanych przez chrześcijan, odbywało się na czymś, co przypominało parowiec i trwało około dwóch dni. Kolejny dzień zajęła podróż w głąb buszu w pojazdach podobnych do samochodów. „Podobnych", ponieważ były pozbawione tablic rozdzielczych i w pewnym sensie siedzisk. Takie konstrukcje nazywam cudami techniki. Wioski, które odwiedziłem, nie miały prądu, a co za tym idzie – światła, nie wspominając już o telewizji. Wieczorami rodziny zbierają się tam przed domami i przesiadują na swoich altankach w całkowitych ciemnościach. Ponieważ mam długie blond włosy, miejscowi skojarzyli mnie z Jezusem z obrazu w ich lokalnym kościele. Fama na temat Jezusa, który pojawił się na Molukach, rozniosła się po okolicznych wioskach i z dnia na dzień marzeniem każdego mieszkańca było ugoszczenie mnie w swoim domu. I tak spędziłem dziesiątki wieczorów z różnymi rodzinami. Choć komunikacja była utrudniona, ten czas uważam za magiczny i wyjątkowy.

Spisał ***Michał Korsun***

Fot. archiwum prywatne Jarosław Jakimowicz

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Broń swoich owieczek

Dominik Zdort

W sprawie pedofilii Kościół dotąd znał tylko dwa rodzaje modus operandi. Pierwszy: milczy, ukrywa podejrzanych, przenosi księży z parafii do parafii – usiłuje zamieść sprawę pod dywan. Drugi: chyli pokornie głowę, potwierdza winę podejrzanego i wypłaca grube miliony odszkodowań.

Intencja obu sposobów działania jest szlachetna: chodzi o ratowanie dobrego imienia Kościoła. W pierwszym przypadku przez ukrycie domniemanych, niekoniecznie prawdziwych, nadużyć. W drugim przez gest ewangeliczny, znany ze świadectwa Mateusza: jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu drugi.

Obie te taktyki łączy jedna zasadnicza i nieprzezwyciężalna słabość: nie mają na celu ustalenia stanu faktycznego. Kościoła – można mieć wrażenie – nie interesuje już, co jest prawdą, a co kłamstwem. Zdaje się na decyzje mediów, śledczych, sądów.

Czy coś się zmieni po uniewinnieniu arcybiskupa George'a Pella? Australijski hierarcha jako ksiądz miał kiedyś w zakrystii molestować ministrantów. Przez ostatnich pięć lat był przedstawiany jako żywy dowód na zepsucie Kościoła katolickiego, szczególnie jego konserwatywnego skrzydła. I czasami można było mieć wrażenie, że watykańska kuria chętnie by się pozbyła tego problemu, zaakceptowała długoletnie więzienie i odetchnęła z ulgą. Nie wierzono w wersję wydarzeń Pella, a po pierwszym wyroku sądu Stolica Apostolska natychmiast zakazała mu publicznego wykonywania posługi i kontaktowania się z dziećmi.

Kilka dni temu australijski Sąd Najwyższy wszystkie oskarżenia uznał za nieprawdziwe i uwolnił hierarchę. Czy z tego powodu przy XI stacji tegorocznej drogi krzyżowej w Watykanie odczytano świadectwo księdza przez lata niesłusznie oskarżanego o molestowanie kleryka? Po ośmiu latach oskarżeń wymiar sprawiedliwości uznał, że także ten duchowny jest niewinny. To, że Franciszek wybrał jego słowa, daje nadzieję, iż eklezja w końcu podnosi głowę.

Kościół jest dziełem boskim i w tym wymiarze bramy piekielne go nie przemogą. Ale jest też instytucją ludzką, działającą w świecie zła, kłamstwa i pomówień – i tu musi bronić swoich owieczek nie tylko za pomocą modlitwy, lecz także zatrudniając najskuteczniejszych i najdroższych adwokatów, umiejących znaleźć niezbędne dowody niewinności nieco wcześniej niż po wielu latach niezasłużonej udręki. Tak, aby już nigdy zniesławiony kapłan nie musiał świadczyć o niej podczas drogi krzyżowej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7cf024e5c7

OGNIEM NA WPROST

Święconka Olejnik

Święta Wielkiejnocy są już co prawda za nami, ale w pamięci pozostała mi święconka Moniki Olejnik. „Dziennikarka i miłośniczka ekstrawaganckich kreacji w sobotę postanowiła pochwalić się w sieci niecodzienną święconką" – reklamował występ medialny gwiazdy TVN jeden z plotkarskich portali. Z zasady nie komentuję „ekstrawaganckich kreacji" szczególnie tych z „Kropki nad i", bo – jak mawiali starożytni Rzymianie – bezguście nie podlega dyskusji czy jakoś tak podobnie. Natomiast warto się pochylić nie tyle nad samą święconką, ile jej zawartością. W wielkanocnym koszyku obok „tradycyjnych produktów spożywczych" (już to określenie samo w sobie tchnie jakąś bełkotliwą nowomową) znalazły się: płyta Luciano Pavarottiego oraz egzemplarze „Gazety Wyborczej" i „Tygodnika Powszechnego". A w nich wywiad z Olgą Tokarczuk i rzecz jasna z ks. Adamem Bonieckim. Zamiast Pisma Świętego czy Ewangelii. Zaiste godne zastępstwo na miarę stacji telewizyjnej, w jakiej występuje twórczyni tego „wielkanocnego" tworu. Jednocześnie dziennikarka dała wreszcie jednoznaczną odpowiedź na dręczące niektórych ludzi pytanie: „Jak przerobić święconkę na kosz do śmieci?".

Jak już celebrujemy celebrytów, to nie może zabraknąć Krystyny Jandy. W „Faktach po Faktach" TVN aktorka żaliła się ostatnio, że teatralny biznes ledwo idzie z powodu koronawirusa. Widać, musi jej to doskwierać, bo żal tym razem nie ustępował w rozmowie zwyczajowej egzaltacji. Ale żeby nie było tak fajnie, musiało się dostać także władzy: „Rządzący nie ułatwiają nam żadnego dnia. Każdego dnia jest tak, jakby ktoś jeździł szkłem po szybie, zadrażnianie konfliktów, niełagodzenie ich", dzieliła się swoimi odczuciami artystka. Nie trzeba dodawać, że takie programy jak tarcza antykryzysowa, pomoc przedsiębiorcom liczona w dziesiątkach, jak nie w setkach miliardów złotych, nie robią na pani Jandzie wrażenia. Choć najprawdopodobniej zarówno ZUS, jak i pensje w tych trudnych czasach pokryje za nią pisowski reżim. „Właściwie mam poczucie pogardy i bezradności" – oświadczyła na koniec aktorka. Dobrze, że choć jak kiedyś „nie sr...ą na głowę".

Nowym wiceministrem finansów został 29-letni Piotr Patkowski. Pracował już jako doradca premiera i koordynator oceny skutków regulacji w KPRM. Tam dał się poznać jako jeden z najbardziej analitycznych umysłów. Współtworzył Polski Instytut Ekonomiczny, a jego analizy prawne od kilku lat są wykorzystywane w pracy Komitetu Stałego Rady Ministrów. Jego nominacja nie spodobała się mecenasowi Romanowi Giertychowi, zwanemu „wesołym Romkiem". W odpowiedzi za Patkowskim ujął się nawet poseł Konfederacji Robert Winnicki, wyjaśniając: „W czasie kiedy był Pan [Giertych] jeszcze narodowcem (lub za niego się podawał), z szeregów LPR wyszło kilku ministrów i wiceministrów poniżej 30-tki. W większości niezłych. Nie mam pojęcia, czy pan Patkowski nadaje się, czy nie, ale z wieku, wzrostu czy tuszy po prostu nie warto się nabijać". Podobna sytuacja zdarzyła się przeszło 200 lat temu podczas kampanii włoskiej gen. Napoleona Bonapartego. Tam z kolei z niskiego wzrostu i młodego wieku (28 lat) głównodowodzącego nabijał się jeden z podwładnych mu generałów – Pierre Augereau, który na oficerskie szlify zasłużył sobie kilka lat wcześniej. W czasach szalejącej gilotyny. Nawiasem mówiąc, podobnie jak Giertych kawał chłopa. Bonaparte wezwał Augereau na przysłowiowy dywanik i powiedział: „Generale! Jesteś ode mnie o głowę wyższy. Ale jak dalej będziesz tak mówił, to każę zlikwidować tę różnicę!".

W internecie obywatele szaleją z dowcipami na interweniującą policję, która egzekwuje restrykcje stanu epidemii. Z części można się nawet pośmiać, ale przeważa atmosfera, że wszystko to przesada. Natomiast w Indiach, najludniejszym kraju świata, tamtejsi stróże prawa dopadli na piaszczystej plaży nad rzeką Ganges w pobliżu Rishikesh grupę turystów z Izraela. Poczuli się oni rozluźnieni atmosferą miejsca w północnych Indiach słynącego z ośrodków jogi, gdzie Beatlesi odbyli duchową pielgrzymkę w 1968 r. Zbici w gromadę wylegiwali się na słońcu, niepomni ograniczeń, które nałożył rząd w Nowym Delhi w związku z przymusową kwarantanną. „Szaleje koronawirus, ludzie! Powinniście przestrzegać zasad i przepisów państwowych" – krzyknął policjant w mundurze khaki i masce chirurgicznej. „Dzisiaj daję wam bardzo krótką karę. W przeciwnym razie zabiorę was na komisariat i dostaniecie karę więzienia! Zrozumiano?!". Izraelscy turyści musieli napisać pięćset razy: „Nie przestrzegałem zasad kwarantanny. Bardzo przepraszam".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7cf024e5c7

Wielka susza?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Od 20 kwietnia nie obowiązuje nas już zakaz wstępu do lasów. Zamknięte pozostają ścieżki edukacyjne, miejsca biwakowe, parkingi oraz place zabaw, ale możemy na nowo odetchnąć na łonie natury. Ograniczenie dostępu do lasów miało wielu krytyków, ale decydujący głos w jego wprowadzeniu odegrali epidemiolodzy. Leśnicy zaś wspominali o występującym od tygodni zagrożeniu pożarowym, które w sposób oczywisty nieco spada bez naszej obecności i nieostrożności w lasach. Wybierając się zatem w knieje, musimy pamiętać, że jest bardzo sucho i o zaprószenie ognia nie jest trudno.

Stopień zagrożenia pożarowego w niemal wszystkich lasach został oznaczony jako najwyższy. W czasie ostatniej zimy, która była najłagodniejsza od 150 lat, spadło w Polsce niewiele śniegu, ściółka leśna ma niską wilgotność, która spada z powodu braku dostatecznych wiosennych opadów i częstych silnych wiatrów. Młode rośliny nie zdołały jeszcze wzejść, więc dominują suche liście i łodygi. Wilgotność ściółki leśnej oceniania jest na poziomie krytycznym wynoszącym 8–12 proc. Wspomniane trudne warunki spowodowały, że od początku roku odnotowano w polskich lasach ponad 1,5 tys. pożarów, a każdy kolejny dzień przynosi informacje o nowych atakach żywiołu. Nie zawsze dochodzi do spalenia drzew, najczęściej zniszczeniu ulega ściółka. Pozornie jej unicestwienie nie stanowi wielkiej straty, ale trudno ocenić skalę destrukcji mikroflory i mikrofauny, które potrzebują wielu lat na odbudowanie.

Zagrożenie pożarowe w lasach to efekt suszy, która w obecnej skali odnotowywana jest na terenie Polski po raz pierwszy od ponad stu lat i wiele wskazuje na to, że będzie nam towarzyszyć przez najbliższe miesiące. Jest to jedna z najgorszych sytuacji w historii pomiarów hydrologicznych w kraju. W ubiegłym roku 10 na 500 istniejących stacji mierzących przepływ wód w rzekach wskazało stan poniżej normy, obecnie jest ich aż 42. Deficyt opadów na południu kraju osiągnął 50 proc. Susza ma być najbardziej odczuwalna w województwach położonych w środkowej i środkowo-wschodniej części kraju. Nie zabraknie nam wody pitnej, ale warto mieć na uwadze, że ponad 70 proc. wody przeznaczonej dla ludności to woda z ujęć podziemnych, ale prawie 30 proc. pochodzi z wód powierzchniowych. Te ostatnie dominują na obszarze Małopolski i Śląska.

PGW Wody Polskie przekonuje do zmiany nawyków w zakresie wykorzystywania najwyższej jakości wody pitnej w naszych gospodarstwach domowych. Specjaliści zachęcają m.in. do podlewania ogrodów przede wszystkim zgromadzoną wodą deszczową, a nie kranówką. Ciekawą i pożyteczną inicjatywą jest rezygnacja z trawników na rzecz łąk kwiatowych. Trawniki w sezonie letnim wymagają częstego i obfitego podlewania, a odpowiednio dobrane polne kwiaty i zioła są pod tym względem znacznie mniej wymagające. Poza tym decydując się na założenie przydomowej łąki, poza niewątpliwymi walorami estetycznymi, zapewnimy pożywienie pszczołom i innym owadom, które są szczególnie narażone na występujący w naszym środowisku niedobór wody. Susza powoduje bowiem deficyt roślinności stanowiącej jedyne źródło pożywienia dla tych bezcennych owadów, o których szczególnej roli w naszym ekosystemie przypominać nie trzeba. Wertując niezliczone, internetowe oferty sprzedaży, można się natknąć na mieszanki skomponowane z nasion jednorocznych lub wieloletnich roślin kwitnących charakteryzujących się zwiększoną produkcją nektaru i pyłku. Zróżnicowane bogactwo gatunków kwitnących w różnych miesiącach zapewni pszczołom dostęp do pokarmu przez cały sezon.

Mijając kilka dni temu pewien przydomowy ogródek, zauważyłam wronę, która przez dłuższą chwilę dość łapczywie piła wodę z wystawionego chyba specjalnie w tym celu spodka. Ten urokliwy widok nie powinien być dla nikogo zaskakujący. Leśnicy i organizacje niosące pomoc zwierzętom apelują, by w dobie suszy wykazywać się empatią wobec naszych braci mniejszych współzamieszkujących z nami miasta i wystawiać im odpowiednio przygotowane poidła, regularnie zaopatrując je w wodę. Wszyscy jesteśmy sobie potrzebni.

REKLAMA

58/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK.COM, KRYSTIAN MAJKPRIM

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

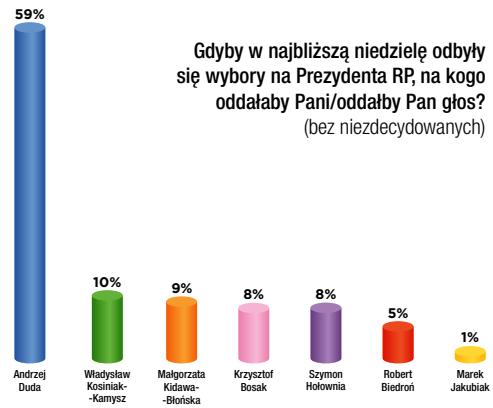

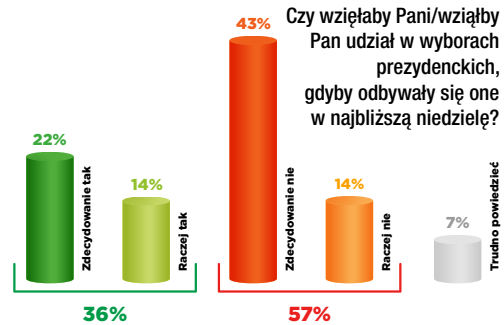

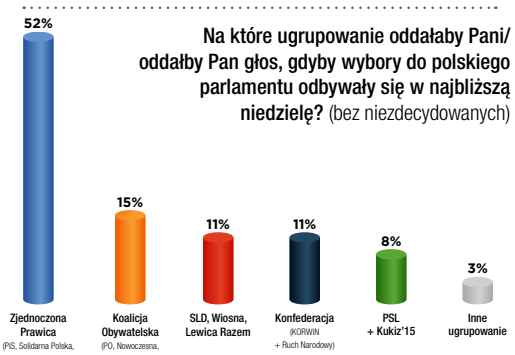

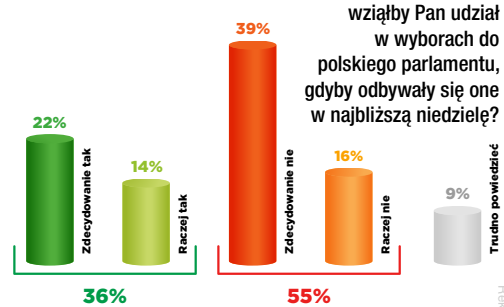

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1060.

Zakres czasowy badania 10–13 kwietnia 2020 r.

Reklama | 66/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie

ORLEN

Twór natury czy broń biologiczna?

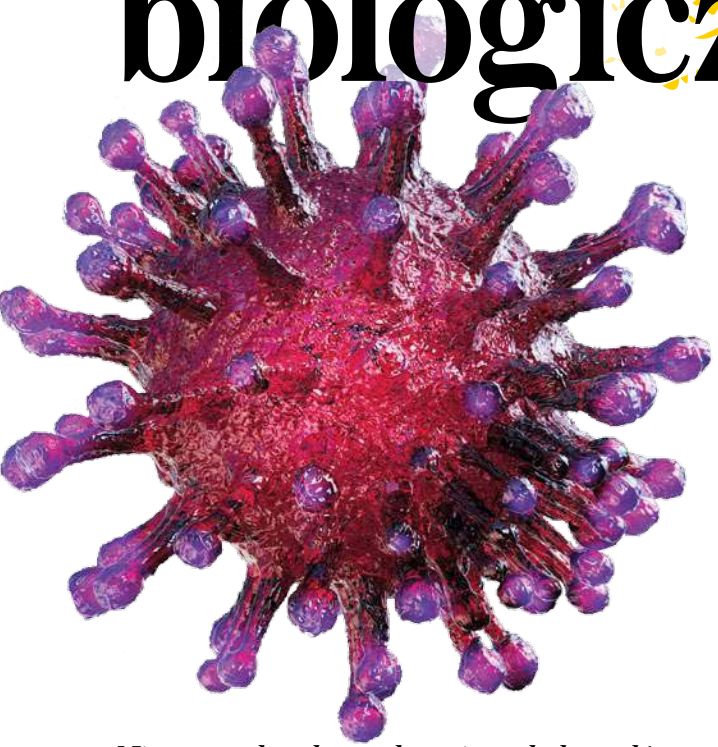

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nie ma żadnych przekonujących dowodów na to, że koronawirus, który wywołał światową pandemię ciężkiego zapalenia płuc, został stworzony w wojskowym laboratorium. Przeciwnie, większość badań naukowych wskazuje, że pojawił się naturalnie, przeskakując na człowieka ze zwierząt. Jednak trudno się dziwić temu, że wielu widzi w koronawirusie broń biologiczną. Chiny przez wiele tygodni ukrywały przed światem informacje o nowym zagrożeniu i dlatego nie wszyscy wierzą w ich dobre intencje

Główną poszlaką, która ma dowodzić, że koronawirus jest chińską bronią biologiczną, stało się istnienie w mieście Wuhan laboratorium bakteriologicznego, w którym prowadzi się badania nad najbardziej śmiercionośnymi patogenami, m.in. wirusem eboli oraz SARS. Laboratorium należy do niewielkiej grupy 54 podobnych ośrodków na świecie spełniających najostrzejsze wymogi BSL-4 (biosafety level 4 – czyli najwyższy, czwarty, poziom bezpieczeństwa). Ośrodek w Wuhanie jest stosunkowo nowy, działa dopiero od dwóch lat.

Laboratorium znajduje się zaledwie 30 km od targu rybnego w Wuhanie, gdzie jakoby (przynajmniej do niedawna tak uważano) pojawiły się pierwsze zakażenia nowym wirusem. Połączenie tych faktów pozwoliło łatwo sformułować hipotezę, że wirus jest dziełem chińskich naukowców i wymknął się im spod kontroli. Natychmiast też odkurzono działającą na wyobraźnię powieść Deana Koontza „Oczy ciemności" z 1981 r., która opowiada o wypuszczeniu z tajnego laboratorium w Wuhanie wirusa niszczącego ludzkie mózgi i służącego komunistycznym Chinom do podboju świata.

W literacką fikcję, którą sensacyjne media natychmiast obwołały przepowiednią, nikt rozsądny – rzecz jasna – nie uwierzył, ale scenariusz zarysowany przez amerykańskiego autora popularnych thrillerów zdawał się potwierdzać słowa niektórych naukowców, wśród nich Tima Trevana, konsultanta ds. bezpieczeństwa biologicznego z amerykańskiego

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 7cf024e5c7

stanu Maryland, który odwiedził prawdziwe laboratorium w Wuhanie w przeddzień jego oficjalnego otwarcia i w rozmowie z magazynem „Nature" niepokoił się dziurawym reżimem zabezpieczeń wprowadzonym w ośrodku.

Przypomniano też, że już wcześniej zdarzały się wycieki niebezpiecznych patogenów z chińskich laboratoriów. W 2004 r. dwójka studentów zaraziła się wirusem SARS w pekińskim ośrodku wirusologicznym. Na szczęście bez poważniejszych konsekwencji dla otoczenia. Tym razem jednak koronawirus, który pojawił się w 2019 r. w Wuhanie, zdołał się błyskawicznie rozprzestrzenić po całym świecie, więcej niż dwa miliony ludzi i zabijając ponad sto tysięcy.

W tym miejscu pojawiają się jednak wątpliwości. Jeżeli przyjąć na chwilę, że – jak utrzymują zwolennicy hipotezy o broni biologicznej – wirus powstał w laboratorium, to czy wydostał się z niego przypadkowo, czy celowo? To istotne pytanie, bo przypadkowe wydostanie się wirusa nieco niweczy teorię o broni biologicznej. Jest też kolejne: dlaczego Chińczycy, nawet jeśliby działali celowo, postanowili uderzyć we własnych obywateli?

> Jedna z hipotez naukowych zakłada, że koronawirus początkowo nie wywoływał choroby i przez jakiś czas krążył niezauważony wśród ludzi, zanim zmutował w obecną, niebezpieczną odmianę

WOJNA PROPAGANDOWA

W internecie krąży od pewnego czasu historia o tym, że wirus posłużył władzom w Pekinie do spacyfikowania miasta Wuhan, które miało być jakoby głównym ośrodkiem opozycji przeciwko reżimowi. Niepokorność Wuhanu tłumaczy się istnieniem w mieście wielu liczących się uczelni oraz instytutów naukowych, których kadry – dzięki rozległym kontaktom zawodowym ze światem zachodnim – szybko nasiąkały nastrojami opozycyjnymi. Władze w Pekinie postanowiły więc jakoby się rozprawić z dysydentami, dokonując przy okazji czystek w aparacie partyjnym i wzmacniając obecne kierownictwo partii. Epidemia, którą początkowo ukrywano, aby – w domyśle – zdołała się bez przeszkód rozprzestrzenić, miała z kolei posłużyć do wprowadzenia nadzwyczajnych środków kontroli nad całym społeczeństwem. A nieuchronne wydostanie się wirusa za granicę zostało – według tej teorii – wykorzystane przez Chiny do zdobycia przewagi nad zmagającym się z pandemią bezbronnym światem.

Ta opowieść brzmi bardzo pociągająco, ma jednak dwie podstawowe wady, brak autora i jakichkolwiek dowodów poza dość zgrabnym połączeniem z sobą różnych, często skądinąd prawdziwych, faktów.

Są też inne wersje tej historii mówiące, że opracowany w laboratorium wirus wydostał się z niego przypadkiem, ale gdy do tego doszło, władze zdecydowały się nie interweniować, widząc w tym okazję do brutalnego zdyscyplinowania społeczeństwa i jednocześnie zasiania chaosu w świecie.

Podobne historie budzą gwałtowne reakcje władz w Pekinie, które dostrzegają w nich wrogie działania propagandowe zmierzające do osłabienia chińskiej pozycji w świecie.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Fot. Shutterstock

Faktem jest bowiem, że epidemia – nawet bez pomocy teorii spiskowych – mocno zaszkodziła już wizerunkowi Chin jako dynamicznie rozwijającej się światowej potędze, w której wszystko działa jak w zegarku i której nic nie zdoła pokonać.

Nic więc dziwnego, że natychmiast pojawiły się – znacznie mniej wyrafinowane – doniesienia o tym, że koronawirus jest dziełem Amerykanów, którzy mieli rzekomo spreparować patogen w laboratorium wojskowym w Fort Detrick w stanie Maryland. Chińczycy sugerują, że patogen wyciekł z laboratorium, a ono samo zostało niespodziewanie zamknięte. Rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian oskarżył na Twitterze Stany Zjednoczone, że przemyciły wirusa do Chin podczas oficjalnej wizyty amerykańskiej delegacji wojskowej w Wuhanie w październiku 2019 r.

> Broń biologiczna ma wyeliminować jak największą liczbę żołnierzy, zwykle ludzi młodych i zdrowych, podczas gdy SARS-CoV-2 jest groźny głównie dla osób starszych lub chorych

WIRUS Z LABORATORIUM

Wielu specjalistów od broni biologicznej przyjmuje takie historie z przymrużeniem oka. Przyznają, że taktyka użycia takiej broni pozwala na zakamuflowanie ataku, ale dodają zarazem, że skuteczna broń biologiczna powinna być znacznie bardziej zjadliwa od koronawirusa SARS-CoV-2, z którym mamy dziś do czynienia. Chodzi bowiem o szybkie wyeliminowanie jak największej liczby żołnierzy, zwykle ludzi młodych i zdrowych, podczas gdy SARS-CoV-2 jest groźny przede wszystkim dla osób starszych lub chorych.

Jak się szacuje, w tej chwili około 20 państw posiada w swoim arsenale broń biologiczną, a kolejnych kilkanaście nad nią pracuje. Pomimo że większość krajów ratyfikowała konwencję zakazującą produkcji, magazynowania i składowania broni biologicznej, trudno jest kogokolwiek złapać za rękę, bo wiele niebezpiecznych patogenów jest przechowywanych w laboratoriach, aby zapewnić zdolność do produkcji szczepionek. Rosja i Stany Zjednoczone mają np. żywe szczepy ospy prawdziwej, śmiertelnie groźnej choroby, która od 1980 r. nie występuje już w naturalnych warunkach.

Oczywiście jest pytanie, czy zawsze napastnikowi zależy na uśmierceniu dużej liczby ludzi? Bo jeżeli przyjąć, że jego celem jest wywołanie chaosu i paniki, aby zdobyć przewagę, to obecny koronawirus spełnia te warunki. Jest też mutacją wirusa pochodzącego od zwierząt, a właśnie takie zwierzęce wirusy mogą budzić zainteresowanie wojskowych epidemiologów, szukających podstawy do opracowania nowych odmian przenoszących się na ludzi, trudnych w leczeniu i odpornych na szczepionki.

Laboratoryjne stworzenie takiego wirusa jest wykonalne. W listopadzie 2015 r. zespół naukowców pod kierownictwem Ralpha Barica z Uniwersytetu Karoliny Północnej spreparował w ramach eksperymentu hybrydowego wirusa, wykorzystując do tego celu białka występującego u nietoperzy koronawirusa SHC014 oraz szkielet wirusa SARS. Skoro było to możliwe w cywilnym laboratorium, to tym bardziej da się to zrobić w ośrodku wojskowym. Są jednak wątpliwości, czy w laboratorium w Wuhanie, które jest znanym ośrodkiem naukowym z dość szerokimi kontaktami międzynarodowymi, prowadzi się tego rodzaju badania wojskowe.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Największy cios hipotezom o sztucznym spreparowaniu koronawirusa SARS-CoV-2 zadali jednak naukowcy z zespołu kierowanego przez immunologa i mikrobiologa Kristiana Andersena ze Scripps Research Translational Institute w Kalifornii, którzy w marcu opublikowali wyniki swoich badań na łamach pisma „Nature Medicine". Badacze przeanalizowali dostępne dane dotyczące szczepów koronawirusa i doszli do wniosku, że powstał on wskutek naturalnych procesów. Ma o tym świadczyć zarówno budowa jego szkieletu, w którym nie znaleziono śladów manipulacji, jak i analiza fragmentów białek odpowiadających za przylgnięcie wirusa do komórek ofiary, wskazująca, że zdolności te są rezultatem zmian ewolucyjnych.

SPECYFICZNY NIETOPERZ

Badacze z Kalifornii wskazali dwie główne hipotezy dotyczące pochodzenia koronawirusa SARS-CoV-2. Pierwsza z nich zakładała, że koronawirus naturalnie mutował w ciele jakiegoś zwierzęcia, po czym przeniósł się na człowieka, tak jak to się to zdarzyło w przypadku epidemii SARS z 2002 r., gdy źródłem wirusa były łaskuny chińskie – żyjące w koronach drzew małe futrzaste drapieżniki należące do kotokształtnych (według innych źródeł były to blisko spokrewnione z łaskunami cywety), oraz później, podczas epidemii MERS w 2012 r., gdy wirus przeskoczył na człowieka z wielbłąda.

Kwestią otwartą jest w tym scenariuszu pytanie o pierwotnego gospodarza koronawirusa. Wielu ekspertów skłania się ku tezie, że był nim jakiś gatunek nietoperza. Te latające ssaki mają – zdaniem kalifornijskich naukowców – wyjątkowo szczelny układ odpornościowy, co sprawia, że atakujące go wirusy muszą bardzo pomysłowo mutować, aby go w końcu przełamać. W rezultacie wirusy pochodzące od nietoperzy są zazwyczaj mocno zjadliwe, odporne i łatwo ewoluują. Ma o tym świadczyć fakt, że wiele groźnych wirusów takich jak np. wspomniane wcześniej SARS, MERS czy wirus eboli prawdopodobnie pochodzi właśnie od tych zwierząt. Również obecny koronawirus SARS-CoV-2 jest bardzo zbliżony do tych, które występują u nietoperzy.

Jednocześnie jednak nie ma dowodów naukowych wskazujących na to, że wirus może się bezpośrednio przenieść z nietoperza na człowieka, zatem – aby uznać omawianą hipotezę za prawdziwą – do pierwszej infekcji człowieka musiało dojść, podobnie jak w przypadku wirusów SARS i MERS, za pośrednictwem innego zwierzęcia. Tu niektórzy naukowcy wskazują na łuskowca – małego ssaka przypominającego nieco żywą szyszkę. Koronawirus miałby więc – według tej teorii – przenieść się z nietoperza na łuskowca i w ciele tego ostatniego przekształcić się w mutację groźną dla człowieka.

Druga hipoteza zakładała z kolei, że wirus również przeszedł na człowieka ze zwierzęcia (tu znów głównym podejrzanym był łuskowiec, choć na swojej drodze do organizmu ludzkiego wirus mógł zaliczyć jeszcze inne gatunki, np. łaskuny lub fretki), lecz początkowo nie wywoływał choroby i przez jakiś czas krążył niezauważony wśród ludzi, zanim zmutował w obecną, niebezpieczną odmianę. Oznaczałoby to, że do znanej dziś groźnej mutacji doszło już w organizmie człowieka.

Pod koniec marca pojawiły się nowe ustalenia naukowe nieco modyfikujące te dwie hipotezy. Analiza koronawirusów występujących u nietoperzy i łuskowców może bowiem wskazywać, że SARS-CoV-2 jest chimerą dwóch różnych odmian pochodzących od obu gatunków. Do powstania chimery – czyli utworzenia nowego wirusa zbudowanego z różnych genetycznie komórek – mogło dojść w chwili jednoczesnego zarażenia przez oba koronawirusy tego samego organizmu.

Wszystkie podane scenariusze łączy jedno: że choć są prawdopodobne, to pozostają ciągle przypuszczeniami. Do tej pory nie ma bowiem stuprocentowych dowodów na pochodzenie szalejącego dziś na świecie koronawirusa, choć nie ulega raczej wątpliwości, że jest on tworem, który najpierw rozwijał się w organizmach zwierząt, a dopiero potem zdołał się przenieść na ludzi. Kiedy i jak to się stało, tego jeszcze nie wiemy. Jednak każdy kolejny miesiąc przybliża nas do rozwiązania tej zagadki.

UKRYWANIE ZAGROŻENIA

Domyślamy się już na przykład, że słynny targ rybny w Wuhanie, który według pierwszych doniesień z Chin miał być źródłem przyszłej epidemii, prawdopodobnie był jedynie wtórnym ogniskiem wcześniejszych zakażeń. Według informacji podanych w czasopiśmie „The Lancet" pacjent zero został zapewne zdiagnozowany już 1 grudnia 2019 r., a więc na dwa

REKLAMA

54/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

tygodnie przedtem, jak do lekarza zgłosiła się 57-letnia Wei Guixian, sprzedawczyni krewetek na targu w Wuhanie. Co ciekawe, lekarz, do którego 16 grudnia trafiła Wei, poinformował, że już wcześniej przyjmował pacjentów z podobnymi do niej objawami. A zatem być może faktycznie koronawirus krążył od jakiegoś czasu niezauważenie wśród ludzi i nagle zmutował, wywołując epidemię, najpierw lokalną w Wuhanie, a potem globalną.

Odpowiedzi na to pytanie nie ułatwia nam polityka Chin, które początkowo skrzętnie zataiły pojawienie się koronawirusa, a lekarzy alarmujących o nowym zagrożeniu, takich jak nieżyjący już doktor Li Wenliang, oskarżano o rozpuszczanie fałszywych pogłosek. Według przecieków z tajnego raportu CIA, przygotowanego dla Białego Domu na temat chińskiej polityki informacyjnej, Pekin mocno zaniżył dane o rzeczywistej skali epidemii. Te zarzuty potwierdza do pewnego stopnia porównanie liczby zakażonych w Chinach oraz w innych krajach dotkniętych epidemią. Władze w Pekinie utrzymują, że zanotowały dotąd niecałe 82 tys. przypadków i nieco ponad 3 tys. ofiar, a epidemia została już opanowana, dlatego nie ma dalszego przyrostu. Dla odmiany w Stanach Zjednoczonych do połowy kwietnia zanotowano 650 tys. przypadków oraz 30 tysięcy zgonów w znacznie krótszym niż w Chinach czasie. Podobnie jest we Włoszech, Hiszpanii czy Francji, które – przy wielokrotnie niższej liczbie ludności niż Chiny – mają już ponad 150 tys. chorych i około 20 tys. ofiar.

Pekin tłumaczy swój sukces bardzo restrykcyjną kwarantanną, jednak w obliczu wielkiej zjadliwości wirusa podawana oficjalnie liczba zakażonych wydaje się zupełnie niewiarygodna. Z tego powodu 31 marca amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo oskarżył władze w Pekinie o ukrywanie prawdziwego zasięgu epidemii i opieszałe dzielenie się informacjami na jej temat. Amerykanie twierdzą, że w rezultacie zbyt późno przystąpili do walki z zagrożeniem i nie zdołali ograniczyć liczby ofiar.

CHIŃSKI MUR

Według niepotwierdzonych danych w mieście Wuhan, gdzie wybuchła epidemia, mogło być nawet dziesięciokrotnie więcej zgonów, niż ogłosiły władze Chin. Jeśli tak, to w rzeczywistości liczba ofiar przekroczyła w Chinach 30 tys. osób.

Pod koniec marca w Wuhanie rozpoczęto akcję wydawania rodzinom skremowanych szczątków ich bliskich, którzy zmarli w trakcie epidemii koronawirusa. Według informacji zamieszczonych przez Radio Free Asia siedem domów pogrzebowych codziennie wydawało około 500 urn z prochami. Proste przeliczenie liczby urn przemnożonej przez pięć dni tygodnia oraz liczbę domów pogrzebowych daje wynik ponad 17 tys., a zatem znacznie wyższy od oficjalnie ogłoszonej liczby 2,5 tys. ofiar epidemii w Wuhanie. Są to i tak najniższe szacunki, ponieważ inne nieoficjalne dane podawane przez media mówią, że niektóre domy pogrzebowe wydawały o wiele więcej niż 500 urn dziennie, co pozwala wstępnie oceniać liczbę zgonów na ponad 40 tys. Nie jest też jasne, ilu z tych zmarłych zostało przed śmiercią zdiagnozowanych, ocenia się bowiem, że wielu chorych umarło w domach i w ogóle nie było leczonych.

> Jak głosi internetowa plotka, władze w Pekinie wykorzystały wirusa jako broń biologiczną służącą do sterroryzowania własnego społeczeństwa i zasiania chaosu na całym świecie

Inną teorię dotyczącą liczby ofiar koronawirusa w Chinach sformułowano na podstawie gwałtownego spadku liczby abonentów telefonii komórkowej. W Chinach zarejestrowanych jest 1,6 mld numerów, a więc więcej, niż wynosi liczba ludności całego państwa (1,37 mld). Przy czym dla współczesnego Chińczyka posiadanie numeru nie jest wyłącznie – tak jak u nas – kwestią wyboru, ale koniecznością. Aplikacje w smartfonach są często niezbędne przy korzystaniu z konta bankowego, z usług publicznych, a także przy podejmowaniu pracy zarobkowej. Wskutek epidemii koronawirusa wprowadzono dodatkowo, na razie w formie pilotażu, tzw. kody zdrowotne, które – w zależności od ryzyka infekcji – dzielą abonentów na trzy grupy: zieloną, żółtą i czerwoną. Jedynie posiadacze zielonego kodu mogą bez przeszkód korzystać ze wszystkich usług publicznych. Krótko mówiąc, oznacza to, że bez konta abonenckiego człowiek nie może normalnie funkcjonować.

Tymczasem, jak wynika z oficjalnych danych, w Chinach ubyło na początku roku 21 mln abonentów. Nic dziwnego więc, że w niektórych publikacjach liczbę tę zaczęto uważać za wskaźnik rzeczywistej skali epidemii. Wydaje się jednak, że nawet w autorytarnym państwie, jakim są Chiny, trudno byłoby ukryć tak ogromną liczbę ofiar. Władze nie publikowałyby też zapewne statystyk wskazujących na spadek liczby abonentów. Być może wyjaśnieniem zagadki jest przytoczony wcześniej fakt, że abonentów telefonii komórkowej jest w Chinach więcej niż mieszkańców, co oznacza, że część z nich ma dwa lub więcej kont. Jest to możliwe i praktykowane, istnieją bowiem konta prywatne i firmowe. Niewykluczone więc, że spadek liczby abonentów ma związek z zamknięciem części kont firmowych. Istnieje też teoria związana z dość powszechnym w Chinach procederem odpłatnego „wynajmowania" dodatkowych kont agencjom marketingowym, które wykorzystywały je m.in. do napędzania ruchu w internecie. Po wybuchu epidemii ten intratny biznes podupadł, stąd również może wynikać spadek aktywnych kont.

Wszystko to jednak oznacza, że klucz do zagadki koronawirusa znajduje się w Chinach. I dopóki sami go nie znajdziemy, będziemy skazani na przypuszczenia i domysły. Nie ułatwia nam to walki z pandemią.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Fot. Krystian Maj/KPRM

Tryb awaryjny

Mierzymy się jako państwo z czymś, co jeszcze pół roku temu trudno było sobie wyobrazić. Kiedy i jak z tego wyjdziemy?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Nikt nie był na to przygotowany – to zdanie powtarzane przez każdego z naszych rozmówców kusi, by używać go jako wytłumaczenie błędów i niedociągnięć, których w pierwszych tygodniach walki ze skutkami epidemii koronawirusa trochę jednak było. Z drugiej strony, owo stwierdzenie jest przecież najprawdziwszą prawdą. Dlatego działania w wielu obszarach to lepiej lub gorzej zaplanowana improwizacja, a ich weryfikacja nadejdzie szybko. Sprawdziliśmy, gdzie i jak dzisiaj w Polsce zapadają kluczowe decyzje, kto za nie bierze odpowiedzialność, kogo za jakiś czas pochwalimy albo będziemy rozliczać.

NIE JEST RÓŻOWO

W ostatnich kilku tygodniach państwo działa w trybie specjalnym. Narady, konsultacje, szybkie pisanie ustaw. Celem podstawowym, który udaje się realizować, przynajmniej na razie, było zapanowanie nad dynamiką zachorowań na COVID-19 na tyle, by dać systemowi ochrony zdrowia szansę

eprasa.pl 7cf024e5c7

na leczenie na bieżąco. To się udało. – Mamy przygotowanych 9 tys. miejsc w szpitalach dla pacjentów z koronawirusem, a zajętych jest ok. 2,5 tys. 3 tys. ludzi jest w izolacji domowej. Wygląda na to, że nie będzie utraty kontroli nad epidemią, jak we Włoszech czy Hiszpanii – mówi nam jeden z wiceministrów.

Skutkują dosyć drastyczne obostrzenia nałożone przez rząd. Ale co będzie dalej? Trudniejsze od wprowadzania zakazów będzie ich wycofywanie. A zachowanie balansu między troską o zdrowie ludzi a koniecznym szybkim odmrażaniem gospodarki to już prawdziwa ekwilibrystyka.

W pierwszej kolejności należy się zatem przyjrzeć kancelarii premiera. To tutaj zapadają decyzje, które potem dotyczą nas wszystkich. – Radzimy sobie, ale za dużo jest retoryki huraoptymizmu i sukcesu. Do tego nam jeszcze daleko. Trzeba stanąć w prawdzie, państwo nie jest przygotowane do działania w takim trybie – słyszymy od jednego z wysokich urzędników. Prosi o anonimowość, jak i pozostali nasi rozmówcy, bo chcą powiedzieć szczerze, jak jest, ale jednocześnie nie wszczynać kolejnych kłótni w obozie rządzącym. – Wielu rzeczy nie dało się przewidzieć, ale w niektórych obszarach sami sobie ściągnęliśmy kłopot na głowę, nie dbając o instytucje i procedury – dodaje.

Codziennie rano premier spotyka się ze swoimi najbliższymi współpracownikami oraz z ministrami zaangażowanymi w bezpośrednią walkę z COVID-19 na posiedzeniu Rządowego Zespołu Zarządzania Kryzysowego. Wideokonferencja poprzez łącza zapewnione przez policję, bardzo stabilne i bezpieczne. Szef rządu odbiera raport ze szpitali, granic, dostaje informacje ze spółek i z MSZ.

W MSWiA – kolejnym strategicznym punkcie na mapie państwa – narada z wojewodami, którzy są akurat bardzo chwaleni za operatywność na swoich terenach. – Mają ciężkie zadanie, bo muszą radzić sobie z kryzysami w placówkach samorządowych. To oni załatwiają sprawy małe, jak dostarczenie kanapek osobom czekającym na granicach, ale też wydają np. decyzje nakazowe lekarzom i pielęgniarkom, żeby się stawili do pracy w miejscach, gdzie brakuje obsady – słyszymy od kolejnej osoby. Nie zawsze udaje się te dziury załatać, nie każdy polecenie wykonuje, a w mediach bardzo nośne są poruszające opowieści o opuszczonych pacjentach w domach pomocy społecznej albo zarażonym personelu, który pracuje ponad siły. To prawda, każdy taki przypadek chwyta za serce. Ale by być szczerym, należy przyznać, że skala tego zjawiska jest marginalna, a już mało kto wyjaśnia, że często chodzi o placówki prywatne, na których właściciel świetnie zarabiał, a teraz odwraca się od problemu.

> Wśród osób, które wchodzą w skład specgrupy Morawieckiego, padają nazwiska Michała Dworczyka, Łukasza Schreibera, Marleny Maląg, szefa PFR Pawła Borysa oraz osób związanych z Agencją Rozwoju Przemysłu

Nie wolno zapomnieć o dobrze działających Wojskach Obrony Terytorialnej i policji. – Jest zabezpieczenie w środki ochrony osobistej dla funkcjonariuszy, dobrze to wpływa na ich morale, a to bardzo ważne. Policja robi wiele rzeczy, które ludziom się podobają. Sprawdzanie, czy zasady kwarantanny są dotrzymywane, wcale nie jest przykrym obowiązkiem.

Wizerunkowo ten kryzys wygrywają jak do tej pory na pewno spółki skarbu państwa. W dobie pandemii się okazało, jakie znaczenie ma posiadanie przez państwo własnych linii lotniczych. LOT w niespełna trzy tygodnie przywiózł do Polski ponad 55 tys. obywateli z całego świata. Teraz samoloty narodowego przewoźnika są narzędziem kolejnej akcji: „Cargo dla Polski", i pomagają KGHM, ARP czy Lotosowi w transporcie wielu ton sprzętu ochrony osobistej oraz respiratorów kupionych na Dalekim Wschodzie.

– To nie był ich pomysł, ale świetnie się w nim odnalazły, gdy poszedł sygnał, że państwo potrzebuje wsparcia. Dało się szybko znaleźć odpowiednie kontakty handlowe i zrealizować szybkie zakupy – mówi ważny polityki PiS. Rzeczywiście, sukces spółek wziął się z impulsu z KPRM i Ministerstwa Aktywów Państwowych, które transporty koordynuje. Tak było np. z przylotem do Warszawy „Mriji", największego samolotu transportowego na świecie. Pieniądze za zakupy założyły KGHM i Lotos, ale państwo im tę kwotę niebawem zwróci. – Nawet gdybyśmy wykupili godziny reklam w telewizji, nasz wizerunek tak by nie zyskał, jak na tej autentycznej pracy dla Polski – słyszymy w jednym z największych przedsiębiorstw.

KTO TU RZĄDZI?

Mamy do czynienia z epidemią, więc naturalne jest, że większość strategicznych decyzji konsultowana jest z ministrem zdrowia. Prof. Łukasz Szumowski pnie się w górę w rankingach zaufania polityków, Polacy mu wierzą, bo od początku otwarcie mówił o nadchodzącej chorobie i nie mydlił oczu, przestrzegając przed jej skutkami.

– Obserwowałem go podczas kampanii wyborczej do parlamentu na północnym Mazowszu. Nawet żartowano, że jego usypiający ton bywa momentami nieznośny, ale okazało się, że właśnie ten spokój w czasie epidemii to jest jego siła – mówi nam jeden z posłów.

Jeżeli więc wciąż w przekazie publicznym słyszymy, że do podjęcia takiej lub innej decyzji potrzeba opinii ministra zdrowia, to powstaje pytanie, czy to obecnie najważniejszy polityk w kraju? Tu zdania są podzielone. – Na jego opiniach rzeczywiście wszyscy się opieramy. Jest w nich suwerenny, ale potrafi być elastyczny, bo rozumie politykę bardzo szeroko – mówi ważny poseł PiS. – Nie wydaje mi się, by to Łukasz miał ostatnie słowo. Ważniejszy chyba

eprasa.pl 7cf024e5c7

Fot. Krystian Maj/KPRM

Codziennie podczas wideokonferencji premier odbiera raport ze szpitali, granic, dostaje informacje ze spółek i z MSZ

jest w tym układzie wiceminister Janusz Cieszyński, bo to on ma bliższy kontakt z premierem – kontruje inny.

Tak czy inaczej, wszystkie drogi znów prowadzą do premiera. To on i jego współpracownicy ręcznie sterowali państwem w pierwszych dniach kryzysu. Gdy trzeba było wejść w kompetencje ministerstw, to się działo nawet za cenę pewnych sporów ambicjonalnych. Gdy należało szybko wskazać państwowym spółkom, czym teraz powinny się zająć, też impuls wychodził z KPRM. – Prezes Daniel Obajtek już po kilku godzinach oddzwonił, że ma pomysł, jak przestawić produkcję. Zareagował bardzo szybko – przyznaje nasz rozmówca.

Wśród osób, które wchodzą w skład swego rodzaju specgrupy Morawieckiego, padają nazwiska Michała Dworczyka, Łukasza Schreibera, Marleny Maląg, szefa PFR Pawła Borysa oraz osób związanych z Agencją Rozwoju Przemysłu. To w tym gronie, wspartym zespołem Ministerstwa Rozwoju Jadwigi Emilewicz narodziły się ustawy nazywane dzisiaj tarczami antykryzysowymi. Pierwsza, jeszcze mocno niekompletna, powstała w niespełna 48 godzin. Została błyskawicznie skonsultowana, także z opozycją, i przeprowadzona przez parlament.

CENTRUM NOWOGRODZKA

Do ustaw swoje uwagi włączył również prezydent. Na jego wniosek znacznie poszerzono grono przedsiębiorców, którzy mogą skorzystać z ulg i wsparcia państwa. Choć krytycy widzieli w tym kampanijną „ustawkę", to Andrzej Duda rzeczywiście jest w ostatnich tygodniach bardzo skoncentrowany na kwestiach gospodarczych. W wywiadzie dla tygodnika „Niedziela" powiedział wręcz, że „w obecnej sytuacji jego programem wyborczym jest tarcza antykryzysowa". Już całkowicie jego inicjatywą, dobrze przyjętą przez środowisko bankowe, była prośba o możliwość zawieszenia nawet na pół roku rat kredytowych osobom dotkniętym przez kryzys.

Politycy, z którymi rozmawiamy, szczerze jednak przyznają, że nie w Pałacu Prezydenckim jest dzisiaj główny ośrodek decyzyjny państwa. Andrzej Duda dobrze pełni funkcję reprezentacyjną i wspomaga rząd mądrą dyplomacją (m.in. rozmowa z prezydentem Chin na temat dostaw sprzętu). – Interesuje się gospodarką, promuje polskie produkty, zachęca do dyscypliny sanitarnej. Więcej trudno od głowy państwa wymagać. Ludzie takie gesty doceniają – opowiada nasz rozmówca.

Prezydent, który jest przecież także kandydatem w wyborach, stara się nie zajmować kwestią terminu ani trybu, w jakim zostaną one przeprowadzone. Podkreśla tylko wymijająco, że „najważniejsze jest dla niego życie i zdrowie rodaków". – Wszystkie pomysły, zarówno Jarosława Gowina dotyczące wyborów za dwa lata, jak i trybu korespondencyjnego autorstwa PiS, były konsultowane z prezydentem. Andrzej bierze udział w walce o reelekcję, ale to parlament ustali, na jakich zasadach ona się odbędzie – mówi nam jeden ze współpracowników prezydenta.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Antonow An-225 „Mrija", największy samolot transportowy na świecie, na zlecenie KGHM i Lotosu dostarczył z Chin do Polski 80 ton sprzętu medycznego do walki wirusem

Fot. Andrzej Wiktor

Każda ważna decyzja dotycząca proponowanych ustaw, programów pomocowych czy też wyborów to odpowiedzialność partii rządzącej. Nie dziwi więc nas, że wszyscy nasi rozmówcy wskazują na jeden ośrodek, który jest naprawdę decyzyjny. – Przy Nowogrodzkiej, u prezesa Jarosława Kaczyńskiego, zapadają najważniejsze decyzje dotyczące kierunku naszej polityki. Tam jest jądro naszej partii. I postanowienia, które stamtąd wypływają, są zazwyczaj „na twardo" – słyszymy.

DO POPRAWY

Czy można postawić tezę, że państwo działa perfekcyjnie? Odpowiedzi udziela jeden z najbliższych współpracowników Mateusza Morawieckiego: – Nie odważyłbym się na takie stwierdzenie. Są tendencje, by zamiast naprawiać słabo funkcjonujące komórki państwa i systemowo je układać, zastępować je działaniami „czapy", czyli np. kancelarii premiera. Okazało się, że wiele obszarów jest nieskoordynowanych albo nie działa – jak Agencja Rezerw Materiałowych, która powinna pozyskiwać i dystrybuować środki ochronne.

Jeden z wysokich urzędników Ministerstwa Klimatu, które nadzoruje ARM, odpowiada: – Owszem, była wpadka ze sprzedażą maseczek, ale można powiedzieć, że starali się je płynnie uzupełniać. Teraz wszystko się już udrożniło i dobrze funkcjonuje. Choć nie jest tajemnicą, że była to instytucja skostniała, kolos, który wszystko musi mieć atestowane. Gdy przyszedł kryzys, okazało się, że nie są w stanie podjąć decyzji. Zamiast szybkiego działania było długie planowanie, księgowanie... Dlatego wymiana prezesa była zasadna.

> Jeżeli w przekazie publicznym wciąż słyszymy, że do podjęcia takiej lub innej decyzji potrzeba opinii ministra zdrowia, to powstaje pytanie, czy to obecnie najważniejszy polityk w kraju? Tu zdania są podzielone

To, czego zabrakło w magazynach Agencji, trzeba było sztukować po cichu przy pomocy spółek skarbu państwa. – Ale interwencyjne zakupy spółek obnażyły słabość dotychczasowego systemu. Bo gdybyśmy nie przeprowadzili tego w taki sposób, nieco partyzancki, bylibyśmy w czarnej... dziurze.

Idąc tropem dymisji, w MSWiA pytamy o odwołanie komendanta Szkoły Głównej Służby Pożarniczej, które kładzie się cieniem na generalnie bardzo dobrym działaniu mundurówek. – Tam trwał długoletni proces degradowania placówki, lekceważenia procedur. Studenci nie chodzili na zajęcia w mundurach, kadra była skłócona, występowało sporo nieprawidłowości, rozprężenie morale, zero dyscypliny. A przecież z SGSP mają wychodzić oficerowie! – słyszymy.

Kolejna działka to funkcjonowanie spółek skarbu państwa. Słyszymy, że kryzys to dla nich wielka szansa, bo może wreszcie zaczną funkcjonować tak, jak należy: – Kiedy jest czas prosperity, nie ma napięcia, by tu i teraz szybko pokazać wynik, to można pewne rzeczy ukrywać, przedłużać. I w większości spółek tak było. Tłuste misie po prostu sobie trwały. Tak to funkcjonowało od wielu lat, za naszych czasów w dużej części też. Może w mniejszym stopniu niż za PO, ale niestety również. I to się teraz musi zmienić – mówi nam jeden z członków rządu.

Wskazuje kilka przykładów: – Nie będę podawał nazw, ale weźmy jedną z wielkich spółek z branży transportowej. Przez cztery lata tam się nic nie działo! Opóźniano inwestycje, nie wykorzystywano potencjału. Jeśli w tym momencie tego nie naprawią, spółka będzie się degradowała. Kolejna firma przez trzy lata zjadła ponad 20 mln zł. Nie realizują żadnej inwestycji. Wydali kasę na projekty, a nie ruszyli kompletnie z niczym, bo nie było porządnego nadzoru z resortu infrastruktury. Mógłbym wam wymienić kilkanaście tak funkcjonujących przedsiębiorstw.

W naszych rozmowach pojawia się termin „silosowatości" w działaniu państwa, którą kryzys paradoksalnie zaczął rozbijać. – Dziś działania muszą być podejmowane bardzo szybko i w ścisłej współpracy pomiędzy różnymi resortami, ważnymi politykami. Decyzje muszą zapadać błyskawicznie. Te wszystkie narady, zespoły spowodowały, że duża część ministrów musiała wyjść ze swoich resortów i procesy decyzyjne dostały nagłego przyspieszenia

eprasa.pl 7cf024e5c7

– w różnych obszarach, od przepisów po informatyzację. To jest pozytywne. Ale wcześniej? Niestety było tak, że duża część polityków i menedżerów zamykała się w tych swoich silosach, chroniła „teren", okopywała się na niekorzyść pracy zespołowej. To jest zmora polskiej polityki od 30 lat.

DOBRA ZMIANA NA WIRAŻU

– Kryzys zresetował wszystko. I gospodarkę, i politykę – dzieli się z nami przemyśleniami jeden z ministrów. Jak dodaje, widzi w tym dużo szans: – Niektórzy nie rozumieją tego, co nas czeka już za kilka tygodni. Albo bezrobocie będzie mniejsze, niż zakładamy, albo się zwiększy i tego nie zapudrujemy. Polityka staje się więc realna. Decyzje, które każdy z nas podejmuje, będą miały natychmiastowy efekt. Jeżeli ktoś się pomyli, wylatuje. Nie tylko z rządu, lecz i z polityki. Ta fala nadchodzi bardzo szybko. Jesteśmy jeszcze mocno zamrożeni, ale za moment te wszystkie rzeczy wyjdą. Wielu uznawało, że okres koronawirusa jest okresem zastoju, ale to nieprawda. Zwłaszcza w gospodarce.

Każda z osób, z którymi rozmawiamy, podkreśla, że sytuacja polityczna dziś jest wielką niewiadomą. Kluczowe pytanie brzmi: co z wyborami? – Zapytajcie Jarka Gowina. A dokładniej, zapytajcie go, ilu ma ludzi. Maksymowicz, Sośnierz, Wypij, nie wiadomo, jak się zachowa Bortniczuk – wylicza szable byłego wicepremiera kolejny członek rządu. Pytamy, na co liczył szef Porozumienia, stając okoniem wobec majowych wyborów i wychodząc z rządu. W odpowiedzi słyszymy: – Na to samo, na co liczył wtedy, gdy odchodził z Platformy – że to już koniec tego obozu i trzeba się usadowić na nowo.

Kolejny polityk, wiceminister w jednym z kluczowych resortów w czasie walki z epidemią: – Część naszego środowiska chce ugrać na tym kryzysie swoje interesy. Niezależnie od tego, czy Gowin ma rację, czy nie, to wywołał niepotrzebną dyskusję i strach przed wyborami.

Kilka osób zwraca nam uwagę na list Jarosława Gowina do członków Porozumienia. Pisał w nim m.in.: „W obliczu ostatnich wydarzeń byliśmy zgodni, że wybory w dniu 10 maja oznaczają zagrożenie dla zdrowia i życia Polaków. To przekonanie w rozmowach ze mną podzielał Premier, Minister Zdrowia, a także liderzy środowisk opozycyjnych". Szybko odniósł się do tego Łukasz Szumowski w rozmowie z portalem wPolityce.pl. Mówił o „zadziwiających" wnioskach Gowina, „nadinterpretacji" i prosił, by szef Porozumienia „nie wciągał go w swoje gry".

– Nie wiem, ile chcecie napisać, ale ten list coś pokazał – był jakiś plan, ale np. Szumowski szybko się cofnął.

> Czy można postawić tezę, że państwo działa perfekcyjnie? Odpowiedzi udziela jeden z najbliższych współpracowników premiera: – Nie odważyłbym się na takie stwierdzenie

Na tym też polega polityka. To mogła być jakaś próba uderzenia w Andrzeja Dudę, bo przecież każdy element odłożenia wyborów jest de facto niekorzystny dla prezydenta, to jest oczywiste. Na szczęście prezes trzyma nad tym kontrolę, choć jest świadomy tego, co się wydarzyło – cieszy się jeden z posłów niebędący członkiem PiS.

Pytamy więc, jak ta próba sił w obozie władzy się zakończy: – Trudno cokolwiek powiedzieć. Zadecydować może to, że jeden pan źle wciśnie guzik albo drugi nie będzie chciał przycisnąć. Możemy mówić o dużym wirażu naszego obozu – dodaje jeden z najważniejszych polityków Solidarnej Polski. On też wskazuje na kluczową rolę Jarosława Kaczyńskiego: – Prezes naprawdę chce doprowadzić do tego, że my z tego wirażu wyjdziemy. I cała ta inicjatywa zmiany konstytucji pokazuje, że nie ma próby upokorzenia Gowina, tylko podania mu dłoni, powiedzenia: „Zostań z nami". Nie ma nic gorszego niż emocje, które powodują, że wszyscy zaczynają się nakręcać. Mam nadzieję, że wszystkim w Zjednoczonej Prawicy będzie zależeć na utrzymaniu jej spoistości. Choć będą na to różne koncepcje.

JAK WYJŚĆ Z KRYZYSU?

Podobnie jak różne będą pomysły na powrót dobrej koniunktury dla naszej gospodarki. Dziś nie znamy odpowiedzi na wiele fundamentalnych pytań. Jak długo potrwa kryzys? Jak sobie z nim poradzić? Czy na ten ekonomiczny nałoży się dodatkowo polityczny? Na co Polska może liczyć ze strony Unii Europejskiej, a czego się obawiać?

To ostatnie zagadnienie w najbliższych tygodniach może się okazać kluczowe. W czerwcu wykrystalizować się ma unijny „Zielony ład", czyli staniemy przed najważniejszą decyzją ekonomiczną Polski w perspektywie wielu dekad. Trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie, czy chcemy mieć gospodarkę niskoemisyjną, czy tradycyjną. Dołączenie do zielonego peletonu będzie nas kosztowało setki miliardów.

Nasi rozmówcy zwracają też uwagę na nadchodzącą kolejną zmianę, dotyczącą eurorealizmu. – Prezes Kaczyński powiedział to jasno w jednym z ostatnich wywiadów: że trzeba UE zreformować. Polska może więc na nowo rozpocząć dyskusję, jak Unia ma funkcjonować – słyszymy od jednego z ministrów. Jak mówi, gdy pandemia ustanie, a przy jednym stole siądą Włosi z Niemcami, to trudno będzie sobie wyobrazić ich porozumienie i chęć tych pierwszych, by z budżetu unijnego finansować kwestie klimatyczne, podczas gdy na południu kontynentu rosnąć będzie presja społeczna powodowana 20-procentowym bezrobociem.

Widać więc stojące przed Polską możliwości – na naprawę nie tylko słabiej funkcjonujących obszarów naszego państwa, lecz i wspólnoty europejskiej. Pytanie, czy obóz rządzący Polską będzie gotowy je podjąć. I ważniejsze: czy wciąż będzie stanowił jedność, bez której ciężko będzie sprostać temu wyzwaniu.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Sprawczość kontra totalność

Dla Zjednoczonej Prawicy pojawia się szansa, by o ile nie rozbić, o tyle przynajmniej osłabić ten emocjonalno-symboliczny spór w polskiej polityce, który wydawał się nie do przełamania. Możliwość pozyskania nowych wyborców. Ale także pokazania się jako środowisko szerokie, otwarte, intelektualnie żywe

Michał Karnowski rozmawia z prof. Norbertem Maliszewskim, szefem rządowego Centrum Analiz Strategicznych

Według zapowiedzi wielu ekspertów epidemia wywołana koronawirusem, jej skutki gospodarcze i społeczne, zmieni w poważnym stopniu nasze życie. Premier Mateusz Morawiecki użył w tym kontekście sfor-

Fot. Maja Krynska

prasa.pl 7cf024e5c7

mułowania „nowa rzeczywistość", do której dochodzić mamy w czterech etapach. A jak to będzie według pana profesora wyglądało na scenie politycznej? Czy wydarzenia ostatnich tygodni zostawią jakiś trwały ślad?

Norbert Maliszewski: Wyniki badań społecznych pokazują, że Polacy docenili działania rządu na pierwszym etapie epidemii. Nasza strategia supresji, podjęcia decyzji o szybkich obostrzeniach, skutkuje tym, że w tym momencie jesteśmy jednym z krajów w UE, w których jest najmniej przypadków zakażeń na milion mieszkańców. W innych krajach najpierw była strategia łagodzenia, potem gdy kula śnieżna epidemii zamieniła się w lawinę, zdecydowano się na restrykcje. My mamy ten przyrost przypadków pod kontrolą, wydolna jest służba zdrowia, możemy decydować się na strategię bezpiecznego, powolnego łagodzenia obostrzeń i stymulowania gospodarki. Ocena postępowania opozycji, zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej, która zajmuje pozycje skrajnie krytyczne, według wyników badań społecznych jest w dużej mierze negatywna. Efektem może być poszerzenie przez Zjednoczoną Prawicę kręgu sympatyków o osoby, które dotychczas nie identyfikowały się z tym obozem politycznym.

To może być coś więcej niż naturalne skupienie się wokół władzy w sytuacji kryzysowej?

Mechanizm identyfikacji z rządem w sytuacji zagrożenia też oczywiście występuje, ale coraz większe znaczenie ma postrzegana skuteczność tego rządu, sprawczość, zwłaszcza na tle tych krajów, które wcześniej były wzorem, a dziś poniosły porażkę w zakresie podejmowania właściwych decyzji strategicznych.

Pierwszy raz od dawna różne odłamy opozycji wybrały zdecydowanie odmienne sposoby reakcji.

Władysław Kosiniak-Kamysz, próbując zachowywać się w sposób odpowiedzialny, przyjmując umiarkowaną linię w krytyce rządu, uzyskuje lepsze oceny, skrajnie zaś negatywne narracje, które czasami wręcz mają znamiona teorii spiskowych, przynoszą straty Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Oczywiście w tle jest kalkulacja tego obozu politycznego i pewnie Donalda Tuska, że za jakiś czas to swoiste obstawianie klęski rządzących się opłaci, bo Polacy będą zmęczeni ewentualnymi skutkami gospodarczymi epidemii, konsekwencjami dla portfela i pracy. Takie ryzyko oczywiście jest. Ale to też szansa – jeżeli rządowi uda się przekonać Polaków, że ta strategia odmrażania gospodarki, kolejne tarcze, warte obecnie ponad 300 mld zł, służące zachowaniu miejsc pracy przez Polaków – może przynieść pozytywne przewartościowanie postaw wielu z nich wobec Zjednoczonej Prawicy. Taki scenariusz oznacza z kolei problemy dla Koalicji Obywatelskiej, dalszy proces jej dekompozycji i podważanie roli lidera opozycji.

> Zdarzyła się rzecz bardzo ważna, o możliwych poważnych politycznych konsekwencjach: duża część Polaków zobaczyła sprawność, efektywność, skuteczność rządu Zjednoczonej Prawicy. Zobaczyli to nie tylko wcześniejsi zwolennicy tej formacji, ale wszyscy ci, którzy umieją racjonalnie ocenić liczby i dane

To bardzo ciekawy wątek, bo jeżeli wielka, rozdająca dotychczas po stronie opozycji karty Koalicja Obywatelska ma wyraźny problem z przywództwem i wystawia tak słabą kandydatkę na prezydenta, to pozostałe środowiska zażądają zmiany układu sił, spróbują sięgnąć po część zasobów PO/KO?

Kandydatka na prezydenta, pani Małgorzata Kidawa Błońska, traci w sondażach z każdym dniem trwania tego kryzysu. Jeżeli nowy lider, pan Borys Budka, też nie umie zatrzymać spadku poparcia dla całej formacji, to za chwilę pojawią się politycy, którzy uznają, że mają lepszy pomysł na to, jak działać w sytuacji kryzysu pandemii. Uwidoczniona w tych tygodniach słabość Koalicji Obywatelskiej polega jednak nie tylko na słabości przywództwa, ale także braku odpowiedniej oferty merytorycznej i nieobecności zaplecza eksperckiego. Polacy nie usłyszeli z tamtej strony wiarygodnych pomysłów, jak zareagować na epidemię, jak chronić miejsca pracy, jak się mamy w tym, jako wspólnota, odnaleźć. Bardziej przebijają się eksperckie pomysły pozostałych środowisk opozycyjnych. To wszystko stawia partię pana Borysa Budki w trudnej sytuacji. Ale czy to pozwoli innym partiom przejąć jej wyborców? Nie będzie to proces szybki, wyborcy są zwykle przywiązani do szyldów partyjnych, ale to będzie postępować.

Jak można wytłumaczyć postawę Koalicji Obywatelskiej i sprzyjających jej środowisk, które w obliczu epidemii zareagowały tak bezrefleksyjnie, odruchowo, w duchu totalnej opozycji – mnożąc teorie spiskowe, oskarżając rząd o ukrywanie liczby ofiar, a nawet wyrażając smutek, że władze państwa sobie radzą. Ktoś to tam w ogóle przemyślał? Skąd taki brak zdolności zrozumienia, gdzie są społeczne emocje?

To jest linia, którą prezentuje AfD w Niemczech, czyli partii o charakterze bardzo radykalnym, tracącej ostatnio popularność. W jakiejś mierze jest to zaklęte koło: Platforma jest słaba, nie ma eksperckiego zaplecza, które by jej podpowiedziało inne rozwiązania, reaguje więc odruchowo,

eprasa.pl 7cf024e5c7

tak jak umie. A skoro tak reaguje, to jest słaba, nie komunikuje się odpowiednio z Polakami. Jeśli szukać tu jakiegoś ziarna racjonalności, to jest nim chyba przekonanie, iż ten, kto dziś będzie krytykował najmocniej, otrzyma nagrodę, gdy Polacy uznają, że faktycznie rząd sobie nie poradził, gdy pojawią się problemy. Kłopot Koalicji Obywatelskiej polega na tym, że w ocenie Polaków władza sobie radzi – narracja tej części opozycji i odczucia obywateli rozjeżdżają się zatem coraz bardziej.

Ta kalkulacja opozycyjna, ta gra na klęskę, wiąże się przede wszystkim z liczeniem na kryzys gospodarczy, będący konsekwencją samej epidemii. Nikt nie ukrywa, że przed nami ciężkie miesiące. To się może opozycji udać?

Każdy rozumie, że po fali epidemii przyjdzie fala problemów gospodarczych. Ale przecież rząd nie czeka bezradnie, tylko energicznie przeciwdziała: działa już tarcza antykryzysowa, za chwilę wejdzie w życie tarcza finansowa. Małe firmy masowo korzystają z pierwszej, druga zyskała pozytywną ocenę większych przedsiębiorców. Obie są silnie nastawione na zachowanie jak największej liczby miejsc pracy. Polacy rozumieją kontekst tych wszystkich kłopotów i podejmowanych działań. Nie sądzę, żeby proste oskarżanie rządu, na dodatek tak aktywnego, o wszystkie straty wywołane epidemią, przyniosło opozycji efekty. Żeby krytyka była skuteczna, musi być wiarygodna, musi się wiązać z odpowiedzialnością. A to są cechy, z którymi Koalicja Obywatelska ma problem. Warto także pamiętać o silnym liberalnym nurcie w samej KO. Czy taka partia w chwili wzrostu bezrobocia będzie zyskiwać? Byłoby to zaskakujące. Postawiłbym raczej tezę odwrotną: że w trudnej gospodarczo sytuacji to formacja, która zrealizowała liczne programy prorodzinne i prospołeczne może liczyć na wzrost poparcia społecznego.

Koncepcję wymiany przez szeroko pojęty obóz opozycyjny pani Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Władysława Kosiniaka-Kamysza uważa pan za coś realnego czy to tylko medialne gaworzenie?

Z punktu widzenia działaczy Koalicji Obywatelskiej taki manewr byłby bardzo kosztowny, przyspieszyłby procesy rozkładu tej formacji. Zyskałaby na tym Koalicja Polska, tworzona przez PSL i Pawła Kukiza. Na zapleczu opozycji jest wiele osób, których główną ideą, ważniejszą od czegokolwiek innego, jest odsunięcie od władzy Zjednoczonej Prawicy. Dla takiego antypisu to kusząca perspektywa. To są jednak scenariusze chyba mało prawdopodobne.

Opozycja bardzo liczyła na osiągnięcie przełamania politycznego przy temacie wyborów prezydenckich w maju. Straszono Polaków, podrzucano przekaz o „marszu do władzy po trupach". Dziś nastroje wydają się uspokajać, ale czy korespondencyjne wybory prezydenckie w maju nie przyniosą obozowi Zjednoczonej Prawicy strat?

Sondaże na razie pokazują, że w tej sytuacji lepiej oceniane są wybory korespondencyjne niż bezpośrednie. Jeśli chodzi o termin, to warto jeszcze poczekać z ostateczną oceną. To wbrew pozorom dziś jest niewiadomą. Wszystkie te głosy, które w tej sprawie słyszymy, opierają się na przekonaniu, jak wygląda sytuacja epidemiczna teraz, dzisiaj. A przecież nikt nie może odpowiedzialnie powiedzieć, jaka będzie 10 czy 17 maja. Warto także pamiętać, że Zjednoczona Prawica nie pokazała jeszcze precyzyjnego planu przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych. Tutaj też można zaskoczyć sprawnością, poziomem organizacji, wdrożeniem narzędzi, które sprawdziły się w wielu innych krajach, w dojrzałych demokracjach.

Innymi słowy, opinia społeczna w tej sprawie nie jest jeszcze wyklarowana?

Dzisiaj możemy powiedzieć tylko tyle, że wybory budzą bardzo duże emocje. Tu najlepszym sposobem argumentacji jest pokazywanie konkretnych rozwiązań, jak to zostanie przeprowadzone. Kiedy pojawią się precyzyjne informacje, procedury, sprawne i bezpieczne, to więcej osób przekona się do tego typu głosowania. Jeżeli uda się to zrealizować bez żadnych większych wpadek, ocena końcowa może być bardzo pozytywna. Tym bardziej że alternatywą jest chaos konstytucyjny, silny konflikt polityczny, bardzo szkodliwy w momencie walki o najmniej bolesne przejście przez ten kryzys zdrowotny i gospodarczy.

Jak w tym kontekście patrzy pan profesor na polityczny manewr, który wykonał były już wicepremier, lider Porozumienia, Jarosław Gowin? Tak radykalnie sprzeciwiał się wyborom w maju, że odszedł z rządu – choć Porozumienie w koalicji pozostało. Jednocześnie jest to polityk, który wzywa do jak najszybszego powrotu do pracy, aktywności tam, gdzie to tylko możliwe. Jest w jego postawie jakaś racjonalność polityczna?

Cele prezesa Gowina i plany rządu w stosunku do odmrażania gospodarki są bardzo podobne. Co więcej, pan prezes Gowin prezentuje podobne pomysły do tych, które pojawiały się w czasie rządowych zespołów zarządzania kryzysowego. W podobny sposób zatem widzimy te sprawy. I tu dochodzimy do różnicy, o której pan wspomniał, która spowodowała, że Jarosław Gowin nie jest już wicepremierem. Zdaniem rządu nie tylko bowiem życie społeczne i gospodarcze ma wrócić do możliwej normalności, lecz także polityczne. Konsekwencją kursu na budowanie „nowej normalności" powinno być zatem dążenie do przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych – o ile to będzie możliwe, o ile nie będziemy mieli jakiegoś niezwykle ostrego pogorszenia sytuacji.

Pan Gowin proponuje zmianę konstytucji, by wydłużyć kadencję prezydenta Andrzeja Dudy o dwa lata. Inni podpowiadają wprowadzenie stanu klęski żywiołowej.

Ta pierwsza propozycja nie zyskała żadnego poparcia politycznego, trudno zatem ją jakoś szerzej omawiać. Z kolei ogłoszenie stanu klęski żywiołowej niesie za sobą koszty, któ-

eprasa.pl 7cf024e5c7

rych sobie nikt nie wyobraża, gdyż wprowadza nas w okres długiej niestabilności politycznej, konfliktów, chaosu, a to akurat jest najmniej potrzebne w sytuacji epidemii. Wybory korespondencyjne 10 lub 17 maja, przy założeniu, że sytuacja epidemiczna na to pozwoli, wydają się zatem wbrew pozorom rozwiązaniem mającym najmniej wad.

Moment kryzysowy w trakcie kampanii prezydenckiej to zawsze szansa na wybicie się dla ambitnych polityków. Mamy na scenie takich: Szymona Hołownię, Krzysztofa Bosaka, Roberta Biedronia, Władysława Kosiniaka-Kamysza. Który z nich zyskał w pana ocenie najwięcej?

Są tacy, którzy twierdzą, że to nie jest dobry moment na przekonywanie do siebie wyborców. Uważam przeciwnie – taka sytuacja kryzysowa to najlepszy moment na przekonanie do siebie ludzi. To najlepszy test przywództwa dla rządzących i sprawdzian jakości oferty opozycji, rozumienia przez nią zasad funkcjonowania państwa, umiejętności tworzenia konkretnych rozwiązań. Od ochrony zdrowia, przez edukację, gospodarkę, zmiany na rynku pracy, funkcjonowanie samorządów, po zmiany systemowe administracji, kompetencji premiera vs prezydenta w sytuacjach kryzysowych – w każdym z tych obszarów potrzeb nie brakuje, można pokazać, co się ma w szufladach, w głowie, jakie ma się zaplecze eksperckie. Trudno mi dzisiaj z pozycji szefa Centrum Analiz Strategicznych mówić, komu w tej rywalizacji poszło najlepiej. Mogę się jednak odwołać do sondaży, które wskazują, że z polityków nieco zyskał tylko pan Kosiniak-Kamysz. Możliwe, że jako lekarz z zawodu miał nieco ułatwione zadanie i – zwłaszcza na tle pani Kidawy-Błońskiej – wykorzystał tę przewagę.

Wracając do początku naszej rozmowy: co ostatecznie zdecyduje o tym, czy Zjednoczona Prawica wyjdzie z tego kryzysu jako formacja, która przekonała do siebie nowych wyborców, która przełamała pewne uprzedzenia wobec siebie i swojego lidera, z taką siłą narzucane od lat przez wiele mediów?

Przez lata polską scenę polityczną kształtowała polaryzacja o podłożu emocjonalno-symboliczno-historycznym. Ten podział nie zniknie nigdy, ale w obecnych warunkach, gdy spadło na Polskę tak wielkie wyzwanie, waży on nieco mniej, nie jest jedynym punktem odniesienia dla wielu wyborców. Porównajmy naszą scenę polityczną z niemiecką w tych dniach: u nas duża część opozycji stara się ten spór podsycać, rozpalać go, w Niemczech, z wyjątkami takimi jak AfD, większość polityków rozumie powagę sytuacji i znaczenie stabilności władzy publicznej w tym czasie, wspiera kanclerz Angelę Merkel. Mimo tej różnicy w Polsce zdarzyła się rzecz bardzo ważna, o możliwych poważnych politycznych konsekwencjach: duża część Polaków zobaczyła sprawność, efektywność, skuteczność rządu Zjednoczonej Prawicy. Zobaczyli to nie tylko wcześniejsi zwolennicy tej formacji, ale wszyscy ci, którzy umieją racjonalnie ocenić liczby, dane, porównać naszą sytuację z tym, co dzieje się w innych dużych europejskich państwach.

> Wybory korespondencyjne 10 lub 17 maja, przy założeniu, że sytuacja epidemiczna na to pozwoli, wydają się rozwiązaniem mającym najmniej wad. Alternatywą jest chaos konstytucyjny, silny konflikt polityczny, bardzo szkodliwy w momencie walki o najmniej bolesne przejście przez ten kryzys zdrowotny i gospodarczy

Długo tę sprawność negowano, twierdząc, że sukcesy gospodarcze to efekt koniunktury.

Na tym polega waga tych wydarzeń. Nagle każdy może zobaczyć, że w zderzeniu z niespodziewanym i potężnym kryzysem państwo polskie zdaje egzamin, a rząd działa skutecznie, dynamicznie, osiąga cele, które zapowiada. Ta ocena musi być pozytywna także w porównaniu z naszymi partnerami z Europy, gdzie często zastosowane w Polsce rozwiązania wręcz się kopiuje. To jest właśnie szansa, by o ile nie rozbić, o tyle przynajmniej osłabić ten emocjonalno-symboliczny spór, który wydawał się nie do przełamania. Możliwość pozyskania nowych wyborców. Ale także pokazania się jako środowisko szerokie, otwarte, intelektualnie żywe.

Skala i przebieg tej epidemii przyznały rację obozowi Jarosława Kaczyńskiego także w takich sprawach, jak konieczność utrzymania najważniejszych spółek skarbu państwa w polskich rękach – dziś są to ważne narzędzia w walce z kryzysem. Czy można mówić, że potwierdziła też jego wybory kadrowe?

To jest moment, w którym trzeba podejmować decyzje bardzo trudne, złożone, wiążące się z wieloma konsekwencjami. Pan premier Mateusz Morawiecki udowodnił, że to potrafi. Ale i więcej – procentuje jego doświadczenie biznesowe, wykorzystywania różnych sprawdzonych tam modeli, rozumienia mechanizmów gospodarczych. Ważne są też wartości i przekonania, o tym, że kapitał ma narodowość, że trzeba budować polską klasę średnią, która nie ma takich zasobów, gdyż utraciła je w czasie wojen i komunizmu. Nie jestem pewien, czy ktoś bez tego typu doświadczenia dałby w tych warunkach radę, bo same umiejętności polityczne to dziś za mało.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Nieufni i zadufani

Żaden z kandydatów opozycji nie zbojkotuje wyborów, tym bardziej że nie ma między nimi nawet odrobiny solidarności

STANISŁAW JANECKI

Gdy Małgorzata Kidawa-Błońska wezwała do bojkotu wyborów prezydenckich, żaden z pozostałych kandydatów opozycji jej nie poparł. Uznano to za oznakę słabości kandydatki Platformy Obywatelskiej, a nie rozwiązanie do przyjęcia. Owszem Władysław Kosiniak-Kamysz, Robert Biedroń, Szymon Hołownia i Krzysztof Bosak prześcigali się w obrzydzaniu wyborów w konstytucyjnym terminie i w wymyślaniu coraz okropniejszych określeń na to, czym będą, gdy do nich dojdzie, ale nie podjęli wezwania do popełnienia politycznego samobójstwa.

W kwietniu 2020 r. kandydaci opozycji i wspierające ich partie nie mają żadnych wspólnych interesów, gdy chodzi o wybory prezydenckie. A co chyba ważniejsze, nie mają do siebie cienia zaufania. Nawet w znacznie większym stopniu niż do Prawa i Sprawiedliwości, które – wbrew podejrzeniom – w tej sprawie nie musi opozycji podpuszczać. Właściwie nikt poważny po stronie opozycji nie wątpi, że kandydaci i ich zaplecza tylko czekają, żeby okpić konkurentów. Albo tak ich zmanipulować, żeby popełnili błąd. Na to liczyło zaplecze Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, prąc do bojkotu. A gdy nikt tego hasła nie podjął, kandydatka, która zawiesiła kampanię, zaczęła ją normalnie prowadzić (na miarę możliwości związanych z ograniczeniami nałożonymi w czasie ogólnokrajowej kwarantanny). Ale nawet przez konkurentów jest traktowana tak, jakby się wycofała, bo to odbiera jej szanse, a ich wzmacnia. Nieprzypadkowo 15 kwietnia 2020 r. Robert Biedroń mówił, że kandydatka PO wywiesiła białą flagę i się skończyła. Jako jedyna, bo reszta wciąż walczy. W ślad za tym poszły spadki notowań w sondażach i przegonienie Kidawy-Błońskiej przez Kosiniaka-Kamysza.

WOJNA BRATOBÓJCZA

Mimo kwiecistych i gorących zapewnień, że wszyscy kandydaci opozycji walczą z Andrzejem Dudą, w praktyce walczą wyłącznie z sobą. A pomysł wycofania się z wyborów jest w poszczególnych ugrupowaniach uważany za skrajne frajerstwo. Dlatego politycy PO robią wszystko, żeby przykryć swój fatalny i kosztowny pomysł bojkotu. Po to 14 kwietnia 2020 r. Borys Budka spotkał się (z własnej inicjatywy) z przedstawicielami Koalicji Polskiej (PSL-Kukiz'15) i Lewicy. Wbrew deklaracjom w najmniejszym stopniu to spotkanie dotyczyło koordynacji działań opozycji w Senacie w związku ze zmianami w Kodeksie wyborczym i głosowaniem korespondencyjnym. Borys Budka chciał wybadać, czy Władysław Kosiniak-Kamysz albo Robert Biedroń byliby zdolni do jakiegoś gestu solidarności i wspólnego wycofania się z wyborów. Oczywiście nie byli, gdyż nie zamierzali pomagać PO w ratowaniu jej kandydatki i oddawaniu jej punktów, które wcześniej jej kosztem zdobyli.

Następnego dnia po spotkaniu liderów trzech opozycyjnych ugrupowań nieprzypadkowo Robert Biedroń

eprasa.pl 7cf024e5c7

dramatyzował (w rozmowie z portalem Gazeta.pl): „Apeluję o to, żebyśmy zostali w tej grze, żebyśmy walczyli. Najgorszy sposób to odpuścić w tej grze, bo w ten sposób damy szansę Dudzie, żeby wygrał w pierwszej turze. Opozycja, która się podda, sprawi, że wtedy na pewno wygra w pierwszej turze". Mało tego, „oddanie tych wyborów walkowerem to jest przepis na katastrofę opozycji i to pokazują wszystkie badania".

14 kwietnia wieczorem Władysław Kosiniak-Kamysz mówił (w programie „Kropka nad i"): „Ja nie jestem od doradzania pani marszałek [Kidawie-Błońskiej], ja z nią konkuruję. Ja walkowerem nie oddam tego pojedynku. Poddanie się na tym etapie to stworzenie komfortowych warunków dla Andrzeja Dudy. [...] Bojkotowanie teatralne nie uważam, by było słuszną drogą".

Dwa dni wcześniej w tym samym duchu hamletyzował Szymon Hołownia (w Radiu Zet): „Poczekam, aż oszust skończy rozdawać karty, dlatego że oszust może zrobić wszystko. On może rozdać karty dzisiaj, tak jak rozdaje, po to żeby nas wszystkich przepłoszyć od stołu i żebyśmy od tego stołu uciekli w oburzeniu, krzycząc, że »ojejku, bojkot« itd., a później na przykład stwierdzi, że jednak zrobi sobie te wybory we wrześniu z panem Dudą i z Jakubiakiem na liście, i w klasycznej formie".

ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY

Kandydaci opozycji udają, że nie wycofując się z wyborów, udaremniają jakieś niecne plany Jarosława Kaczyńskiego, uciekają od zastawionej przez niego pułapki. Typowa jest tu argumentacja Roberta Biedronia: „Poddanie się woli Kaczyńskiego to jest przegrana na opozycji. Kaczyński najbardziej liczy na to, co dzisiaj się dzieje: na demobilizację elektoratu opozycji, na to, że poszczególni kandydaci opozycji będą wywieszali białą flagę".

Tymczasem lider PiS nie ma z tym nic wspólnego, jest dla kandydatów opozycji tylko odpowiednikiem Emmanuela Goldsteina z „Roku 1984" George'a Orwella – Wrogiem Ludu, którego trzeba zwalczać w codziennym rytuale Dwóch Minut Nienawiści. A opozycyjni kandydaci chcą mieć tylko alibi, że nie walczą z sobą, żeby przykryć oczywisty fakt, iż nie ma między nimi nawet cienia solidarności, a tym bardziej zaufania. Nawet pomiędzy dawnymi sojusznikami, czyli w gronie PO (KO), Lewica i PSL (Koalicja Polska). Z Szymonem Hołownią przedstawiciele tej trójki nie chcą nawet rozmawiać, obawiając się, że zaraz wszystko wygada na jakiejś konferencji prasowej. Z Krzysztofem Bosakiem nie rozmawiają z powodu lęków „narodowych" oraz obawy, że i tak nie zrobi tego, czego by od niego oczekiwali. A deklaracje, jak to powalczą z Andrzejem Dudą, jak równy z równym, są tylko manifestacją wymuszonego zadufania, bo szanse opozycyjnych kandydatów nigdy wcześniej nie były tak małe jak w połowie kwietnia 2020 r.

Mimo to kandydaci opozycji nigdy nie byli tak daleko od bojkotu wyborów (nawet w konstytucyjnym terminie i w tradycyjnej formie) jak obecnie. Podobnie stojące za nimi ugrupowania. Każdy, kto się podda, będzie tym najsłabszym, którego potem (mówiąc Żeromskim) „rozdziobią kruki, wrony".

Jako kompletną fantazję z jednej strony, a pocałunek śmierci z drugiej uznano deklarację byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. W programie Tomasza Lisa apelował on: „Opozycja powinna mieć jednego kandydata. Kandydata, który ma szansę powalczyć z urzędującym prezydentem. Wydaje się coraz bardziej, że takim kandydatem, szczególnie w tych konkretnych czasach, może być Kosiniak-Kamysz. Jego fala wyraźnie rośnie. [...] Na chore czasy potrzebny dobry lekarz. A on jest i lekarzem, i myślę, że sprawnym politykiem".

Na taki wariant nie ma żadnych szans, gdyż rejterujący nie mają racji, co szczególnie mocno akcentują Robert Biedroń i Szymon Hołownia. I nie mają najmniejszego zamiaru oddawać pola prezesowi PSL.

W najgorszej sytuacji są PO i Małgorzata Kidawa-Błońska, gdyż już raz zrejterowali. Dlatego politycy Platformy kombinują już tylko, jak przesunąć wybory. Inni też to deklarują, ale nie mają w tym takiego interesu, jak tracąca poparcie PO i jej kandydatka. Borys Budka już się ustawia pod taką interpretację spodziewanej porażki, że zdecydowała o niej nie słabość kandydatki, lecz „straszne" warunki przebiegu wyborów i ich bojkot przez elektorat Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Ale nawet na to Budka nie może liczyć, gdyż tylko elity i celebryci III RP chcą bojkotu, natomiast przeciętni wyborcy PO już niekoniecznie.

KANIBALIZACJA RYWALI

Bojkot wyborów byłby dla opozycji najlepszym wyjściem, ale jest nierealny. Dlatego trzeba je maksymalnie obrzydzić. A im kandydat ma mniejsze szanse, tym bardziej je zohydza, co najlepiej widać po wypowiedziach „po bandzie" Roberta Biedronia i Szymona Hołowni oraz politycznego zaplecza Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. To ostatnie najbardziej liczy na Jarosława Gowina, który – gdyby powszechne wybory korespondencyjne uniemożliwił – natychmiast dostąpiłby od PO odpuszczenia wszystkich grzechów. Równie zdesperowany jest Szymon Hołownia: „Wyborcy mogą wnosić o zabezpieczenie swoich dóbr osobistych, które mogą być naruszane przez te wybory. [...] Państwo zamierza mi i milionom Polaków odebrać ich konstytucyjne prawa, innych nie stosując. W związku z powyższym my mamy prawo wdać się z tym państwem w spór prawny".

Nie mogąc liczyć na bojkot i solidarność, wszyscy opozycyjni kandydaci i ich polityczne zaplecza będą się starali jak najwięcej ugrać kosztem swoich „kolegów". Andrzejowi Dudzie głosów nie odbiorą, a każdy z nich może się wzmocnić, kanibalizując opozycyjnych rywali. Obecnie tylko o to toczy się gra.

A po wyborach przyjdzie czas na kwestionowanie mandatu prezydenta Andrzeja Dudy oraz legalności samych wyborów. To jednak następny etap. W nim będą się liczyć najsilniejsi, dlatego chodzi o to, żeby teraz się wzmocnić kosztem potencjalnych sojuszników. Tu nie ma żadnych sentymentów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7cf024e5c7

LOT bez Condora

Polska Grupa Lotnicza, w której skład wchodzi LOT, poinformowała tydzień temu, że odstępuje od transakcji kupna niemieckich linii lotniczych Condor. Wielkiego zaskoczenia nie było. Zakup, który miał być krokiem milowym w stronę budowy silnej pozycji naszego narodowego przewoźnika w Europie, stał pod znakiem zapytania już od chwili wybuchu pandemii koronawirusa

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po tej transakcji wiele sobie obiecywano. Przejęcie Condora – dużego niemieckiego przewoźnika czarterowego – miało otworzyć przed polskimi liniami bardzo rozwinięty rynek niemieckich przewozów wakacyjnych. Condor to ikona niemieckiego rynku turystycznego, który operując z portów w Niemczech i Wielkiej Brytanii, obsłużył w 2019 r. ponad 9 mln pasażerów. W roku obrotowym 2018/2019 zanotował ok. 57 mln euro zysku operacyjnego przy przychodach na poziomie ok. 1,7 mld euro.

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Linia wpadła w kłopoty we wrześniu 2019 r., gdy zbankrutował jej brytyjski właściciel – najstarsze na świecie biuro podróży Thomas Cook. Wtedy rozpoczęto poszukiwania nowego inwestora. Wśród najpoważniejszych kandydatów do przejęcia Condora znalazły się dwa fundusze inwestycyjne: brytyjski Greybull i amerykański Apollo oraz właśnie LOT. Również Lufthansa była zainteresowana zakupem Condora (a właściwie jego odkupieniem, bo była współzałożycielem linii w 1955 r.), jednak uniemożliwiały to przepisy antymonopolowe.

LOT szybko stał się faworytem. Przede wszystkim był inwestorem z branży. Ponadto mógł się poszczycić niezłymi wynikami, przewozem ponad 10 mln pasażerów w 2019 r. oraz przychodem w wysokości 1,9 mld euro, jednak przy znacznie mniejszym zysku operacyjnym, który w 2018 r. wyniósł 215 mln zł (czyli nieco ponad 50 mln euro). Obie linie dysponowały też zbliżonym potencjałem, który umożliwiał im podwojenie dotychczasowych możliwości. Jednak decydujące było przebicie przez LOT oferty konkurentów i zobowiązanie do wyłożenia na stół – według szacunków analityków – sumy ok. 2,6 mld zł. Część tych pieniędzy miała pójść na spłatę pożyczki w wysokości 380 mln euro (1,6 mld zł), którą Condor musiał zaciągnąć u rządu federalnego Niemiec oraz rządu krajowego Hesji, aby kontynuować swoją działalność po bankructwie dotychczasowego właściciela. Reszta – według niemieckich mediów szacowana na 250 mln euro – miała przekonać Niemców do wyboru polskiej oferty. I rzeczywiście przekonała.

LOT zobowiązał się, że sfinalizuje transakcję do końca kwietnia. Wtedy bowiem upływał termin spłaty kredytu pomostowego zaciągniętego przez Condora. Nikt nie spodziewał się wówczas, że zaledwie półtora miesiąca później światowy rynek lotniczy zostanie spustoszony przez pandemię.

KOMPLIKACJE

Zakup Condora przez LOT został przyjęty za Odrą z mieszanymi uczuciami. Najbardziej nasrożyła się Lufthansa, która postanowiła utrudnić życie polskiemu konkurentowi, zrywając porozumienie, na mocy którego jej samoloty dowoziły klientów Condora z całych Niemiec do głównego hubu tej linii we Frankfurcie. Oznaczało to, że odtąd klienci Condora nie mogli już polecieć na jednym bilecie ze swojego miasta na wakacje. Lufthansa groziła też konsekwencjami dla LOT, wspominano nawet o zerwaniu współpracy dotyczącej wspólnych lotów między Polską i Niemcami.

Wszystkie walki podjazdowe skończyły się w chwili, gdy kolejne państwa, w tym Polska, zaczęły zamykać ruch lotniczy w związku z zagrożeniem epidemiologicznym. W połowie marca po raz pierwszy pojawiły się w niemieckiej prasie informacje – dementowane wówczas przez Polską Grupę Lotniczą – o możliwym odstąpieniu od zakupu Condora. Zdaniem mediów LOT uzależnił finalizację transakcji od umorzenia przez niemieckie władze pożyczki zaciągniętej przez Condora. „Jeżeli się na to zgodzimy, to będzie to niemal jak oddanie Condora polskiej firmie za darmo" – tłumaczył pod koniec marca w rozmowie z „Der Spiegel" niemiecki negocjator.

Ostatecznie – po trwającym dwa tygodnie pacie w negocjacjach – PGL odstąpiła od umowy. Według nieoficjalnych informacji podanych przez

eprasa.pl 7cf024e5c7

PAP zadecydowały o tym wyniki standingu finansowego Condora, z których wyszło, że niemieckie linie są dziś niezdolne do kontynuowania działalności, a zatem nie mogą spełnić warunków styczniowej umowy inwestycyjnej.

Jeśli tak jest w rzeczywistości, LOT może się uchronić przed karą finansową za odstąpienie od umowy. Niewykluczone jednak, że Niemcy będą chcieli udowodnić, iż wina za fiasko transakcji leży po polskiej stronie. Zwłaszcza że w obecnej trudnej sytuacji nikt nie odpuszcza żadnych pieniędzy.

SPUSTOSZENIE

Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych (IATA) szacuje, że w wyniku pandemii koronawirusa przychody linii lotniczych obniżą się w tym roku o 314 mld dol., co oznacza spadek o 55 proc. w porównaniu z 2019 r. W tej chwili – jak wynika z analizy portalu ch-aviation – na całym świecie uziemiono niemal 18 tys. samolotów (55 proc. światowej floty). To historyczny rekord. I choć najwięcej uziemionych samolotów znajduje się w Afryce (74 proc. tamtejszej floty), to właśnie w Europie, ze wskaźnikiem wynoszącym 72 proc., linie notują gigantyczne straty.

Są już pierwsze bankructwa. W marcu upadły brytyjskie linie Flybe, w fatalnej sytuacji znajduje się kilku innych przewoźników, zwłaszcza tych, którzy mieli problemy jeszcze przed wybuchem pandemii. Dotyczy to m.in. włoskiej Alitalii, niskokosztowego Norwegiana oraz belgijskich Brussels Airlines. Losy tego ostatniego przewoźnika mogą być szczególnie interesujące dla polskiego czytelnika. Brussels Airlines należą do grupy Lufthansa. Gdy kłopoty belgijskiej linii się pogłębiły, jej kierownictwo zwróciło się z prośbą o pomoc do niemieckiego właściciela. Jednak Lufthansa, która sama zmaga się z konsekwencjami zamrożenia ruchu lotniczego, nie śpieszy się dziś z udzieleniem wsparcia. Niemiecki przewoźnik uziemił już większość samolotów i zlikwidował swoją niskokosztową spółkę Germanwings. W tej sytuacji nie ma mowy o żadnej pomocy dla Brussels Airlines i liniom grozi upadek (inną rozpatrywaną opcją jest nacjonalizacja). Można się domyślać, że podobny los groziłby dziś również polskim liniom LOT, gdyby parę lat temu trafiły do grupy Lufthansa.

LOT, podobnie jak większość branży, znalazł się w trudnej sytuacji, ale nie jest na szczęście zagrożony upadkiem. Analitycy rynku lotniczego przewidują, że polski przewoźnik, dzięki swojej wcześniejszej agresywnej strategii rynkowej, ma szansę przeżyć tsunami wywołane pandemią. Nie dają natomiast dużych nadziei mniejszym operatorom z naszego regionu, takim jak czeskie linie CSA, rumuński Tarom czy liniom z Bałkanów i Ukrainy. Przewiduje się też, że skutkiem kryzysu będzie kolejna fala konsolidacji linii lotniczych.

Według najnowszych prognoz IATA w drugim kwartale tego roku wartość usług lotniczych w Europie spadnie aż o 90 proc. Trochę lepiej zapowiada się trzeci kwartał (spadek o 45 proc.). Zdaniem prezesa Austrian Airlines Alexisa von Hoensbroecha wszystko wróci do normy dopiero w 2023 r.

Jeżeli te prognozy się sprawdzą – a na razie wiele na to wskazuje – to rynek lotniczy Europy Środkowej może czekać prawdziwe spustoszenie. Powstałą lukę wypełnią w przyszłości – jak się dziś przewiduje – posiadający relatywnie duże zasoby kapitałowe przewoźnicy niskokosztowi, tacy jak węgierski Wizzair czy irlandzki Ryanair. Przetrwają też największe grupy lotnicze z Europy Zachodniej, takie jak IAG (w której skład wchodzą m.in. British Airways i hiszpańska Iberia), Lufthansa oraz Air France-KLM. Niewykluczone zresztą, że chude lata zdoła także przeżyć niemiecki Condor, który – jak przewidują niemieckie media – może zostać znacjonalizowany, a potem – gdy sytuacja zacznie się poprawiać – oddany pod kontrolę Lufthansie, która zrezygnowała właśnie z powołania własnego przewoźnika czarterowego.

SKAZANI NA POMOC

Branża lotnicza jest szczególnie wrażliwa na wszelkie zawirowania pojawiające się na świecie, takie jak wojny, ataki terrorystyczne czy gwałtowne skoki cen paliw. Za każdym razem po takich zdarzeniach znikało z rynku wiele linii lotniczych. Jednak obecna pandemia ogarnęła cały świat, co sprawia, że zagrożeni są – choć w różnym stopniu – właściwie wszyscy.

Mówi się coraz częściej, że bez zorganizowanej pomocy finansowej ze strony państw (lub instytucji ponadnarodowych takich jak Unia Europejska) dojdzie wkrótce do fali spektakularnych bankructw. Oczywiście w uprzywilejowanej pozycji będą ci przewoźnicy, którzy mają większą siłę przebicia, a zatem najwięksi i najlepiej zorganizowani. LOT w tej konkurencji znajduje się gdzieś w środku, jest zbyt duży, aby nagle zniknąć, ale zarazem zbyt mały, aby dopchać się do największych środków (jeśli się pojawią). Rezygnacja z zakupu Condora utrwali tę średnią pozycję naszych linii, ale w obecnej sytuacji LOT nie miał innego wyjścia. Gdy nadchodzi huragan, nikt rozsądny nie myśli o pójściu na zakupy, ale o tym, jak zapewnić sobie przetrwanie.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 7cf024e5c7

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

pl.7cf024e5c7

Jesteśmy do zadań specjalnych

Nie mamy ogromnej liczby jednostek sanepidu, do tego doskonale wyposażonych. Nasz test na koronawirusa opracowaliśmy więc tak, by miał wszystkie elementy, które sprawią, że będą go mogły przeprowadzać nie tylko profesjonalne stacje diagnostyczne, ale wszystkie inne instytucje posiadające odpowiedni sprzęt, a tych jest bez porównania więcej – mówi ***prof. Marek Figlerowicz***, dyrektor poznańskiego Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jak to się stało, że stworzyli państwo polski test na koronawirusa? Ktoś zlecił wam takie prace?

Marek Figlerowicz: Sytuacja jak zwykle w życiu jest bardziej skomplikowana. I jak zwykle zależy od wielu czynników. Na cały proces złożyło się kilka elementów. Po pierwsze, moja żona jest specjalistą wojewódzkim od spraw chorób zakaźnych w Wielkopolsce. Na co dzień obserwowałem, jak narastały problemy przy rozwijającej się pandemii koronawirusa. Druga sprawa to fakt, że nasz instytut od początku istnienia zajmuje się kwasami nukleinowymi, czyli tym, co jest kluczowe do stworzenia takiego testu. Bezpośrednim impulsem do działania był sygnał ze strony sanepidu, który skontaktował się z nami w sprawie wypożyczenia sprzętu, który mógłby pomóc przy wykonywaniu tego rodzaju testów. Zamiast pożyczać, po prostu włączyliśmy się do pomocy.

To jeszcze nie był etap myślenia o polskiej wersji testu.

Absolutnie, chodziło nam po prostu o pomoc sanepidowi. Zaproponowaliśmy procedurę, która umożliwia włączenie jednostek naukowych do procesu diagnostycznego. W pierwszym etapie próbki zakaźne przekazywane są ze szpitala do sanepidu i poddawane dezaktywacji, inaczej mówiąc, następuje unieczynnienie wirusa. Taka próbka jest bezpieczna i może być analizowana w standardowych laboratoriach biologicznych. Wiele instytucji zgłosiło się do nas z prośbą o udostępnienie opracowanej procedury. Po chwili one także zaczęły włączać się w zainicjowane

Reklama | 2/0420/F

przez nas działania – m.in. dzięki temu możemy dziś w Polsce wykonywać więcej testów.

Bazowaliście razem z sanepidem głównie na testach zakupionych przez polskie państwo za granicą, dobrze rozumiem?

Tak. Ujmę to w taki sposób, gdy ma pan nie do końca sprawny samochód, to chcąc nie chcąc, musi się pan nauczyć krok po kroku, co zrobić, by działał, mimo istniejących ograniczeń. Podobnie my już po tygodniu pracy widzieliśmy, gdzie są słabe, a gdzie mocne punkty testów. Nauczyliśmy się ich, a równolegle zaczęliśmy planować, jak taki test mógłby wyglądać. Kolejny tydzień pracy polegał na stworzeniu prototypu naszego testu. Równolegle wykonywaliśmy testy komercyjne i te nasze prototypowe – wyniki były identyczne. Następny tydzień to dopracowywanie testu, a równocześnie poszukiwanie firm, które byłyby w stanie – razem z nami – je produkować. Chcieliśmy, by były to polskie firmy.

Udało się?

Tak. Firma, która produkuje duże ilości tych kluczowych elementów testu, czyli odpowiednich sond i starterów, znajduje się w Poznaniu, a pozostałe dwa elementy znaleźliśmy na Wybrzeżu, gdzie działają kolejne dwie firmy z dobrą renomą.

Krótko mówiąc, na początku waszym celem była wzmożona, codzienna pomoc sanepidom, a z czasem okazało się, że można pokusić się o coś więcej.

Tak. Nastawialiśmy się na pomoc w diagnostyce, a potem trochę samo wyszło... (śmiech) Nasz test ma kilka zalet. Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdujemy – czyli raczej ciągle rozwijającej się pandemii – ważne jest, by przeprowadzać testów jak najwięcej i by były one pewne, jeśli idzie o wyniki.

Co jest kluczowe z perspektywy polskiej wersji tego testu?

Kluczową rzeczą jest też to, że jeśli się zastanowimy, co jest wąskim gardłem w całym procesie przeprowadzenia testów, to jest to liczba miejsc, gdzie można robić testy. Nie mamy ogromnej liczby jednostek sanepidu, do tego doskonale wyposażonych. Nasz test opracowaliśmy tak, by miał wszystkie elementy, które sprawią, że będą go mogły przeprowadzać nie tylko profesjonalne stacje diagnostyczne, ale wszystkie inne instytucje posiadające odpowiedni sprzęt, a tych jest bez porównania więcej.

Jak to możliwe?

Chodzi o odczynnik dezaktywujący wirusa, który sprawia, że próbka dostarczana do sanepidu przestaje być zakaźna. To otwiera wszystkie inne laboratoria. Do tego mamy zestaw do izolacji wirusa i detekcji jego materiału genetycznego. Ten test będziemy zapewne produkować w kilku wariantach. Na razie jest to wariant najprostszy i najszybszy, a przy tym bardzo pewny.

No dobrze. Mamy potencjalnego chorego na koronawirusa. Jak sprawdza się, czy jest on zakażony?

Test składa się z dwóch reakcji. Jedna wykrywa genomowy RNA koronawirusa, a druga RNA człowieka.

Dlaczego to trzeba sprawdzić?

Kiedy lekarz pobiera wymaz z nosa lub gardła, to razem z śluzem, w którym może być wirus, pobiera ludzkie komórki. Jeśli wszystko było prawidłowo pobrane, przechowane i izolowane, to w każdej próbce powinniśmy wykryć ludzki RNA.

Wydaje się to oczywiste.

Z pozoru tak, ale proszę pamiętać, że działamy w warunkach, gdzie nie mamy pobieranych dwóch wymazów na dzień, a często robią to ludzie nie do końca przygotowani. Dlatego bardzo ważne jest, byśmy sprawdzili prawidłowość procedury pobrania wymazu. Jeśli tego nie zrobimy, to drugi wynik – związany już bezpośrednio z koronawirusem – mógłby być kwestionowany.

Przejdźmy do tego etapu.

Chodzi o namierzenie najbardziej konserwatywnego genu wirusa, którego szukamy. Jeśli go znajdziemy, to widać, że jest wirus.

Jak długo trwa cała procedura od momentu pobrania wymazu z nosa lub gardła?

eprasa.pl 7cf024e5c7

Nie mogę dać pewnej odpowiedzi. Po tym, jak lekarz pobierze wymaz, czasem próbka stoi kilka godzin.

I wracamy tutaj do sprawy przepustowości w laboratoriach.

Tak. Mogę powiedzieć tyle: od momentu, w którym próbka znajdzie się w sanepidzie i może zostać przesłana do nas, potrzebujemy sześciu godzin na przeprowadzenie testu. Nie da się tego zrobić szybciej, bo moglibyśmy tracić pewność wyniku.

Jak dużo takich testów stworzycie?

Składając wniosek do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego z prośba o wsparcie produkcji testu, zgodziliśmy się, że instytut zajmie się wyprodukowaniem 100 tys. testów. Niestety nie możemy tego zrobić samodzielnie, gdyż nie możemy zarejestrować produktu – do tego potrzebna jest firma, która będzie go produkowała. To Medicofarma. Nasza umowa jest taka, że pierwsze 100 tys. testów, które zostaną wyprodukowane, dostaniemy od nich za pieniądze z MNiSW. Sprzedajemy im licencję, jak to robić, a oni pierwsze 100 tys. przekażą nam, my z kolei damy je Ministerstwu Zdrowia, by rozdysponowało je tam, gdzie będą potrzebne. W trakcie rozmów doszliśmy zresztą do wniosku, że jesteśmy w stanie wyprodukować 150 tys. testów.

> Sądzimy, że produkcja wyniesie 20–40 tys. testów tygodniowo. Więc i tak dostarczymy tego towaru na zapas. Polski rynek powinniśmy wysycić na jakiś czas

Ile to potrwa?

To kwestia kilku tygodni, ale nie ma to aż takiego znaczenia, biorąc pod uwagę, ile testów robi się w Polsce tygodniowo. Sądzimy, że produkcja wyniesie 20–40 tys. testów tygodniowo. Więc i tak dostarczymy tego towaru na zapas. Polski rynek powinniśmy wysycić na jakiś czas.

Co dalej?

Później firma, która produkuje testy, dogaduje się z rządem i po prostu je sprzedaje.

Wasz udział się kończy.

Tak. Tak chyba powinno być – naukowcy wracają do pracy, do laboratoriów, a producenci zajmują się tym, opierając na zasadach rynkowych.

Kim są wolontariusze w pana zespole?

To grupa ok. 50–60 osób. Część cały czas zajmuje się diagnostyką – na trzy zmiany – część pracuje przy teście. Wszyscy to wolontariusze z naszego instytutu. Bez żadnej dodatkowej dopłaty zdecydowali się pracować dla dobra społeczeństwa. Zgłaszały się też osoby z zewnątrz, ale zdecydowaliśmy się włączyć w nasze działania tylko osoby z instytutu: naszych doktorantów, post-doców oraz kilku doświadczonych naukowców.

Czujecie się odpowiednio docenieni?

Tak. Ale żeby było jasne – robimy to wszystko dla ratowania sytuacji związanej z walką z koronawirusem. Ministerstwo dało nam pieniądze na rozwój tego pomysłu, mamy wsparcie, nie spodziewaliśmy się żadnych specjalnych form pomocy. Robimy to, co trzeba, co uważamy za słuszne.

Jarosław Gowin zasugerował, że trzeba wam będzie nadać odznaczenia, ordery, nagrody.

To nieistotna obecnie sprawa, nie ma co myśleć o przyszłości. Na pewno będziemy się z tego cieszyć, dziś jednak myślimy o tym, by te testy powstały, byśmy mogli je przekazać. Chcemy też ulepszać nasze testy: by były szybsze, jeszcze bardziej skuteczne.

Największe wyzwanie na najbliższe tygodnie?

Aby te wszystkie polskie firmy miały odpowiednie komponenty do stworzenia testów. Potrzeba bowiem setek tysięcy konkretnych półproduktów. Mam nadzieję, że to wszystko, co jest potrzebne, będzie im dostarczone.

Z powodu koronawirusa zostawiliście swoje laboratoria i doktoraty, bieżącą pracę, a skupiliście się na tym odcinku pracy.

Dokładnie tak zrobiliśmy. Instytuty PAN – o przyszłości których ostatnio coraz częściej się dyskutuje – są, nie da się ukryć, pod względem naukowym najważniejszymi jednostkami w kraju. I tak jak każda armia ma swoje jednostki specjalne, tak polska nauka ma takie jednostki – a są nimi właśnie instytuty PAN. Nie jesteśmy wielkimi instytucjami, ale możemy bardzo szybko i sprawnie reagować. I tak jak na co dzień zajmujemy się bardzo zaawansowanymi, skomplikowanymi badaniami, co z trudem przebija się w mediach, tak w chwilach kryzysu potrafimy błyskawicznie zareagować i przestawić się na inny tryb działania. Tak było też w tym przypadku. Po prostu robimy swoje. Tylko tyle i aż tyle.

Skuteczny i tańszy

Jednostkowy koszt polskiego testu genetycznego do wykrywania koronawirusa – według szacunków jego twórców, czyli badaczy z Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu – ma wynieść ok. 53 zł. Oznacza to, że będzie on blisko osiem razy tańszy niż test kupowany za granicą, a jest tak samo skuteczny. Pierwsze 100 tys. testów zostanie wyprodukowanych za pieniądze – ok. 15 mln zł – które przekazało Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Stacja „Teraz, tu”

Z dnia na dzień koronawirus zatrzymał świat, większość z nas uwięził w domach, wywrócił nasze życie do góry nogami. Najpierw był szok, potem paraliżujący strach, z czasem przyszły irytacja i zniecierpliwienie. Okazuje się jednak, że w doświadczaniu przymusowej kwarantanny można odnaleźć coś dobrego

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat, ja wysiadam. Na pierwszej stacji, teraz, tu! Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat, bo wysiadam. Przez życie nie chcę gnać bez tchu” – śpiewa Anna Maria Jopek w piosence „Ja wysiadam”. I trudno oprzeć się wrażeniu, że pandemia właśnie świat zatrzymała, a wszyscy zostaliśmy wysadzeni na stacji „Teraz, tu”. Nagle zatrzymał się kołowrotek, w którym wielu z nas bezwolnie się kręciło, „gubiąc wątek i dni”. Złośliwy bies przestał powtarzać: „Prędzej!”. I może nadszedł moment, by zrozumieć, że „życie przecież po to jest, żeby pożyć, by spytać siebie: mieć czy być? Bo życie przecież po to jest, żeby pożyć, nim w kołowrotku pęknie nić”. Narodowa kwarantanna, mimo wielu uciążliwości, zakazów, obostrzeń, na które pewnie nie raz i nie dwa sarkaliśmy pod nosem albo nawet nieco głośniej, dla wielu okazała się szansą, by bez stresu „tracić czas, szukać dobrych gwiazd, gapić się na dziury w niebie, jak najdłużej kochać ciebie” (siebie i innych). I prawdą jest, że na to nie powinno być nam szkoda „zmierzchów, poranków i nocy”.

eprasa.pl 7cf024e5c7

CZAS NA RODZINĘ

Nie ma wątpliwości, że dla wielu Polaków kwarantanna oraz związana z nią izolacja, często samotność, niemożność wyjścia na spacer, delektowania się pierwszymi promieniami wiosennego słońca okazała się doświadczeniem trudnym, ekstremalnym. Jednak są również tacy (choćby wśród tych, których postanowiłam wysondować na Facebooku), którzy z kwarantanny postanowili wyciągnąć dla siebie, ile się da. W większości przypadków zyskały przede wszystkim rodziny.

– Osobiście cieszę się z długich rozmów z moimi córkami: 17-latką Tośką i 13-latką Basią. Rozmawiamy o życiowym powołaniu, sprawach ważnych, wartościowych, miłości, szczęściu rodzinnym. Z maluchami: sześciolatkiem Jankiem, ośmiolatką Marysią i dziesięciolatkiem Staśkiem, więcej gramy w planszówki, wygłupiamy się i razem uczymy. Poznajemy smak edukacji domowej. Mam wrażenie, że szczególnie teraz budujemy ich moralne kręgosłupy – opowiada Elżbieta Lachman, redaktor naczelna Polskiego Forum Rodziców. Izabela Iwanicka, medyk z wykształcenia, dodaje: – Ludzie odkryli, że mają dzieci, współmałżonków i kontakt z własnymi myślami.

Katarzyna Głowacka, autorka bloga „Mama w dużym brązowym domu", nie ma wątpliwości, że największym plusem zamknięcia szkół jest realna obecność rodziców w domu, przy dzieciach. – To czas rodzinny dobrej jakości, na bycie razem – wspólne gotowanie, oglądanie filmów, czytanie itp. Szansa dla małżonków na głębsze rozmowy, na poznanie się na nowo – wylicza blogerka. Z kolei Marek Gradoń, prezes Zarządu Stowarzyszenia Miłośników Historii Szczekocin i Okolic, do bogatszego życia rodzinnego dorzuca jeszcze czas na przeczytanie książek zgromadzonych na półkach. – I oczywiście wykonanie drobnych prac domowych odłożonych na bliżej nieokreślony czas – wylicza Gradoń.

Także młodzież, poza wieloma trudami związanymi z kwarantanną, widzi pewne jej plusy. Tak wynika z sondażu „Akcja Nawigacja – chroń siebie, wspieraj innych" przeprowadzonego przez Instytut Profilaktyki Zintegrowanej w pierwszym tygodniu kwietnia. Celem badania było sprawdzenie, jak młodzi ludzie (w wieku 13–19 lat) radzą sobie z tą nadzwyczajną sytuacją. Okazuje się, że aż 53 proc. respondentów przeprowadzonego badania dostrzega, że czas epidemii przyniósł jakieś „pozytywne zmiany w funkcjonowaniu ich rodzin", np. członkowie rodzin zaczęli „spędzać ze sobą znacznie więcej czasu – częściej rozmawiać i podejmować wspólnie różne aktywności" – to opinia zawarta w jednej z ankiet. Młodzi ludzie mówią też o „zwiększeniu się poczucia bliskości między członkami rodziny". Badana młodzież zwracała także uwagę, że w rodzinie jest więcej szczerych i długich rozmów. „Uważniej się słuchamy, bo mamy na to czas" – napisał jeden z respondentów.

Poruszane jest wiele tematów: od wspólnych wspomnień, przez poważne zagadnienia, aż do tego, co dręczy ich uczestników. Uczniowie relacjonują: „Rozmawiamy na inne tematy niż szkoła", „poprawił się nasz kontakt, mamy lepsze relacje, zbliżyliśmy się do siebie, dogadujemy się, mniej się kłócimy", „razem z mamą pogadałyśmy o rzeczach dla nas obu ważnych, a wcześniej nie było na nie czasu". Respondenci twierdzili, że dzięki kwarantannie członkowie ich rodziny lepiej się poznają lub poznają na nowo. Czas epidemii niejako „zwraca" im utracone lub nadwątlone codziennością relacje. Wielu młodych ludzi podkreśla, że dzięki temu zwiększyło się między nimi poczucie bliskości. Spędzanie wspólnie czasu to jednak nie tylko rozmowy. To także wykonywanie różnych czynności: gotowanie, sprzątanie, granie w gry, oglądanie filmów, wspólna modlitwa. Wreszcie to także wspieranie się i wzajemna pomoc. „Uczę mamę pracy na komputerze", „Ja i moje rodzeństwo jesteśmy bardziej zaangażowani we wspólne dbanie o dom" – cytują wypowiedzi uczniów autorzy opracowania.

CZAS DLA SIEBIE

– Wielu respondentów mojej facebookowej ankiety podkreślało, że wreszcie może się wyspać i odpocząć. – Siedzenie w domu to coś cudownego. Mam czas na czytanie, oglądanie filmów. Budzę się rano i nic nie muszę robić. Robię więc wszystko we własnym tempie. Sam dyktuję sobie warunki. Okazało się też, że nie potrzebuję zakupów ubraniowych, właściwie nie potrzebuję większości rzeczy. Dotychczas wychodziłem o 7.00, wracałem po 21.00 i myślałem, że to normalne – żartuje Adam Piekut, kosmetolog. Wiele osób zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt izolacji – na możliwość realizowania własnej pasji, hobby.

Juliusz Woźny cieszy się, że wreszcie ma „możliwość przeżycia czasu w skupieniu, w oderwaniu od codziennego pośpiechu. – Korzystam z tego czasu garściami: maluję obrazy, piszę scenariusz do komiksu. To mój czas refleksji. Naprawdę – można się nie nudzić! Swoją drogą ciekawa sprawa. Powódź w 1997 r. była dla Wrocławia czynnikiem wieńczącym budowanie tożsamości i wspólnoty, obrona miasta przed żywiołem sprawiła, że wrocławianie ostatecznie poczuli się u siebie. Czy kwarantanna wytworzy jakiś nowy rodzaj więzi? – zastanawia się Woźny.

Z kolei Marta Pawłowska, specjalista zdrowego żywienia, dyrektor ds. profilaktyki NFZ, podkreśla, że czas izolacji to najlepszy moment, by zmienić nawyki żywieniowe na zdrowe. – Jest duża szansa, że zostaną z nami na dłużej. Bo przecież dotychczas postanawialiśmy, że od poniedziałku wszystko będzie inaczej. Będziemy się więcej ruszać, przejdziemy na zdrową dietę itd. Potem przychodził ten poniedziałek, a nam przypominało się, że mamy wyjazd służbowy, a w weekend imprezę. Postanawialiśmy więc wziąć się za siebie od następnego poniedziałku. I tak ciągle się usprawiedliwialiśmy, szukając wymówek. A co teraz stoi nam na przeszkodzie? Jesteśmy w domu, świat zwolnił. Wreszcie jest czas na pożywne śniadanie i porządny obiad, zamiast zapychania się czymkolwiek późnym wieczorem. Bardzo ważne jest jedzenie. Odżywianie się, a nie napychanie. Bo pamiętajmy, że jesteśmy społeczeństwem niedożywionym jakościowo, choć przeżywionym ilościowo – mówi Pawłowska. – A przecież nasz styl życia

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7cf024e5c7

przekłada się wprost na nasze zdrowie. Jesteśmy pokoleniem o słabej i coraz słabszej odporności. I dlatego warto faktycznie zmienić swoje życie. Na zdrowsze, odbudowując odporność. Zacznijmy wreszcie zwracać uwagę na to, co jemy, jak i ile się ruszamy, jak śpimy, jak dbamy o swoją kondycję fizyczną i emocjonalną – podkreśla Pawłowska.

Ktoś zaraz powie, że siedzenie w domu ma się nijak do ruchu i ćwiczeń, ale tak naprawdę wystarczy kawałek podłogi. – Ćwiczyć i biegać można w każdych okolicznościach. Mój dobry znajomy, Artur Kujawiński, wymyślił sobie kiedyś, że przebiegnie 10 km dookoła stołu. I to zrobił – mówił nam w programie „W tyle wizji" Marcin Urbaś, lekkoatleta. – Najlepsze są takie ćwiczenia, do których wykorzystujemy wyłącznie wagę naszego ciała. Nie potrzebujemy żadnych dodatkowych sprzętów. Możemy robić przysiady, pompki, trenować w ten sposób mięśnie brzucha, mięśnie grzbietu, ogranicza nas tylko wyobraźnia – podsumował sportowiec.

Wróćmy jeszcze do wspomnianego już badania Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej. Większość, aż 77 proc. osób biorących w nim udział, to młodzież w wieku 15–19 lat (czyli urodzeni w latach 2001–2005), głównie uczniowie szkół ponadpodstawowych. Okazało się, że także według tych badanych nastolatków przymusowa izolacja, jakkolwiek niekomfortowa, może być wykorzystana do własnego rozwoju. W sytuacji izolacji, a co za tym idzie – ograniczonego sposobu spędzania czasu, uczniowie sami sięgają po podręczniki. Co więcej, w takiej sytuacji nabierają poczucia, że uczą się dla siebie, traktując to jako inwestycję w przyszłość. To, że nie mają bezpośredniego przymusu w postaci nauczyciela w klasie, sprzyja większemu przejmowaniu odpowiedzialności za swoje życie. „Uczę się zarządzania czasem i odpowiedzialności poprzez to, że samemu trzeba się uczyć i rozkładać sobie tematy w czasie, aby nie mieć zaległości" – deklaruje jeden z uczniów. Z wypowiedzi respondentów można wywnioskować, że taka nauka samodyscypliny i samoorganizacji często kończy się sukcesem. Niektórzy sami z siebie zaczynają czytać książki, sprzątać własne otoczenie. Inni zamknięci w czterech ścianach nie rezygnują z treningów, starając się, by dzisiejsza trudna codzienność przypominała jednak wczorajszą normalność, a nawet w pewnych aspektach ją przewyższała. „Warto pouczyć się języków, pograć więcej na instrumencie", „przydałoby się zrobić trening, żeby nie wypaść z formy", „teraz bardziej dbam o siebie, o zdrowsze odżywianie" – deklarują nastolatki.

> 53 proc. osób w wieku 13–19 lat dostrzega, że czas epidemii przyniósł „pozytywne zmiany w funkcjonowaniu ich rodzin" – wynika z sondażu przeprowadzonego przez Instytut Profilaktyki Zintegrowanej

LEKCJA NOWYCH TECHNOLOGII

Wiele osób podkreśla też wagę skoku technologicznego. Grzegorz Kozaczuk, ojciec dwójki dzieci, wolontariusz Paczki dla Bohatera, zauważa, że „dzieci zostały zmuszone do poznania nowych technologii i możliwości informatycznych". – Musiały założyć Facebooka i Skype'a, poznać i nauczyć się wykorzystywać możliwości Office'a 365 i Open Office'a, pisać i wysyłać maile, opanować Microsoft Teams, WhatsApp – wylicza Kozaczuk.

Także osoby starsze musiały się przekonać do nowych technologii, by móc widzieć swoje rodziny. Znam przypadki, gdy to właśnie seniorzy prosili swoje dzieci i wnuki (nie odwrotnie) o to, by instalowały one na swoich urządzeniach mobilnych komunikatory umożliwiające wykorzystanie kamery.

W tym trudnym czasie okazuje się, że umiemy sobie pomagać. Nie sposób wymienić wszystkich akcji szycia maseczek, dożywiania osób starszych, wsparcia zorganizowanego przez harcerzy i licznych fundacji oraz stowarzyszeń, pomocy sąsiedzkiej, osiedlowej i dzielnicowej w zakupach, w wyprowadzaniu zwierząt osób na kwarantannie, zbiórek pieniędzy – na sprzęt ochronny, żywność, a nawet wsparcie dla kościołów, które także znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Umiemy się podtrzymywać na duchu wspólnym śpiewaniem na łączach i przez okna. Nic tak nie jednoczy Polaków jak trudne chwile. Okazuje się też, że mimo niezadowolenia potrafimy (mimo początkowego oporu i pewnych wyjątków) być niezwykle zdyscyplinowani. – Pokazaliśmy jedność narodu. Polacy wykazali się największą wstrzemięźliwością w przemieszczaniu, aktywność spadła o blisko połowę, sumiennie i solidarnie podeszliśmy do apelów władz i pozostaliśmy w domach. Polacy na tle innych narodów dotychczas najbardziej ograniczyli swoją mobilność. To nas wyróżnia na tle Europy – jedność w sytuacji zagrożenia – zauważa Aneta Safin, administrator stron internetowych.

Pamiętajmy, że czas narodowej kwarantanny nie dla wszystkich mógł być chwilą do refleksji, odpoczynku, namysłu, zacieśniania więzi rodzinnych czy rozwijania hobby. Lekarze i personel medyczny pracują w pocie czoła, podobnie jak służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa. Jednak zdyscyplinowanie Polaków także im ułatwiło życie.

I na koniec łyżka dziegciu od Piotra Skwiecińskiego, dyrektora Instytutu Polskiego w Moskwie. – Oczywiście można siebie i bliźnich pocieszać, tylko trzeba pamiętać, że wszystkie ewentualne pociechy i plusy kwarantanny są niestety jedynie tymczasowe i jeśli potrwa ona jeszcze trochę, rozwieją się bez śladu, przywalone narastającą na wszystkich frontach klęską – zauważa Skwieciński.

Ale narodowa kwarantanna powoli dobiega końca, a co dalej? To już będzie zależało od nas.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Edukacja na zakręcie

Jak rozwijająca się pandemia zmniejszyła liczbę domorosłych lekarzy, nauczywszy nas trochę pokory, tak towarzyszące jej okoliczności znacznie zwiększyły szeregi nauczycieli i dydaktyków

MAŁGORZATA ŻARYN

Dziś każdy zna się na edukacji. Dziś morze krytyki zalewa wszelkie wysiłki MEN i wspomagających je instytucji. Nauczyciele zaś niejednokrotnie poddawani są ściganemu przecież z urzędu hejtowi. Niedobrze: że nie ma/są lekcje; że jest/nie jest zadawane; że nauczyciele nie znają się na niczym; że zniechęcają, zamiast zachęcać; że za duży/mały zakres wiadomości i że niepotrzebne one są do niczego. Niestety próżno by szukać w tych głosach (poza nielicznymi) jakiejś konstrukcji. W wielu z nich wybrzmiewa jedynie radość z niedoskonałości czy nieudolności bliźnich oraz instytucji, nie zaś rzeczywista troska czy chęć pomocy. Inni teoretycy uważają, że zrobią wszystko najlepiej i np. co to za problem mówić do kamery bez odzewu w taki sam sposób, jakby się prowadziło pogadankę z grupą uczniów.

Cała ta sytuacja powinna nam dać do myślenia. Wszystkim przecież leży na sercu dobro młodego pokolenia, a co za tym idzie całego narodu. Nastał czas wyjątkowy i pionierski. Nikt jeszcze

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7cf024e5c7

nie praktykował zdalnego uczenia na skalę systemową. Testujemy prototyp. Podobny prototyp wprowadzało Polskie Państwo Podziemne. Wtedy też na pewno pojedyncze metody były mocno krytykowane. Wtedy też daleko było do doskonałości dydaktycznej. Ale gdyby nie ówczesna niedoskonałość, czy bylibyśmy dziś Polakami? Pamiętajmy, że lepsze jest wrogiem dobrego i tylko ten nie robi błędów, kto nic nie robi.

Tyle – prośba o wstrzemięźliwość w ocenach. Sama ocena jest oczywiście potrzebna jako diagnoza, czyli wstęp do terapii. Dostaliśmy bowiem narzędzie, które jak pod mikroskopem potrafi uwydatnić mankamenty naszego systemu edukacji. A jest ich wiele. I tak po kolei.

AKTYWIZACJA CZY DEZAKTYWIZACJA

Pokolenie dorastające albo mające dzieci w latach 90. naznaczone jest duchem ówczesnej reformy edukacji. W skrócie można go określić jako zdeterminowany przez „metody aktywizujące". Otóż to pojęcie świetnie mieści się w zakresie nowomowy, czyli jak całe to zjawisko niesie w sobie zakłamanie. Metody aktywizujące przeznaczone dla ucznia aktywizowały w istocie nauczyciela, i to też tylko na początku. Chodziło o to, żeby uczniowi dostarczyć materiału i gotowych narzędzi do poznawania i interpretacji rzeczywistości. Czyli – na przykładzie przedmiotów humanistycznych – uczeń dostawał wybrane i spreparowane przez nauczyciela materiały: fragmenty tekstów źródłowych, mapy, ilustracje. Na ich podstawie miał odpowiedzieć na zadane pytania. Do tego w późniejszych latach doszedł pomysł na ograniczenie dostarczanych informacji – poprzez np. czytanie fragmentów lektur, z których treścią zapoznawano się na podstawie opracowań. Za dużo wiedzy – grzmieli ówcześni dydaktycy – za mało umiejętności! No to tniemy! Zamiast historii, matematyki i łaciny będzie np. przedsiębiorczość, czy historia tańca, czy... (z pełnym szacunkiem dla tych przedmiotów, ale bez szacunku dla pomysłów dydaktycznych). Pozór wolności i kreatywności intelektualnej polegał na tym, że uczniowie przyzwyczajali się do działań w granicach zakreślonych przez innych. Po demokracji centralistycznej zaistniała więc kreatywność limitowana.

ZAMKNIĘCI W KLUCZU

Teraz pora na nauczycieli. Tzw. nauczanie przy tablicy (wówczas obelga dydaktyczna) nie pozwalało na awans zawodowy. Żeby go uzyskać, należało dla klas przygotowywać: przedstawienia, prezentacje, infografiki, szukać materiałów w internecie itp. itd., przebierać siebie i uczniów. Instytucje edukacyjne dwoiły się i troiły, oferując kursy niestandardowych metod nauczania. Metodycy wymagali składania konspektów, czyli rozbudowanych planów lekcji z materiałami i określeniem celów do zrealizowania. Brzmi fantastycznie! Jakie pole do popisu dla nauczycieli, jakie to kreatywne! Ale rzeczywistość jak zawsze poróżniła się z założeniami. Zresztą za sprawą schizofrenii pojęciowej twórców tej reformy. Wprowadzono dla egzaminów państwowych system oceniania „kluczowy" i zewnętrzny – wszystko w imię obiektywizacji (sic!). A zatem jeśli chodzi o uczniowskie odpowiedzi, były one dobre lub złe – nie dlatego, że były dobre lub złe, nie dlatego, że uczeń potrafił lub nie potrafił tego uzasadnić, lecz dlatego, że klucz podawał wersję obowiązującą i niedyskutowalną. Jak to się ma do kreatywności obu stron edukacji? Założenie reformatorów, że realizację reformy znacznie przyspiesza w pierwszym rzędzie zmiana kryteriów oceniania, okazało się nadzwyczaj trafne. I znowu na przykładzie historii – rozliczani z sukcesów maturalnych, gimnazjalnych, nauczyciele zaczęli uczyć pod klucz. Nastąpiła więc matematyzacja historii, czyli zamiast uczyć myślenia przyczynowo-skutkowego, ćwiczono rozwiązywanie zadań. I jak w matematyce prowadzi to do zrozumienia uniwersum, tak w historii jest działaniem bezprzedmiotowym.

> Musimy prowadzić uczniów tak, żeby ich wyposażyć w aparat intelektualny do odróżnienia prawdy od fałszu, dobra od zła, poglądu od faktu

POD JEDEN STRYCHULEC

Coraz częściej – także za sprawą wydawnictw edukacyjnych – nauczyciele byli namawiani do korzystania z opracowanych konspektów lekcji (wraz z materiałami). To oszczędzało bardzo dużo pracy. Chcę podkreślić, że idea konspektu w swoim założeniu jest bardzo dobra. Pod jednym warunkiem – że praca jest przygotowywana dla potrzeb indywidualnych. Wtedy pozwalała na analizę własnego poglądu na dany temat, dobrania do tego właściwego języka i środków, a w końcu zastanowienia się, jakiemu celowi kształcenia dany temat ma służyć. Np. czy lekcja o Konstytucji 3 maja posłuży nam do pokazania zjawiska zaangażowania społecznego w reformę państwa i odrodzenia w upadku, czy też egoizmu poszczególnych warstw, od oświeconych do przyszłych targowiczan, które nie potrafiły się ze sobą dogadać. Słowem – od nauczyciela i jego zrozumienia dziejów powinna zależeć ich interpretacja. Niestety publikowane na potęgę konspekty miały skutek zupełnie odwrotny. Wielu nauczycieli uznało, że będą pracować na gotowcach, czyli będą głosić cudze poglądy. Pytanie, czy przyjęli je za swoje, czy bezrefleksyjnie przekazywali otrzymane treści, pozostanie bez odpowiedzi.

Trzeba pamiętać, że powstał również szablon pisania konspektów wypełniony nowomową – szczególnie najważniejszy w gruncie rzeczy jego element pt. cele, powielane na zasadzie wytnij, wklej. Wszystko to spowodowało znaczny spadek kreatywności, a tym samym poczucia własnej wartości, jeśli chodzi o nauczycieli. Najsilniejszym ciosem dla nich – bo jednak to wotum

Autopromocja

eprasa.pl 7cf024e5c7

nieufności – było wprowadzenie zewnętrznego oceniania matur.

Do tego doszła selekcja negatywna, trzymanie się karty nauczyciela, roszczeniowy stosunek do zawodu, niskie płace i – co najważniejsze – teraz system boloński, który pozwala ludziom na poziomie studiów licencjackich zdobywać wykształcenie zawodowe. Co da to, że teoretycznie wiedzą, jak uczyć, skoro nie wiedzą czego? I to pytanie leży u podstaw analizy dzisiejszej sytuacji edukacyjnej.

KRÓL JEST…

Wielki hejt wylał się na osoby prowadzące lekcje telewizyjne. A że błędy, a że złe sformułowania, a że sztywno przy tablicy... i że lepiej w ogóle nic nie robić, niż robić tak fatalnie. Tu posypały się przykłady ciekawych filmików i audycji w internecie. Zapewne cała ta krytyka oddawała prawdziwy stan rzeczy, ale... Skąd nauczyciel przez długoletnią praktykę przyzwyczajony do pracy z przewagą formy nad treścią ma umieć twórczo działać przy tablicy (niegdysiejsza obelga dydaktyczna), skąd ma czerpać wiedzę i pogląd – własny – jeśli realizował cudze konspekty? Jak ma uczynić lekcję atrakcyjną, skoro zabrakło rekwizytów, którymi się posiłkował? Słowem – jak ma przekreślić dotychczasową rutynę? Za sprawą pandemii widzimy, że król jest nagi. Edukacja ogołocona z rekwizytów, artefaktów, filmików, organizowana trochę w warunkach laboratoryjnych pokazała swoją istotę. Nie powinniśmy się dziwić, że taką. Na ogół tak się kończy przerost formy nad treścią. Nie zamierzam bynajmniej w tym miejscu kończyć mojego tekstu. Teraz czas na wnioski.

A JEDNAK KLASYCZNE (WYCHOWANIE)

Postulat jest następujący: zmienić system rekrutacji kształcenia nauczycieli, ale to wszyscy wiedzą. Przywrócić pojęcie prawdy w nauczaniu, bo tylko ona jest ciekawa. Nie piórka, ozdobniki – nie możemy ich mnożyć w nieskończoność – jak wszystkie zabawki i te się znudzą. Musimy prowadzić uczniów tak, żeby ich wyposażyć w aparat intelektualny do odróżnienia prawdy od fałszu, dobra od zła, poglądu od faktu. Musimy przywrócić normy, bo dzięki nim jesteśmy w stanie zrozumieć i ocenić rzeczywistość. Musimy pozwolić im myśleć i poszukiwać, a nie dawać gotowe formułki. Przestańmy kłamać, że ocena jest niepotrzebna, a nawet naganna. Przecież jest ona na każdym kroku. Sami hejterzy – pewnie w wielu wypadkach deklaratywni zwolennicy tolerancji – tym się głównie zajmują. Pokażmy walory konstruktywnej krytyki i rzeczywistej pochwały. To spowoduje, że uczeń będzie umiał wypracować sobie rzeczową samoocenę, która nie będzie reagować na najmniejszy bodziec zewnętrzny.

Nie sposób się nie zgodzić z twierdzeniem, że dziś szkoła zabija zainteresowanie. No właśnie – potrzeba nam nauczycieli pasjonatów. Ci zwykle nie mieszczą się w zakreślonych powyżej ramach. Zmieńmy więc ramy – promujmy pasje, przywróćmy relacje mistrz – uczeń, bez próby zrównania w relacjach partnerskich. Porzućmy mrzonki o konstruktywnym samorozwoju. Przywróćmy szacunek nauczycielom, nie kwestionując na każdym kroku ich autorytetu. A wtedy liczba mistrzów znacznie wzrośnie. Pokora to piękna cecha.

I jeszcze ostatnie słowo do wyznawców czystego konstruktywizmu, czyli pedagogiki samowychowania, chwalców bezstresowego bytowania w pełni szczęścia, krytyków prac domowych i stawiania wymagań. Nie twórzcie swoim dzieciom pseudoraju na ziemi. Nie ułatwiajcie im życia za bardzo, bo uczynicie to życie nudnym, a dzieci frustratami. To przecież rzeczy trudne są ciekawe i tworzą wartości. Na zakończenie przypomnę ciągle aktualne wezwanie Jana Pawła II skierowane z Westerplatte do młodych Polaków w 1987 r.: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali. Wbrew wszystkim mirażom ułatwionego życia, musicie od siebie wymagać. To znaczy właśnie »więcej być«".

Mamy 500 litrów płynu do dezynfekcji, więc liga może grać

MAREK BUDZISZ

Aleksander Łukaszenka długi czas publicznie głosił odważne tezy, nazywając pandemię „koronahisterią" i twierdząc, że najlepszym na nią środkiem jest praca na świeżym powietrzu, białoruska bania i pięćdziesiątka „czegoś mocniejszego", oczywiście po pracy, jak sam zastrzegł

Białoruska liga piłkarska przeżywa swe dni chwały, skupiając na sobie zainteresowanie całej światowej społeczności fanów futbolu. W dalekiej Australii kibice założyli nawet specjalną facebookową stronę sympatyków klubu Słuck, ligowego średniaka, którą w krótkim czasie polubiło ponad 2 tys. osób. Co prawda sceptycy uważają, że stało się tak głównie za przyczyną fonetycznego podobieństwa nazwy klubu do angielskiego słowa slut, co oznacza slangowe określenie kobiety dość swobodnych obyczajów, a nie dlatego, że kibiców zachwyciła piłkarska finezja białoruskich graczy, ale nieważne, liczy się popularność. Tym bardziej że prawa do telewizyjnych transmisji rozgrywek ligowych sprzedano ostatnio do wielu krajów, w tym tak odległych jak Izrael.

Białoruski futbol ma swoje dni chwały, może dlatego, że tamtejsza ekstraklasa jest jedyną europejską ligą piłkarską, która nie zawiesiła, z powodu COVID-19, swych rozgrywek. Podobnie postąpiły federacje w Nikaragui, Burundi i Tadżykistanie. W tym pierwszym przypadku, jak powiedział mediom José María Bermúdez, też obserwuje się wzrost zainteresowania europejskich stacji telewizyjnych zakupami praw do transmisji. O sytuacji futbolu Burundi i Tadżykistanu niewiele można powiedzieć.

W przeciwieństwie do wszystkich europejskich lig piłkarskich, które najpierw wstrzymały swe rozgrywki, a teraz, po uzgodnieniu z UEFA i po stopniowym znoszeniu krajowych ograniczeń wprowadzonych w związku z pandemią, mają je kończyć, ale bez udziału publiczności, Mińsk nie widział i nadal nie widzi powodu do wprowadzenia tego rodzaju restrykcji. Problemu nie dostrzegały też władze 16 klubów piłkarskich tworzących tamtejszą ekstraklasę. Przede wszystkim z tego względu, że nie dostrzegał takiej potrzeby białoruski prezydent.

Aleksander Łukaszenka długi czas publicznie głosił odważne tezy, nazywając pandemię „koronahisterią" i twierdząc, że najlepszym na nią środkiem jest praca na świeżym powietrzu, białoruska bania i pięćdziesiątka „czegoś mocniejszego", oczywiście po pracy, jak sam zastrzegł. W efekcie rozgrywki piłkarskie trwają w najlepsze, na stadionach gromadzą się tysiące ludzi. Bo przecież wirusa i tak nikt nie widzi.

PROTEST KIBICÓW, OBAWY PIŁKARZY

Ale ostatnio i tu nastąpiły pewne zmiany. Jak poinformowały na początku kwietnia władze białoruskiego futbolu, „realizując zalecenia ministra sportu", zdecydowały się zawiesić rozgrywki juniorów i młodzików. Decyzja ta została być może podjęta w związku z przedłużeniem ferii w szkolnictwie na poziomie podstawowym, co niedawno zostało ogłoszone, ale

eprasa.pl 7cf024e5c7

niewykluczone, że są i inne wyjaśnienia tej niewielkiej zmiany polityki władz.

Jednym z nich może być narastający sprzeciw społeczeństwa wobec coraz bardziej absurdalnej, w świetle sytuacji, bezczynności. Zbuntowały się nawet piłkarskie kluby kibica, które wystosowały wspólne oświadczenie wzywające sympatyków piłki do bojkotu trybun stadionów. Atmosferę wesołego pikniku, którą cechowały spotkania ligowe jeszcze kilka tygodni temu, kiedy oglądanie rozgrywek często umilano sobie np. grą na akordeonie, o czym relacjonowała prasa, zastąpiła zaduma, a nawet nieskrywana obawa o konsekwencje rozwoju COVID-19 na Białorusi.

Sprzeciw wobec polityki federacji piłkarskiej zapoczątkowały kluby kibica grodzieńskiego Niemenu oraz soligorskiego Szachtara, apelując do kibiców, aby ci przestali przychodzić na mecze, bo „władza i tak o nas nie pomyśli", a na trybunach bardzo szybko można się zakazić wirusem. Sami ogłosili, że „ktoś tu kłamie" w sprawie COVID-19, i zawieszają kibicowanie zarówno w trakcie spotkań wyjazdowych, jak i u siebie, w domu. Wkrótce do apelu przyłączyły się organizacje kibicowskie zrzeszające sympatyków innych zespołów, co spowodowało, jak można przypuszczać, zauważalny spadek popularności meczów. Najwyższa frekwencja szacowana jest na 3,7 tys. osób na spotkanie, ale średnio na stadiony przychodzi po 1 tys. osób, co i tak w czasie pandemii jest dużym zgromadzeniem. Kibice wezwali też krajowe władze piłkarskie do wprowadzenia ograniczeń.

W tym samym czasie słowa krytyki zaczęły napływać też ze strony władz europejskiego futbolu i związków zawodowych piłkarzy. Jonas Baer-Hoffmann, sekretarz generalny FIFPRO, największego światowego związku profesjonalnych piłkarzy, powiedział BBC, że „jest po prostu niepojęte, że rozgrywki białoruskiej ligi mogą być kontynuowane", i wezwał jej władze do natychmiastowego ich zawieszenia. Dodał też, że z Białorusi zaczęły napływać skargi od piłkarzy zaniepokojonych o swoje bezpieczeństwo. Brazylijski obrońca klubu Ruch z Brześcia João William powiedział portalowi sportowemu Tribuna, że ma nadzieję, iż mecze zostaną wkrótce zawieszone, a jego rodzina jest poważnie zaniepokojona tym, że uczestnicząc w spotkaniach, ryzykuje infekcję, która nawet w sytuacji lekkiego przebiegu choroby może złamać jego karierę sportową. I dodał, że za każdym razem, kiedy słyszy końcowy gwizdek, zastanawia się, „czy dzisiaj się zaraziłem?".

Patrick O'Connor, szef misji Światowej Organizacji Zdrowia, którą pod naciskiem opinii publicznej zaprosił do Mińska prezydent Łukaszenka po to, aby ta oceniła, czy środki walki z COVID-19 na Białorusi są wystarczające, na konferencji prasowej zalecił odwołanie wszystkich imprez masowych, w tym meczów piłkarskich. Powiedział też, że kraj wchodzi w nową fazę epidemii i w tej sytuacji pilne staje się wprowadzenie obostrzeń.

> Mimo zapewnień białoruskich władz, że sytuacja „nie jest krytyczna", liczba zakażonych koronawirusem rośnie w szybkim tempie, zwłaszcza na wschodzie kraju

BEZ PANIKI

Jednak Władimir Bazanow, szef krajowej federacji piłki nożnej, zawodowy wojskowy, który zanim zajął się futbolem, służył jeszcze za czasów sowieckich w Afganistanie, a później po uzyskaniu przez Białoruś niepodległości dowodził m.in. okręgiem wojskowym w Brześciu, podchodzi do problemu „po wojskowemu". Najważniejsze, jak powiedział na konferencji prasowej, to nie panikować. „Sytuacja nie jest krytyczna – dodał – dlatego kontynuujemy rozgrywki. Kupiliśmy 500 litrów płynu antyseptycznego i rozwieźliśmy go na stadiony. Najważniejsze, aby ludzie sami rozumieli, co trzeba robić. Aby myli ręce, częściej używali środków bakteriobójczych. Nie kichali ani nie chodzili chorzy na mecze". Jednak, jak dodał, jeśli sytuacja okaże się krytyczna, to być może rozgrywki zostaną przerwane.

JAK PO CZARNOBYLU

W Witebsku, gdzie swą siedzibę ma jeden z klubów grających w białoruskiej ekstraklasie, oraz w Mińsku sytuacja w ostatnich dniach zaczęła się szybko pogarszać. Białoruski minister zdrowia Władimir Karanik oficjalnie poinformował, że w kraju, przede wszystkim we wschodniej jego części, głównie w Witebsku oraz w Mińsku, odnotowano już 301 przypadków zarażenia się koronawirusem wśród pracowników służby zdrowia. Stawia to nie tylko pod znakiem zapytania oficjalną liczbę 3,7 tys. przypadków infekcji podawanych przez władze w połowie ubiegłego tygodnia, lecz również potwierdza obawy tych, którzy od kilkunastu dni wzywali do wprowadzenia ograniczeń stosowanych już przez wszystkie ościenne kraje.

Sytuacja, zwłaszcza na wschodzie kraju, zdaje się wymykać spod kontroli. Radio Svoboda publikuje reportaż ze szpitala w Dokszycach, niewielkiego miasta w obwodzie witebskim, do którego od dwóch tygodni zwożeni są chorzy na zapalenie płuc. Miejscowi lekarze, mimo że władze tego oficjalnie nie przyznają, mówią o tym, że większość, jeśli wręcz nie wszystkie przypadki, spowodowane są infekcją COVID-19. „To po prostu katastrofa – powiedział dziennikarzom jeden z tamtejszych lekarzy – przy takiej gęstości zaludnienia jak w Dokszycach w Mińsku chorzy powinni zapełnić 11 szpitali". 8 kwietnia kierująca szpitalem Walentyna Biestart powiedziała lokalnym mediom, że aktualnie hospitalizowanych jest 85 osób chorych na zapalenie płuc.

Vitali Shkliarov, pracujący w Stanach Zjednoczonych dziennikarz białoruskiego pochodzenia, napisał na portalu CNN, że obecna sytuacja przypomina mu zapamiętaną z dzieciństwa politykę władz wobec katastrofy w Czarnobylu. Wówczas też, mimo zagrożenia, Wyścig Pokoju, wielka impreza kolarska, przejechał ulicami Kijowa. Podobnie jak obecnie i wtedy władze uważały, że sytuacja „nie jest krytyczna".

Fot. East News/Sergei GAPON/AFP

eprasa.pl 7cf024e5c7

Co wolno wojewodzie

Pięć lat minęło, w Polsce szykują się kolejne wybory prezydenckie, a niemieckie media wciąż nas pouczają

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Franz Emanuel August Geibel, niemiecki liryk i tłumacz, autor licznych sztuk o Siegfriedzie i Nibelungach, ukuł w 1861 r. hasło „Am deutschen Wesen mag die Welt genesen" (niemiecki charakter może uleczyć świat). Geibel, zwany „heroldem Rzeszy", był gorącym zwolennikiem cesarza Wilhelma I. Uważał, że zjednoczenie Niemiec będzie miało stabilizujący wpływ na Europę. Niemieckie księstewka rzeczywiście zjednoczyły się w 1871 r., ale Geibel się mylił. Nowe zjednoczone Niemcy nie potrafiły się wpasować w europejski ład, co ostatecznie doprowadziło do wybuchu I wojny światowej. Ukute przez Geibla hasło, z pozoru niewinne, zostało wykorzystane m.in. przez cesarza Wilhelma II jako argument, że „świat powinien stać się bardziej niemiecki". A wyrażona w nim postawa głęboko zakorzeniła się w niemieckiej mentalności. Niemcy uważają się za wzór dla reszty Europy. Najpierw odgrywali rolę prymusa w pikielhaubie, potem na tle swastyki, a teraz maszerują pod tęczowymi flagami w sandałach Birkenstock. Znów dążą do absolutnego spełnienia przybranej przez siebie roli. Uważają, że wyciągnęli właściwe wnioski z historii i dziś są uosobieniem tolerancji, praworządności i demokracji.

TRUDNY DO ZNIESIENIA CYNIZM

Są więc narodem szczególnie predestynowanym do ustanawiania wspólnych norm dla reszty kontynentu. Ten imperializm normatywny jest bardzo silnie obecny w niemieckim myśleniu o Europie. Widać to aż nader wyraźnie w pouczających artykułach w niemieckiej prasie, adresowanych do Polski. Wynika z nich, że mamy, z wyjątkiem kilku światłych jednostek, niewłaściwą mentalność, jesteśmy ksenofobiczni, szowinistyczni, nacjonalistyczni, klerykalni, prymitywni i głupi. W 2015 r., przed wyborami parlamentarnymi nad Wisłą (były już) dziennikarz niemieckiej telewizji publicznej ARD Ulrich Adrian napisał na Twitterze, że „zaraz się dowiemy, czy Polacy naprawdę są tacy głupi i wybiorą prawicę". „Gorzko tego pożałują" – dodał. Pięć lat minęło, w Polsce szykują się kolejne wybory prezydenckie, a niemieckie media wciąż nas pouczają. Pomijając kwestię słuszności przeprowadzenia głosowania korespondencyjnego w czasie pandemii oraz jego technicznej wykonalności w planowanym terminie, ton artykułów jest – jak zwykle – nieznośny. „PiS dostrzegło szansę, by w łatwy sposób dopomóc urzędującemu prezydentowi Andrzejowi Dudzie w zwycięstwie, bo kandydaci opozycji musieli de facto zawiesić swoje kampanie. Dla tego celu z trudnym do zniesienia cynizmem gotowa jest zaryzykować zdrowie i życie wielu tysięcy Polaków" – pisze na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Reinhard Veser. Zdaniem komentatora porażka Dudy zatrzymałaby przebudowę Polski „w kierunku państwa autorytarnego". A jego zwycięstwo dałoby PiS „kolejne trzy lata bez wyborów". No tak, gdy rządzi partia, która nam (czytaj: panu Veserowi) nie

eprasa.pl 7cf024e5

pasuje, wybory powinny się odbywać co roku. A jeśli ich wynik nie wypadnie satysfakcjonująco, powinny zostać natychmiast powtórzone.

INNE ZMARTWIENIA POLAKÓW

Z kolei korespondent „Süddeutsche Zeitung" Florian Hassel przypomina Polakom o „demokratycznych standardach", które mają wykluczać możliwość głosowania podczas pandemii, gdyż kandydaci opozycji nie mogą prowadzić kampanii, a Andrzej Duda z racji tego, że jest prezydentem, jest od nich bardziej widoczny. Cóż, podobnie jest w USA, gdzie (prawdopodobny) kandydat demokratów na prezydenta Joe Biden prowadzi kampanię z piwnicy swojego domu w Delaware, podczas gdy Donald Trump bryluje w mediach i jako urzędujący prezydent ma okazję odegrać rolę zbawcy narodu. Nikt w USA jednak z tego powodu (z Bidenem na czele) nie domaga się odwołania wyborów ani ich przesunięcia. W niektórych stanach odbyły się w minionych tygodniach także liczne prawybory demokratów. „SZ" jakoś nie domagała się ich przesunięcia. Najwyraźniej potrzeba niesienia kaganka oświaty nie sięga aż za ocean.

Co w przypadku USA jeszcze uchodzi, urasta w przypadku Polski do rangi brudnej gry Jarosława Kaczyńskiego i jego partii w celu zapewnienia sobie zwycięstwa teraz, bo – jak twierdzi Hassel – za kilka miesięcy PiS skończą się pieniądze na prezenty socjalne, które „zapewniały mu władzę", i Duda przegra. Kolejny komentator, Florian Kellermann, twierdzi na łamach portalu rozgłośni Deutschlandfunk, że jeśli wybory rzeczywiście odbędą się w maju, to „Polska pogrąży się w chaosie", bo Polacy nie mają żadnego doświadczenia w przeprowadzaniu głosowań korespondencyjnych. Ponadto Kellermann jest pewien, że liczba zakażeń koronawirusem znacznie wzrośnie. No i takie wybory byłyby niedemokratyczne, bo większość Polaków ma inne zmartwienia, a głosowanie ich po prostu nie obchodzi.

DEMOKRACJA W CZASACH KRYZYSU

Idąc tym tokiem rozumowania, także władze Bawarii mają problemy z rozumieniem dobra ogólnego, bo przeprowadziły w marcu wybory samorządowe. Drogą korespondencyjną. Ignorując przy tym zastrzeżenia niektórych członków komisji wyborczych, którzy domagali się przesunięcia wyborów lub rozłożenia ich na kilka dni, by zmniejszyć ryzyko infekcji. Bawarscy politycy jednak argumentowali, jak burmistrz Monachium Dieter Reiter, że „jeśli są przewidziane wybory, to należy je przeprowadzić". Zagłosowało więc kilka milionów obywateli, w dwóch turach, a frekwencja była wysoka – 58,5 proc., o trzy pkt proc. więcej niż w 2014 r. Mimo pandemii ludzie chcieli uczestniczyć w procesie demokratycznym. Przed wyborami rozgłośnia Bayerischer Rundfunk zapewniała ich zresztą, że głosowanie niesie ze sobą „bardzo niskie ryzyko infekcji", bo wirus nie utrzymuje się długo na powierzchniach przedmiotów, a laryngolog Christian Lübbers przekonywał na Twitterze, że wystarczy „zachować się odpowiedzialnie" i wszystko będzie dobrze. „Postawcie swój krzyżyk i idźcie do domu" – pisał. Po wyborach „Süddeutsche Zeitung" chwaliło je jako bardzo udane, wręcz „historyczne". „Demokracja powinna funkcjonować szczególnie w czasach kryzysu. Pokazali to bawarscy wyborcy" – czytamy na łamach monachijskiego dziennika.

W przypadku Polski najwyraźniej demokracja w czasach kryzysu funkcjonować nie musi, w końcu to żadna tam demokracja, tylko autorytarne państwo, które kombinuje, jak nie wpuścić Małgorzaty Kidawy-Błońskiej do Pałacu Prezydenckiego. W takich chwilach można oczywiście zawsze liczyć na rodzimych ekspertów, którzy jako gościnni autorzy potwierdzą niemieckie obawy o polską demokrację i zdrowie Polaków. Tak Piotr Buras z European Council on Foreign Relations domaga się w tygodniku „Die Zeit", by polski rząd „natychmiast ogłosił stan klęski żywiołowej" oraz zrezygnował z wyborów, bo ich przeprowadzenie byłoby niedemokratyczne i „niemoralne". Plany rządu PiS nazywa „szaleństwem" i domaga się interwencji Rady Europy oraz Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), która wsławiła się w obliczu pandemii wychwalaniem polityki zdrowotnej jakże demokratycznych Chin. Walka z pandemią jest zdaniem Burasa wspólną europejską sprawą, podobnie jak wybory w Polsce, dlatego OBWE powinna wysłać nad Wisłę obserwatorów, gdyby rząd PiS zignorował ostrzeżenia Burasa, oraz instytucji, które przywołuje. Zabrakło tylko wezwania do objęcia Polski nadzorem, ale to zapewne tylko niedopatrzenie.

SZANSE OPOZYCJI

Korea Południowa powinna się cieszyć, że nie leży w Europie, inaczej byłaby przedmiotem podobnych apeli, a tak przeprowadziła 15 kwietnia wybory parlamentarne. I bynajmniej nie korespondencyjnie. Frekwencja była najwyższa od lat. W związku z ryzykiem infekcji lokale wyborcze były odkażane, a głosującym mierzono temperaturę. Wyborcy musieli także dezynfekować dłonie żelem i zakładać maseczki oraz plastikowe rękawiczki. Korea Płd. dobrze radzi sobie z pandemią, zmarło tam jak dotąd zaledwie kilkaset osób. I to mimo iż była jednym z pierwszych państw po Chinach, gdzie dotarł koronawirus.

Czy liczba infekcji wzrośnie po wyborach? To się okaże w najbliższym czasie. W przypadku Bawarii rozwój pandemii od końca marca znacznie przyspieszył. Dziś jest ona najbardziej dotkniętym przez COVID-19 krajem związkowym Niemiec. Czy to wina wyborów? Tego nikt nie wie, a poważnej dyskusji w niemieckich mediach na ten temat jakoś brak. Za to toczy się dyskusja o Polsce. W końcu „co wolno wojewodzie....". Oczywiście porównując Polskę i Bawarię, należy mieć na uwadze różnice w doświadczeniu – zarówno co do samego głosowania, jak i rozsyłania korespondencji związanej z wyborami oraz skali podejmowanego wyzwania. Nie zmienia to jednak faktu, że pedagogika wstydu stosowana przez niemieckie media robi się powoli nudna, bo irytująca jest już od dawna. Przestaje także działać. Wchodziliśmy do Europy z lękiem, że nie dorastamy. Z kompleksami podsycanymi przez moralizatorów i apostołów postępu, za którymi ponoć pozostaliśmy głęboko w tyle. Z zapartym tchem śledziliśmy doniesienia o nas w zagranicznych mediach, przejmując się każdą krytyczną opinią. Dziś to ciągłe biczowanie co najwyżej drażni. Szczególnie gdy jest naznaczone tak głęboką hipokryzją i paternalizmem, a kryje się za nim nie tyle troska o dobro Polaków lub polską demokrację, ile troska o szanse polskiej opozycji w wyścigu o Pałac Prezydencki.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Nowa sprawa Dreyfusa

Przypadek kardynała George'a Pella pokazuje, że nawet w demokracjach liberalnych media, policja, prokuratura i sądy, działając w sposób zorkiestrowany, mogą się stać instrumentami niszczenia niewygodnych przeciwników

GRZEGORZ GÓRNY

Przez ostatnie trzy lata był w Australii wrogiem publicznym nr 1. W mediach przedstawiano go jak wcielenie absolutnego zła w Kościele katolickim. Był symbolem nietolerancji, obskurantyzmu i zakłamania, a przede wszystkim zwyrodnialcem i zboczeńcem molestującym seksualnie nieletnich. Przez sądy dwóch instancji został skazany na sześć lat pozbawienia wolności jako pedofil, by trafić do więzienia dla sprawców ciężkich przestępstw razem z seryjnymi mordercami i gwałcicielami.

LISTA HAŃBY

Kard. George Pell to najwyższy rangą dostojnik Kościoła katolickiego oskarżony i skazany za wykorzystywanie seksualne nieletnich. W momencie rozpoczęcia procesu w 2017 r. pełnił urząd prefekta Sekretariatu ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej – nowo utworzonej instytucji, której zadaniem było oczyszczenie finansów Watykanu, zwalczenie korupcji i skończenie z aferami. O australijskim purpuracie mówiono, że jest jedynym człowiekiem, który może sobie z tym poradzić. Nie zdążył, ponieważ wyjechał na proces do Melbourne. Mógł zignorować wezwanie i schować się za watykańskim immunitetem, ale chciał jak najszybciej przybyć do kraju, by przed sądem dowieść swej niewinności. Zamiast tego trafił do więzienia.

W Wielki Wtorek, po 405 dniach spędzonych w celi, kard. Pell został uniewinniony przez Sąd Najwyższy w Brisbane. Siedmiu sędziów jednogłośnie stwierdziło, że dostojnik jest

eprasa.pl 7cf024e5c7

niewinny i nie popełnił zarzucanych mu czynów. Na oskarżeniu nie zostawiono suchej nitki, uznając je za całkowicie niewiarygodne i niepoparte żadnymi dowodami.

Wyrok Sądu Najwyższego oznacza totalną kompromitację australijskiej policji, prokuratury oraz sądów pierwszej i drugiej instancji, które sprzeniewierzyły się swemu powołaniu, jawnie stając po stronie kłamstwa i niesprawiedliwości. Jak mogło do tego dojść?

Otóż nie byłoby to możliwe bez kierowania się antykatolickimi uprzedzeniami, które dla dziesiątków ludzi zajmujących kluczowe stanowiska okazały się ważniejsze od ustalenia prawdy i dochodzenia sprawiedliwości. Podobnie było pod koniec XIX w. ze słynną sprawą Dreyfusa we Francji, gdzie antysemickie resentymenty części urzędników i wojskowych doprowadziły do skazania na dożywocie niewinnego oficera pochodzenia żydowskiego.

Przypadek kard. Pella z pewnością wejdzie do annałów australijskiego sądownictwa jako przykład sfingowanego procesu pokazowego. Studenci prawa będą mogli się na nim uczyć, jak wygląda mechanizm zbrodni sądowej nie w ustroju totalitarnym, lecz w demokracji liberalnej. Przywoływać będą długą listy hańby z wieloma nazwiskami, m.in. komisarza policji Grahama Ashtona, prokuratora Marka Gibsona, sędziów Petera Kidda, Anne Ferguson czy Chrisa Maxwella.

Skazanie dostojnika nie byłoby możliwe bez nieustannej nagonki medialnej, która utrwalała jego rzekomą winę w świadomości społecznej. Lista hańby powinna więc zostać wydłużona o nazwiska dziennikarzy, zwłaszcza państwowej telewizji ABC (Australian Broadcasting Corporation), która celowała w atakach na hierarchę. Szczególnie zasłużona w zniesławianiu dobrego imienia purpurata okazała się reporterka tej stacji Louise Milligan, która w 2017 r. opublikowała książkę pt. „Kardynał. Wzlot i upadek George'a Pella", przedstawiającą tytułowego bohatera jako zakłamanego pedofila. Za swą publikację otrzymała cztery prestiżowe nagrody dziennikarskie. Jurorzy podkreślali, że bezkompromisowo dąży do prawdy, podczas gdy w rzeczywistości propagowała łgarstwa.

POLOWANIE Z NAGONKĄ

Kard. George Pell nigdy nie należał do ulubieńców liberalno-lewicowego mainstreamu. Był w tych kręgach powszechnie nielubiany i atakowany z powodu swej wierności nauce Kościoła oraz bezkompromisowego stanowiska w sprawie aborcji, eutanazji czy homoseksualizmu. W 2008 r. podczas Światowych Dni Młodzieży w Sydney został obrzucony przez aktywistów gejowskich prezerwatywami.

Kiedy w 2012 r. w Australii wybuchła afera związana z molestowaniem nieletnich przez duchownych, hierarcha znalazł się na celowniku jako potencjalny sprawca. Nie miało znaczenia, że był on pierwszym biskupem w kraju, który w swej diecezji (Sydney) wszczął procedury mające na celu ochronę dzieci, demaskowanie sprawców pedofilii oraz finansowe zadośćuczynienie dla ofiar. Nie miało znaczenia, że ujawnił przypadki tuszowania tego typu afer w swej poprzedniej diecezji (Melbourne) przez wcześniejszego ordynariusza abp. Franka Little'a.

W 2013 r. policja stanu Wiktoria rozpoczęła operację pod kryptonimem „Tethering" mającą na celu zebranie informacji na temat kard. Pella pod kątem pedofilii, mimo że nie było wówczas żadnych skarg przeciwko niemu. Przez cztery lata poszukiwano osób, które mogłyby świadczyć przeciwko niemu, że były seksualnie wykorzystywane. Policja zamieszczała nawet ogłoszenia w prasie wzywające wszystkich, którzy mogli być molestowani w katedrze w Melbourne, by zgłaszali się ze swoimi zeznaniami. Na apel odpowiedziało dziewięć osób, które oskarżyły kardynała o popełnienie łącznie 26 przestępstw, jednak ich relacje odrzucono jako całkowicie niedorzeczne.

W końcu postanowiono dać wiarę pewnemu mężczyźnie, który utrzymywał, że w roku 1996 jako 13-letni chórzysta został (razem ze swym kolegą) wykorzystany seksualnie przez George'a Pella, wówczas biskupa w katedrze w Melbourne. Wkrótce potem historię nagłośnił tabloid „Herald Sun", uruchamiając kampanię medialną przeciw kardynałowi.

Niedawno ujawniona została korespondencja mailowa z 2014 r. między dwoma wysokimi funkcjonariuszami policji w stanie Wiktoria: Grahamem Ashtonem i Charliem Mortonem. Nad tamtejszą komendą zbierały się wówczas ciemne chmury z powodu skandalu kryminalnego, który przejdzie do historii pod nazwą afery „Prawnika X". Chodziło o to, że dostęp do tajnych materiałów policyjnych posiadał adwokat Nicola Gobbo, który był jednocześnie informatorem mafii kalabryjskiej. Ashton i Morton uznali, że najlepszym sposobem na odwrócenie uwagi opinii publicznej od wspomnianego skandalu będzie znalezienie materiałów obciążających kard. Pella i nagłośnienie sprawy w mediach. Tak też się stało.

NIEWIARYGODNE OSKARŻENIE

Pierwszy proces kardynała zakończył się we wrześniu 2018 r. Ława przysięgłych stosunkiem głosów 10:2 uznała jego niewinność. Ławnicy, przysłuchując się osobiście zeznaniom byłego chórzysty, uznali jego relację za całkowicie niewiarygodną. Mimo to rozpoczął się drugi proces. W grudniu 2018 r. następni przysięgli uznali hierarchę za winnego zarzucanych mu czynów. Tym razem nie mieli oni okazji osobiście wysłuchać oskarżającego, zapoznając się jedynie z jego zeznaniami na piśmie, złożonymi za pierwszym razem. Nie dostali więc szansy zobaczenia go na żywo i bezpośredniego zweryfikowania jego twierdzeń. A szkoda...

13 marca 2019 r. w Melbourne sędzia Peter Kidd skazał kard. Pella za molestowanie dwóch nastolatków na sześć lat więzienia. Przez cały czas trwania procesu szczegóły oskarżenia były nieznane opinii publicznej, ponieważ sędzia zakazał ich ujawniania, a rozprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami. Dopiero 12 marca, a więc w przeddzień ogłoszenia wyroku, Peter Kidd zdjął klauzulę tajności i światło dzienne mogły ujrzeć okoliczności domniemanego przestępstwa, jakiego miał się dopuścić australijski hierarcha.

Jak wyglądały szczegóły? Prokuratura stanu Wiktoria oskarżyła kardynała Pella, że w 1996 r., gdy był arcybiskupem w Melbourne – zamiast żegnać

Fot. AP Photo/Asanka Brendon Ratnayake /East News

eprasa.pl 7cf024e5c7

ludzi po skończonej mszy w katedrze św. Patryka, jak to miał w zwyczaju – udał się do zakrystii, gdzie nakrył na gorącym uczynku dwóch chórzystów, którzy samowolnie opuścili procesję i po kryjomu pili mszalne wino. Tam miał ich gwałcić, dokonując – jak to ujął prokurator – „penetracji ustnej". Wszystko miało trwać sześć minut. Chłopcy nikomu o tym nie mówili. Jeden z nich zdecydował się zgłosić na policję dopiero 20 lat później.

Obrońca Robert Richter odpowiadał, że nie ma żadnych dowodów na popełnienie przestępstwa przez kardynała, a oskarżenie opiera się na jednym świadectwie, które jest niewiarygodne. Zakrystia po niedzielnej mszy w katedrze zawsze pełna jest kręcących się ludzi i przypomina rój pszczół w ulu. Nawet jeśli nikogo tam wtedy nie było – co jest mało prawdopodobne – to w samym kościele przebywa wówczas zazwyczaj kilkadziesiąt osób. W każdej chwili ktoś z nich mógł wejść do zakrystii, ponieważ drzwi nie były zamknięte. Mógł się też zjawić zakrystianin, któryś z ministrantów lub księży. Tylko szaleniec próbowałby zgwałcić dwóch chłopców w zakrystii zaraz po niedzielnej uroczystej mszy, ryzykując nakrycie na gorącym uczynku – twierdził obrońca.

Na podstawie relacji byłego chórzysty oskarżającego kardynała udało się ustalić, że w grę mogły wchodzić tylko dwie daty: 15 lub 22 grudnia 1996 r. Mistrz ceremonii w katedrze ks. Charles Portelli zeznał, że zawsze po niedzielnej mszy towarzyszył Pellowi, pomagając mu m.in. zdejmować biskupie szaty, i nie pamięta, aby zostawiał go samego w zakrystii. W odpowiedzi prokurator powołał się na fakt, że ks. Portelli pali 20 papierosów dziennie i mógł wtedy wyjść na sześć minut na dwór, by zapalić. Ceremoniarz zaprzeczył jednak, by kiedykolwiek po mszy wychodził na papierosa, zanim nie wypełni powierzonych mu obowiązków wobec swego zwierzchnika.

Były chórzysta zeznał też, że Pell przed całym zajściem szybkim ruchem odchylił szatę, by się obnażyć. Później zmienił wersję, twierdząc, że dostojnik całkowicie odsunął szatę na bok. Obrona argumentowała, że ani jedno, ani drugie nie jest fizycznie możliwe, ponieważ szaty biskupie nie mają takich wycięć ani otworów. Gdyby hierarcha chciał dokonać gwałtu, musiałby najpierw zdjąć ubranie przez głowę, a tego – zgodnie z zeznaniami – nie uczynił.

Poza tym się okazało, że drugi ze zgwałconych rzekomo chłopców zmarł w 2014 r. z powodu przedawkowania heroiny, jednak przed śmiercią zdążył wyznać swojej matce, że nigdy nie był wykorzystywany seksualnie.

> Nie ma wątpliwości, że kard. Pell stał się ofiarą wojny kulturowej, której celem jest wyrugowanie chrześcijaństwa z życia publicznego oraz przedefiniowanie takich pojęć jak życie, małżeństwo, rodzina, płeć czy seksualność

NISZCZENIE PRZECIWNIKÓW IDEOWYCH

Gdy szczegóły oskarżenia wyszły na jaw, wiele osób zaczęło bronić publicznie kard. Pella, twierdząc, że nie mógł popełnić zarzucanych mu czynów. Byli wśród nich nie tylko katolicy, lecz także ludzie niewierzący, jak np. lewicowy prawnik Greg Barnes czy popularny publicysta Andrew Bolt. Ten ostatni nakręcił nawet dla Sky News film dokumentalny, w którym dokonał rekonstrukcji wydarzeń z 1996 r., dochodząc do wniosku, że popełnienie przestępstwa przez hierarchę było nie tylko mało prawdopodobne, lecz całkowicie niemożliwe. Jego zdaniem skazany dostojnik nie jest wcale pedofilem, lecz kozłem ofiarnym.

Z powodu swego zaangażowania Bolt stał się obiektem ataku wielu środowisk, które wywierały na niego presję, by zrezygnował z obrony Pella. Zdenerwowany dziennikarz wyrzucił wtedy z siebie: „Do cholery! Przecież sprawiedliwość musi coś znaczyć w tym kraju!".

Z tym większą nadzieją oczekiwano więc na decyzję Sądu Apelacyjnego stanu Wiktoria. W sierpniu 2019 r. podtrzymał on jednak poprzedni wyrok sześciu lat więzienia stosunkiem głosów 2:1. Dwoje sędziów (Anne Ferguson i Chris Maxwell) głosowało za skazaniem kardynała, natomiast jeden opowiedział się przeciwko. Tym ostatnim był najbardziej doświadczony w owym gronie sędzia Mark Weinberg, który złożył na piśmie zdanie odrębne w formie raportu liczącego ponad 200 stron. Podważył w nim wiarygodność wszystkich dowodów oskarżenia, wykazując liczne niespójności i rozbieżności z zeznaniach jedynej osoby, na której opierało się całe oskarżenie.

Uzasadniając wyrok, sędzia Anne Ferguson przyznała, że wraz z sędzią Maxwellem przyjęła „inne spojrzenie na fakty" niż sędzia Weinberg, zwracając zwłaszcza uwagę na „niepewną pamięć świadków obrony" (nie kwestionując natomiast pamięci jedynego oskarżającego). Osiem miesięcy później jej argumentacja zostanie całkowicie zdruzgotana przez Sąd Najwyższy.

Nie ma wątpliwości, że kard. Pell stał się ofiarą wojny kulturowej, której celem jest wyrugowanie chrześcijaństwa z życia publicznego oraz podcięcie korzeni naszej cywilizacji poprzez przedefiniowanie takich pojęć jak życie, małżeństwo, rodzina, płeć czy seksualność. Ci, którzy się temu przeciwstawiają, muszą się liczyć z tym, że będą zwalczani wszelkimi możliwymi środkami.

Przykład kard. Pella pokazuje, że nawet w demokracjach liberalnych media, policja, prokuratura i sądy, działając w sposób zorkiestrowany, mogą się stać instrumentami niszczenia niewygodnych przeciwników. To się może przydarzyć nie tylko w Australii, lecz także w bliższych nam rejonach. Nawet tam, gdzie pełno jest zapewnień o praworządności, bezstronności i konstytucyjności.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Rolą z filmu „Sala samobójców. Hejter" wbił widzów w fotele. Przykuł ich uwagę buntem bohatera w „Kodzie genetycznym" i kupił wokalną charyzmą w „Drugiej szansie". Agata Kulesza mówi, że Maciej Musiałowski ma bezczelność talentu i radość tworzenia

Od Fasolek do „Sali samobójców"

Fot. ROBERT PALKA/TVN

eprasa.pl 7cf024e5c7

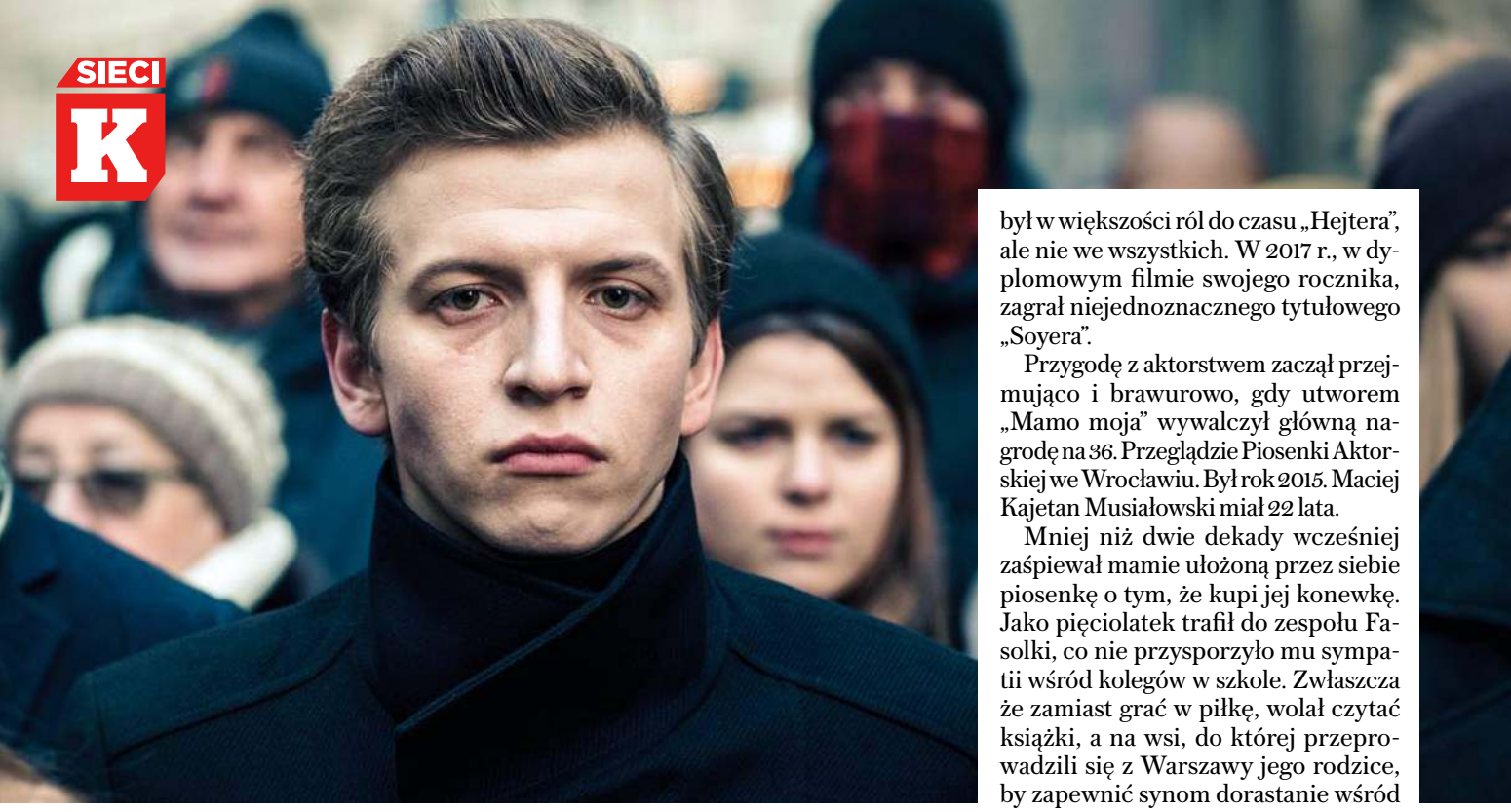

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W głośnym filmie Jana Komasy – który zdążył jeszcze wejść do kin, a teraz jest dostępny na cyfrowych platformach – wypreparował ze swojego bohatera zło. Porażające. Budzące przestrogę. Chociaż on w Tomku widzi więcej. Jak w każdej swojej postaci. Stara się z nim współodczuwać, zrozumieć.

Nie zmienia to faktu, że zaraz po zdjęciach do „Sali samobójców. Hejtera" (a te skończyły się w... grudniu 2018; film do kin trafił na początku marca tego roku) wyjechał tam, gdzie jest słońce. Do Maroka. Musiał odreagować, oczyścić się, pochodzić ubrany na biało (to mu pomaga).

PROSTA MELODIA

Ekranowy Tomasz Giemza pozostawił jednak ślad. W kolejnych rolach Musiałowski już nie był długowłosym, trochę zagubionym chłopakiem. Charyzmatycznym na scenie, ale ciepłym, empatycznym w relacjach z ludźmi. Jak Ksawery z „Drugiej szansy" – serialu, który od 2016 r., przez kolejne trzy sezony, przysparzał aktorowi fanów i umacniał jego rynkową pozycję.

W „Drugiej szansie" – jeszcze jako student łódzkiej Filmówki (ukończył ją w 2018) – pokazał i wygrał aktorsko pasję rozwijaną od dzieciństwa. Jego najbliżsi wspominają, że gdy wracał ze szkoły, słychać go było z daleka. Śpiewał. Ale muzyczny talent dawał mu też swobodę obcowania z instrumentami. Grał na pianinie, gitarze...

W programie „Ameryka Express", na który w 2018 r. zdecydował się wyruszyć z przyjaciółką z liceum, by – tego nie ukrywał – „zdobyć kasę", której jako studentowi stale mu brakowało, nie rozstawał się z ukulele. W jednej z konkurencji zaskoczył lokalnych muzyków, gdy po sprawdzeniu, jakie dźwięki wydają poszczególne piszczałki, zagrał na fletni Pana prostą melodię.

MARZYCIEL Z CHARAKTEREM

W kamienicy, w której mieszka, znają go i lubią sąsiedzi. Zwłaszcza starsi. Potrafi z nimi rozmawiać. Podobnie jak z ludźmi, którzy pracują w okolicznych sklepach i kawiarniach... Sympatyczny, otwarty młody człowiek. Przyjaciel dla swojego psa Salvadora i wielbiciel konnej jazdy. Tak pokazywały go media jeszcze kilka tygodni temu. Taki też był w większości ról do czasu „Hejtera", ale nie we wszystkich. W 2017 r., w dyplomowym filmie swojego rocznika, zagrał niejednoznacznego tytułowego „Soyera".

Przygodę z aktorstwem zaczął przejmująco i brawurowo, gdy utworem „Mamo moja" wywalczył główną nagrodę na 36. Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Był rok 2015. Maciej Kajetan Musiałowski miał 22 lata.

Mniej niż dwie dekady wcześniej zaśpiewał mamie ułożoną przez siebie piosenkę o tym, że kupi jej konewkę. Jako pięciolatek trafił do zespołu Fasolki, co nie przysporzyło mu sympatii wśród kolegów w szkole. Zwłaszcza że zamiast grać w piłkę, wolał czytać książki, a na wsi, do której przeprowadzili się z Warszawy jego rodzice, by zapewnić synom dorastanie wśród przyrody, nie było to przez rówieśników dobrze przyjmowane.

WIBRUJĄC Z RZECZYWISTOŚCIĄ

W serialu „Kod genetyczny", którego emisja jeszcze trwa, widać ślady po tamtym chłopcu, ale i po tytułowym „Hejterze". Z buntu swojego bohatera aktor wydobył różnej siły i dźwięki. Skorzystał z wyczulonego słuchu na to, co dzieje się wokół.

Nie bez powodu Jan Komasa mówi, że Musiałowski „mocno wibruje z rzeczywistością". Agata Kulesza widzi w nim siłę aktorskiego szaleństwa, bezczelność tworzenia, ale też umiejętność cieszenia się ze swojego talentu.

W kwietniu tego roku Maciej Musiałowski planował wyjazd do USA. Chciał zrobić tour po amerykańskich uczelniach, począwszy od Harvardu po Princeton, i wybrać, gdzie rozpocznie studia. Uważał, że uda mu się je połączyć z graniem w polskich produkcjach. Życie zweryfikowało i te, i inne plany.

Szykowana na maj premiera filmu „Polot", w którym zagrał główną rolę, musi poczekać. Podobnie jak przerwane przez kwarantannę zdjęcia do filmu „Chrzciny" z Katarzyną Figurą. Być może jednak znalazł się właśnie czas na sfinalizowanie prac nad przygotowywaną od kilku lat płytą (ponoć materiału starczy na dwa krążki).

Fot. Jarosław Sosiński

Reklama | 12/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

WYDARZENIE HISTORYCZNE ROKU

ZAGŁOSUJ
NA NAJWAŻNIEJSZE
PROJEKTY HISTORYCZNE
2019 ROKU

WEJDŹ NA WHR.MUZHP.PL

TERMIN GŁOSOWANIA
1-30 CZERWCA 2020

WYDARZENIE HISTORYCZNE ROKU

ORGANIZATOR:

MUZEUM HISTORII POLSKI

PARTNERZY:

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

HISTORIA.ORG.PL

PATRONAT HONOROWY:

Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. dr. hab. Piotra Glińskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DARCZYŃCA:

ORLEN FUNDACJA

PATRONI MEDIALNI:

TVP

TVP HISTORIA

POLSKIE RADIO

DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY

pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

wSIECI HISTORII

SIECI

eprasa.pl/7cf024e5c7

Adamski

Kawał kina!

DVD/BluRay

Długo ten projekt krążył po Hollywood. Ba, w głównych rolach mieli wystąpić nawet Tom Cruise i Brad Pitt. Całe szczęście tak się nie stało, mimo że obu aktorów bardzo cenię (szczególnie Pitta). „Ford vs. Ferrari" (u nas tytuł „Le Mans '66") opowiada o legendarnym 24-godzinnym wyścigu na torze Le Mans w 1966 r. To tam niepokonanej ekipie Ferrari wyzwanie rzucił zespół Forda. Wszystko dzięki marzeniu konstruktora Carrolla Shelby'ego (Matt Damon), który po zakończeniu kariery na torze zapragnął zbudować pierwszy amerykański prawdziwy samochód wyścigowy. Zaraził tą ideą urażonego butą i cwaniactwem Enza Ferrari (koncernowi Forda nie udało się przejąć marki) Henry'ego Forda II (Tracy Letts). Shelby buduje prototyp legendarnego Forda GT40 MK I, sadzając za kółko genialnego i zarazem krnąbrnego kierowcę Kena Milesa (Christian Bale). Brytyjski imigrant i weteran II wojny światowej to typowy outsider, niezwracający uwagi na konwenanse marzyciel. Shelby to jego przeciwieństwo. Też jest marzycielem, ale potrafi grać z systemem. Obu łączy jedno. Są mentalnymi kowbojami, którzy zamieniają wierzchowca na mruczącą metalową bestię. Jest ona dla nich czymś więcej niż samochodem i kochanką. Bestia jest częścią ich osobowości.

James Mangold uwielbia opowiadać o marzycielach, indywidualistach i przemielonych przez system kowbojach. Taki był przecież walczący z zepsuciem miasteczka szeryf Freddy (Stallone) w „Cop Land" i odrzucony superheros Logan (Jackman). A Johnny Cash (Phoenix) w „Spacerze po linie"? To też outsider stający się legendą. Mangold to w końcu reżyser remake'u „3:10 do Yumy" również z Bale'em w głównej roli. Duet Miles/Shelby mają kowbojską fantazję i bezczelność na torze. Shelby jest patriotą marzącym o tym, by USA stały się wyścigową potęgą. Miles to samotnik i buntownik czujący życie na torze, a nie w gabinetach rekinów walczących o swoją samochodową markę. Obaj wiedzą, że są w mackach wojny pazernych korporacji, ale pozostają przy swoich wartościach – męskiej przyjaźni, poświęceniu i ofierze, jaka w tej świetnie opowiedzianej historii się pojawia.

Mangold nie podkręca emocji na torze jak Ron Howard w „Wyścigu", ale równie sugestywnie pokazuje moc blaszanych bestii. W latach 60. wyścigi na torach nie były tak obwarowane najlepszymi systemami bezpieczeństwa jak dziś. Wtedy żaden kierowca nie wiedział, czy wyjdzie z wyścigu żywy. Również publika była narażona na trafienie większym lub mniejszym kawałkiem maszyny. Wyścigi tych blaszanych rakiet naprawdę wbijają w fotel. Oglądajcie na jak największym telewizorze, z dobrymi głośnikami.

Mnie jednak za serce złapała uniwersalna historia przyjaźni dwóch facetów gotowych umrzeć za swoje marzenia. Matt Damon i Christian Bale tworzą duet godny najważniejszych ekranowych par Hollywood na miarę Redforda/Newmana.

„LA MANS '66", REŻ. JAMES MANGOLD, DYSTR. IMPERIAL-CINEPIX

VoD

Świetny dokument

Ten serial to absolutny fenomen. Tylko w ciągu 10 dni wyświetlania na Netflixie dokumentalna produkcja zgromadziła 34 mln Amerykanów, pobijając tym samym drugi sezon „Stranger Things". Jest to opowieść o dziwacznym, hermetycznym biznesie hodowania „wielkich kotów", czyli lwów i tygrysów. Główną postacią jest Joe Exotic, zakochany w broni palnej świr mający własne zoo, nagrywający piosenki country i do tego homoseksualny poligamista mieszkający w Oklahomie. Drugą postacią jest obrończyni praw zwierząt, nie mniej od niego szalona hipiska Carole Baskin. Gwiazda mediów społecznościowych i platformy YouTube też ma swoje zoo z „wielkimi kotami", ale twierdzi, że to wszystko zwierzęta uratowane przed takimi ludźmi jak Exotic. Oglądamy wieloletnią wojnę dwójki szokująco odjechanych miłośników tygrysów. W jej tle pojawia się FBI, PETA i nawet kartele narkotykowe żywcem wyjęte z „Człowieka z blizną". Do tego dochodzą... porwanie i zabójstwo. Exotic oskarża Baskin o zamordowanie jej drugiego męża. Nie dodałem czegoś? Tak. Joe Exotic odbywa karę 22 lat więzienia za wynajęcie mordercy, mającego się pozbyć Baskin. Większość zdjęć dokumentu zrobiono przed skazaniem Joego w 2019 r. Nie będę więcej pisał. Po prostu to obejrzyjcie. Takie rzeczy dzieją się tylko w Ameryce.

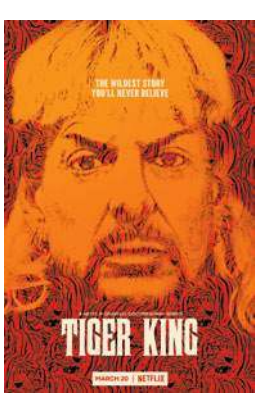

„KRÓL TYGRYSÓW" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 7cf024e5c7

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Po prostu Lovecraft

W ostatnim czasie trafienie na dobry film z Nicolasem Cage'em graniczy z cudem. Aktor kręci masowo, wybierając projekty zapewniające mu finansową płynność, a nie artystyczną satysfakcję. Tym bardziej moje napompowane filmową krwią ejtisów i najntisów serduszko się uradowało, kiedy obejrzałem świetną rolę zdobywcy Oscara za „Zostawić Las Vegas".

Długo musieliśmy czekać na powrót na reżyserski stołek Richarda Stanleya, który w latach 90. nakręcił kultowy horror „Hardware", a potem został przemielony i wypluty przez hollywoodzką maszynkę przy kręceniu „Wyspy doktora Moreau" z Marlonem Brando. Zastąpiono go Johnem Frankenheimerem, a sabotowany przez samego Brando film okazał się totalną porażką. Szkoda, że „Kolor z przestworzy" nie wszedł do naszych kin, bo jest to jeden z najbardziej zdumiewających wizualnie horrorów, jakie miałem okazję oglądać w ostatniej dekadzie.

Najlepsze Lovecraftowskie horrory w kinie? Do głowy przychodzą mi takie zainspirowane H.P. Lovecraftem produkcje jak pierwszy „Obcy" czy apokaliptyczna trylogia Johna Carpentera („Coś", „W paszczy szaleństwa", „Książę ciemności"). Stanley zdecydował się na ekranizację jego opowiadania z 1929 r., naznaczając je własną pokręconą duchowością, o której świadczy to, że aby wyrwać projekt „Wyspy doktora Moreau" z rąk Romana Polańskiego reżyser „wynajął londyńskiego szamana mającego wpłynąć na psyche Marlona Brando". Przerażające w kontekście „Koloru przestworzy", gdzie jedna z bohaterek uprawia magię.

Rodzina Gardnerów przenosi się z miasta do pięknego domu w środku lasu. Chcą być samowystarczalni. Nie do końca im to wychodzi. Nathan (Nicolas Cage) jest sfrustrowany, że plony nie są takie, jak być powinny, a kupione za ciężką kasę alpaki (zabawna szydera z mieszczuchów) nie dają takiego mleka, jakby chciał. Jego żona Theresa (Joely Richardson) wychodzi z poważnej choroby i próbuje nadal pracować w domu z dala od cywilizacji i dobrego wi-fi. Nastoletnie dzieciaki Lavina i Benny (Madeleine Arthur, Brendan Meyer) oraz kilkuletni Jack (Julian Hilliard) próbują się odnaleźć w miejscu wyśnionym przez ich rodziców. Wtedy na posesję spada meteoryt (ciekawe, czy Bartosz M. Kowalski od „W lesie dziś nie zaśnie nikt" czytał Lovecrafta?) z kosmiczną siłą, która będzie chciała unicestwić rodzinę.

Stanley doskonale czuje komiksowe horrory klasy B z lat 50., które ukształtowały takich mistrzów jak właśnie Carpenter. Czuje też podprogową grozę pulsującą u Lovecrafta. Bawi się niesamowitą kolorystyką, nie popadając przy tym w kicz. Dobrze wybrzmiewają traumy nastolatków, uosobione przez ukrytą w studni tajemniczą, świecącą magmę. Do tego pojawia się skażona woda, która wpisuje się w debatę o zanieczyszczeniu środowiska. Całość jest opakowana w klimat horrorów ery VHS, ale ma ten film coś więcej niż samo granie modnymi elementami tego okresu popkultury.

VoD

Dobrze też widzieć Cage'a w najlepszej formie od czasu „Mandy" (2018). Zawsze potrafił doskonale pokazać popadanie w szaleństwo. W „Kolorze z przestworzy" jest w swoim żywiole. Żywiole przedziwnym, pokręconym, kolorowym i jednocześnie cholernie mrocznym. Czego więcej chcieć od Lovecrafta?

„KOLOR PRZESTWORZY"
DOSTĘPNY W SERWISIE CINEMAN.PL

Vod

Sam przeciwko systemowi

W tym samym serwisie VOD znajdziecie inny film opowiadający o problemie zanieczyszczonej wody, która pojawia się w ekranizacji Lovecrafta. Tym razem jest to jednak opowieść oparta na faktach. Filmy o walce uczciwych prawników z krwiożerczymi korporacjami mają w amerykańskim kinie długą tradycję. Kręcili je nawet tacy mistrzowie jak Lumet czy Coppola. Todd Haynes nie był do tej pory znany z zainteresowania takim kinem, choć wpisuje się ono w jego lewicowy, antykorporacyjny światopogląd. „Mroczne wody" zostały oparty na artykule „NYT", opowiadającym o 20-letniej batalii prawnika Roberta Bilotta (Mark Ruffalo) z Ohio przeciwko potężnej chemicznej firmie The DowDuPont, która słynie z produkcji m.in. teflonu. Bilott zaryzykował całą karierę po tym, gdy jeden z farmerów pokazał mu, jak fabryka należąca do korporacji zatruwa mu farmę. Idealny temat dla Haynesa. Idealista kontra wielki biznes. Jednostka przeciwko skorumpowanemu systemowi. Dobre kino pokazujące, że „tylko prawda jest ciekawa".

„MROCZNE WODY" DOSTĘPNY NA VOD

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 7cf024e5c7

Wszyscy jesteśmy ofiarami Katynia

MARIA SZONERT-BINIENDA

Brak zadośćuczynienia i bezkarność oprawców tej straszliwej, nieosądzonej zbrodni wywierają potężny wpływ na zachowanie kolejnych pokoleń Polaków

Mija 80 lat od straszliwej zbrodni ludobójstwa dokonanej na narodzie polskim przez Związek Sowiecki w latach 1939–1941. Symbolem tego ludobójstwa stała się zbrodnia w lesie katyńskim ujawniona w 1943 r., a więc jeszcze w czasie wojny. Niestety wkrótce po jej ujawnieniu Armia Czerwona ponownie przejęła kontrolę nad miejscem tej zbrodni, a sama zbrodnia została przykryta kłamliwym raportem komisji Burdenki, zignorowana przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze, obwarowana murem milczenia i niepamięci w komunistycznej Polsce na 50 lat oraz systematycznie marginalizowana przez Zachód. Jednocześnie rodziny ofiar były traktowane jako wróg klasowy i margines społeczny, a świadkowie i eksperci ekshumacji z 1943 r. zostali zdyskredytowani, zniszczeni i skutecznie wyeliminowani z walki o prawdę katyńską.

KŁAMSTWO NA POKOLENIA

Niestety po roku 1990, kiedy to Sowieci przyznali się do popełnienia mordu katyńskiego i ujawnili nieznany wówczas

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl 7cf024e5c7

jeszcze kolosalny zakres tej zbrodni, społeczeństwo polskie nie było w stanie otrząsnąć się z wieloletniego zniewolenia. Polska nie zażądała ujawnienia wszystkich dokumentów tej zbrodni ani ukarania sprawców, nie zażądała sprowadzenia zwłok ofiar do kraju ani rekompensaty dla rodzin ofiar, nie zawalczyła o potępienie tej gigantycznej zbrodni na forum międzynarodowym ani zadośćuczynienie za nią w celu osiągnięcia pojednania z narodem rosyjskim i zapobieżenia podobnym mordom na przyszłość. Polska po prostu schowała głowę w piasek. Konsekwencje tego zachowania, typowego dla ofiary zniewolonej przez oprawcę, ponosimy do dziś.

Okazuje się bowiem, że brak zadośćuczynienia i bezkarność oprawców tej straszliwej, nieosądzonej zbrodni wywierają potężny wpływ na zachowanie kolejnych pokoleń Polaków. Mianowice obarczają nas syndromem ofiary, czyli obezwładniającego poczucia bezsilności. Syndrom ten niestety przenosi się na następne pokolenia, a jego oddziaływanie nie słabnie z czasem, gdyż spadkobiercy sprawców nadal grożą i ostentacyjnie demonstrują swoją bezkarność.

Mimo że żyjące pokolenia nie są już bezpośrednimi ofiarami tej zbrodni, jako Polacy wszyscy jesteśmy nią głęboko dotknięci, gdyż cały czas jesteśmy poddawani upokorzeniu, będąc bezsilni wobec niesprawiedliwości w stosunku do ofiar i ich rodzin oraz bezkarności sprawców i braku poczucia winy ich spadkobierców. Jesteśmy więc osobiście świadkami, odbiorcami i ofiarami wielkiej niesprawiedliwości dziejowej.

PRZEŚLADOWANIE PRAWDY

Istotnym elementem zbrodni katyńskiej jest kłamstwo katyńskie, które stało się oficjalnym stanowiskiem władz polskich w okresie PRL. W latach stalinowskich prowadziło to do wstrząsającego zjawiska prześladowania rodzin katyńskich piętnowanych jako nosicieli polskości przez komunistyczny rząd warszawski. Rodziny katyńskie były wykluczane społecznie i zmuszane do akceptowania kłamstwa katyńskiego wbrew własnemu sumieniu. Było to traumatyczne doświadczenie dla całego społeczeństwa. Chodziło o to, aby siły patriotyczne osłabić na pokolenia, aby nie były w stanie się nigdy odrodzić. W ten sposób Katyń stał się symbolem walki z polskością, zakazaną prawdą, narodowym tabu, które do dziś zniewala polskie społeczeństwo.

Świadkowie katyńskiej niesprawiedliwości dziejowej byli przez dziesiątki lat łamani psychicznie. Rodziny katyńskie, głęboko dotknięte bestialskim mordem ich najbliższych, są ofiarami prześladowań prawdy o Katyniu i pełnej bezkarności sprawców, co powoduje, że na pokolenia stają się bezpośrednimi ofiarami tej zbrodni.

> Wielu Polaków poddało się procesowi wyuczonej bezradności w odniesieniu do ludobójstwa katyńskiego i dziś przejawia głęboką awersję na samą myśl o Katyniu czy też o jego pochodnej ranie smoleńskiej

Przez wiele lat od czasu zbrodni katyńskiej Polacy żyli w świecie, w którym pojęcie sprawiedliwości zostało postawione na głowie. Czarne charaktery stały na piedestale, podczas gdy bohaterowie byli poniżani i wymazywani ze zbiorowej pamięci, a zastraszane społeczeństwo było zmuszane do uczestniczenia w tym groteskowym spektaklu niesprawiedliwości. Komunistyczni przestępcy stawali się bohaterami. Ich ofiary były dyskredytowane lub w najlepszym razie ignorowane. Opinia publiczna była wykorzystywana do zastraszania ofiar. Ci, którzy opierali się temu zbiorowemu szaleństwu, byli brutalnie eliminowani z życia społecznego. Czuli się więc izolowani, samotni. Żyli w poczuciu odrzucenia, zapomnienia, w przekonaniu, że są jedynymi, którzy myślą w ten sposób.

ŚWIADKOWIE STAJĄ SIĘ OFIARAMI

Całe polskie społeczeństwo przez dziesiątki lat było świadkiem bezkarności oprawców katyńskich, ich zleceniodawców i sojuszników. Jak pokazują badania psychologiczne, świadkowie przemocy stają się większymi ofiarami przemocy niż osoby poddane tej przemocy. Przykładowo dzieci z rodzin dysfunkcyjnych obserwujących na co dzień przemoc są narażone na zespół stresu pourazowego, tak jak żołnierze powracający z wojny. Bycie świadkiem zastraszania wiąże się ze zwiększonymi problemami zdrowia psychicznego wykraczającymi poza skutki, jakie ponoszą osoby bezpośrednio zaangażowane w zastraszanie i stosowanie przemocy. Bycie świadkiem zastraszania skutkuje reakcją taką jak lęk i depresja. Przykładowo uczniowie, którzy byli świadkami zastraszania, ale nie byli ofiarą lub sprawcą zastraszania, zgłaszali większe problemy emocjonalne niż ofiary zastraszania. Innymi słowy dla stanu zdrowia psychicznego gorzej jest być świadkami prześladowań niż osobą prześladującą bądź prześladowaną.

Tak więc świadkowie znęcania się nad ofiarami są narażeni na większe ryzyko dla zdrowia psychicznego niż prześladowcy i ich ofiary. Świadkowie mają bowiem uzasadnione obawy, że oni również staną się celem prześladowców, co powoduje wielki stres i niepokój. Badania pokazują też, że świadkowie zastraszania często czują się winni, że nie interweniują w obronie ofiary, co tłumaczy ich wyższy poziomów stresu psychicznego.

To zjawisko zwiększonego stresu dotyczy poziomu kontroli. Jeśli jest się prześladowcą, ma się całkowitą kontrolę nad sytuacją. Jeśli jest się prześladowanym, można podejmować różne działania obronne, czyli ma się kontrolę nad tym, jak się bronić. Natomiast świadkowie stojący z boku jako obserwatorzy nie mają żadnego z tych wyborów, które

eprasa.pl 7cf024e5c7

Fot. Biblioteka Narodowa

mają obie zaangażowane strony. Nie mogą więc kontrolować sytuacji, ale są jej bezpośrednimi odbiorcami. Na ogół czują silną empatię wobec atakowanej osoby, więc zastępczo przeżywają doświadczenie prześladowania. Przykładowo patrzenie, jak ktoś ulega wypadkowi jest bolesnym doświadczeniem. Torturą jednak staje się obserwowanie rannej osoby, w sytuacji gdy nie można jej udzielić pomocy.

Zniewolenie niesprawiedliwością katyńską niszczy w nas naturalny odruch dążenia do sprawiedliwości. System ukształtowany po wojnie nie tylko nie karał sprawców, lecz szedł dużo dalej. Nagradzani byli ludzie, którzy gwałcili podstawowe normy moralne i prawne, którzy zdradzali bliskich, którzy działali na szkodę swojego kraju i narodu. Nasz mózg ostro reaguje na taką niesprawiedliwość. Pragnienie sprawiedliwości jest częścią ludzkiej natury. Jest to potężna siła w ludzkim doświadczeniu.

Co się dzieje, gdy jesteśmy świadkami niesprawiedliwości przez długi okres czasu? Co się z nami dzieje, gdy nieustannie patrzymy na niesprawiedliwość, widzimy oczywiste rozwiązania, jak ten stan naprawić, ale nie mamy żadnej siły ani mocy sprawczej, aby cokolwiek zmienić lub temu zaradzić. Taki stan staje się dla nas formą tortury.

UKARANIE SPRAWCÓW

Ludzie zazwyczaj reagują bardzo silnie emocjonalnie, nie tylko kiedy sami stają się ofiarą niesprawiedliwości, lecz także jeśli widzą, że ktoś inny stał się taką ofiarą. Niesprawiedliwość jest główną przyczyną kłótni i konfliktów czy to przy stole rodzinnym, czy to w stosunkach międzynarodowych.

Ponieważ z natury jesteśmy bardzo wrażliwi na niesprawiedliwość, ukaranie sprawcy jest naturalną potrzebą społeczną. Eksperymenty przy użyciu skanów mózgu wykazały, że decyzja ukarania sprawcy zwiększa aktywność w tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za doświadczanie wynagradzania. Większa aktywność tej części mózgu została zaobserwowana, gdy uczestnicy eksperymentu postanowili ukarać sprawcę, niż kiedy postanowili udzielić rekompensaty ofierze. Tak więc z psychologicznego punktu widzenia kara jest preferowana, ponieważ jest postrzegana jako bardziej satysfakcjonująca niż odszkodowanie. Zatem brak wymierzenia kary jest w rzeczywistości karą dla niewinnych, gdyż gwałci ich poczucie sprawiedliwości. Sprawiedliwość jest ludzką potrzebą, jest zakodowana w naszych genach. Potrzeba sprawiedliwości jest siłą samą w sobie.

BEZRADNOŚĆ KATYŃSKA

Wyuczona bezradność jest zjawiskiem obserwowanym zarówno u ludzi, jak i u zwierząt. Występuje w sytuacji kiedy jesteśmy uwarunkowani, aby oczekiwać bólu, cierpienia lub dyskomfortu bez możliwości ucieczki. W końcu po odpowiedniej dawce uwarunkowania zwierzęta w ogóle przestają próbować unikać bólu – nawet jeśli istnieje szansa, aby to zrobić. Podobnie jest z ludźmi. Kiedy zaczynają wierzyć, że nie mają kontroli nad tym, co się z nimi dzieje, zaczynają myśleć i działać tak, jakby byli bezradni.

Zjawisko wyuczonej bezradności, jak sama nazwa wskazuje, nie jest cechą wrodzoną. Nikt się nie rodzi z przekonaniem, że nie ma kontroli nad tym, co się z nim dzieje i że wszelkie próby odzyskania kontroli są bezskuteczne. Poczucie bezradności to zachowanie wyuczone, uwarunkowane przez doświadczenia, w których człowiek albo naprawdę nie ma kontroli nad swoim życiem, albo po prostu uważa, że nie ma takiej kontroli.

Niestety wielu Polaków poddało się temu procesowi wyuczonej bezradności w odniesieniu do ludobójstwa katyńskiego i dziś przejawia głęboką awersję na samą myśl o Katyniu czy też o jego pochodnej ranie smoleńskiej. Tkwią więc głęboko w poczuciu wyuczonej bezsilności na niesprawiedliwość.

W dodatku Polakom regularnie odmawia się prawa do sprawiedliwości na arenie międzynarodowej. Dotyczy to zarówno szeroko pojętego ludobójstwa katyńskiego, jak i rzezi wołyńskiej, nierozliczonych zbrodni hitlerowskich czy też oskarżeń o udział w Holokauście. Ten ogrom niesprawiedliwości, jaki nas spotyka, to dla nas prawdziwa tortura.

Jaki jest cel takich wrogich działań? Dlaczego nam to robią? Niestety jest to psychologiczna rozgrywka wojenna. Nasi przeciwnicy w ten sposób starają się zniszczyć naszego ducha walki w obronie sprawiedliwości dziejowej, naszej tożsamości, naszego kraju. W ten sposób skutecznie osłabiają nas jako naród w nadziei, że się poddamy, że poddamy Polskę.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Niezwykłe

EKSPONATY

Muzeum II Wojny Światowej

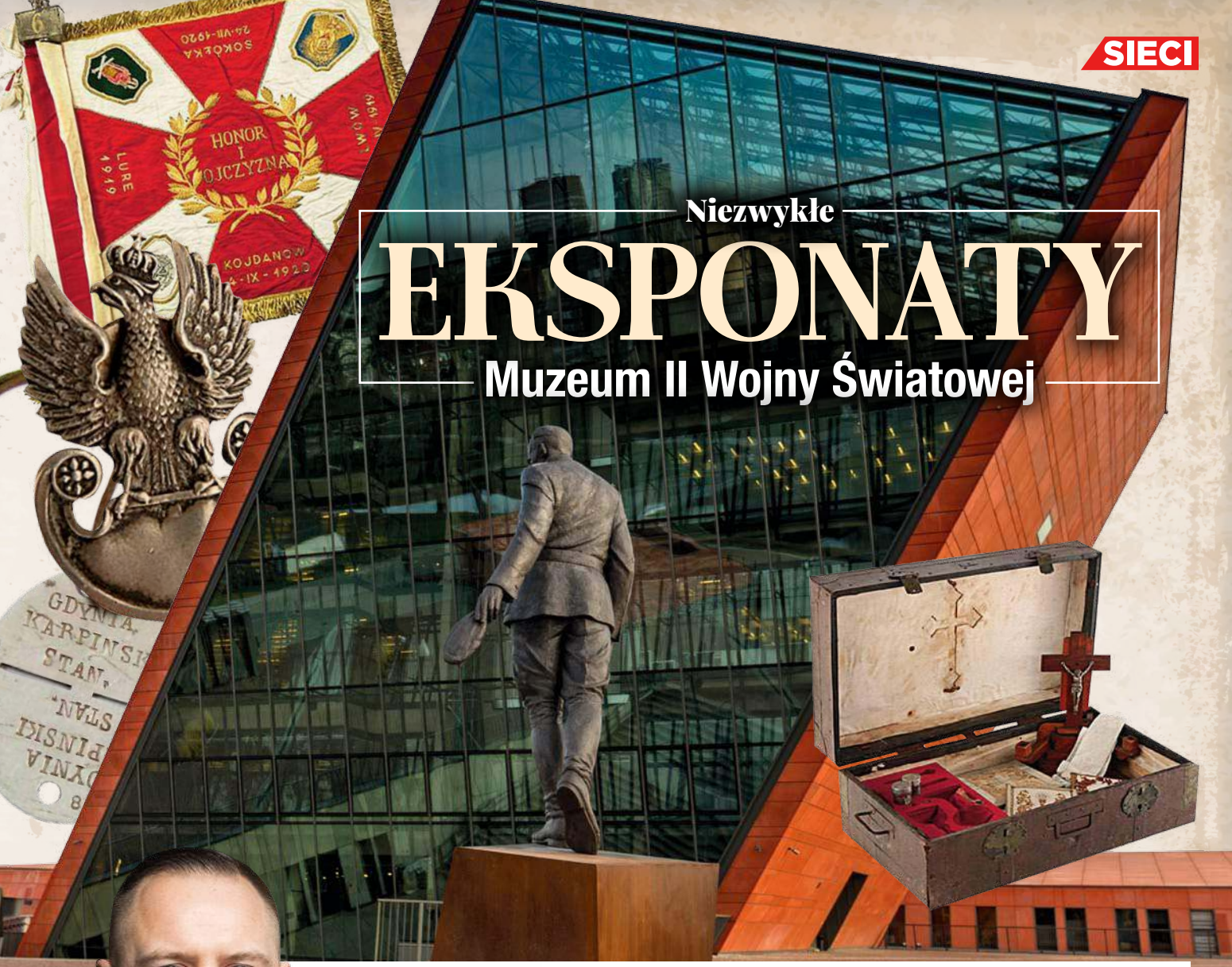

Szanowni Państwo,

wspólnota losów, która we wrześniu 1939 r. połączyła polskich oficerów, urzędników, przedstawicieli inteligencji i społecznych elit, którzy zostali uwięzieni przez NKWD, była wyjątkowa. Siła, z jaką zjednoczyli się w początkowym okresie uwięzienia, umocnieni poczuciem odpowiedzialności za losy ojczyzny, po kilku miesiącach musiała jednak ustąpić wkradającej się niepewności, obawie o własną przyszłość, dolę współtowarzyszy i opuszczonych rodzin. Z obozów jenieckich pisali do matek, żon, krewnych i przyjaciół, dodając otuchy i mając nadzieję na spotkanie w niedalekiej przyszłości. Większości z nich nie było jednak dane wrócić do swoich rodzin. W 80. rocznicę zbrodni katyńskiej razem z redakcją magazynu „Sieci" chcielibyśmy zaprezentować Państwu wybrane pamiątki pochodzące ze zbiorów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, jak i związane z nimi sylwetki polskich bohaterów, ale też ich bliskich, którym przyszło dalej mierzyć się z ich śmiercią.

dr Karol Nawrocki,
dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

eprasa.pl 7cf024e5c7

*W tym trudnym dla nas wszystkim czasie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku chce się dzielić swoimi realizacjami w sposób wirtualny. Każdego dnia umieszczamy interesujące materiały, treści edukacyjne, przypominamy o istotnych wydarzeniach, jak i znaczących postaciach, pokazujemy wartościowe projekty w ramach akcji **#M2WSwirtualnie**, dostępnej na stronie **www.muzeum1939.pl** oraz na naszych profilach społecznościowych (**Facebook**, **Twitter** oraz **Instagram**). Nie wychodząc z domu, można m.in. poznać naszą wystawę główną oraz czasową, pobrać bezpłatnie wybrane publikacje wydawane przez Muzeum, dowiedzieć się na temat zabytków nieprezentowanych dotychczas, a znajdujących się w naszych zbiorach. Dzięki stworzonemu **Portalowi Historii Mówionej Muzeum II Wojny Światowej** – https://historiamowiona.muzeum1939.pl/ można zapoznać się z treścią zgromadzonych przez Muzeum relacji świadków historii II wojny światowej, a także zobaczyć i odsłuchać m.in. materiały filmowe i audycje radiowe zrealizowane przez Muzeum.*

*Na muzealnym kanale **YouTube** odnaleźć można liczne wykłady z konferencji naukowych organizowanych przez MIIWŚ, nasze produkcje filmowe, relacje z wydarzeń, materiały z prezentowanych wystaw, wykłady autorskie i wiele innych ciekawych realizacji.*

*Nie wychodząc z domu, można także odbyć **Wirtualny Spacer po terenie historycznej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte** (https://spacer.muzeum1939.pl/pl/) i poznać historię oraz bohaterów tego niezwykłego miejsca. W ramach tego nowatorskiego projektu w ok. 100 oryginalnych panoram Westerplatte wkomponowano kilkadziesiąt archiwalnych fotografii i ponad 30 nagrań, w tym historyczne relacje obrońców Westerplatte, przybliżających nam historię bohaterskiej obrony tego szczególnego miejsca dla historii Polski i świata.*

*Zapraszamy do odwiedzania **#M2WSwirtualnie**.*

Po zakończeniu kampanii polskiej w ZSRS w obozach i więzieniach było uwięzionych kilkanaście tysięcy polskich oficerów, policjantów oraz innych osób (leśników, sędziów, urzędników) uznanych za wrogów władzy sowieckiej. Z polecenia Józefa Stalina większość z nich rozstrzelano wiosną 1940 r. w Katyniu, Charkowie, Kalininie (Twer) oraz innych, wciąż niezidentyfikowanych miejscach. Łącznie w zbrodni katyńskiej zamordowano ponad 22 tys. polskich obywateli.

eprasa.pl 7cf024e5c7

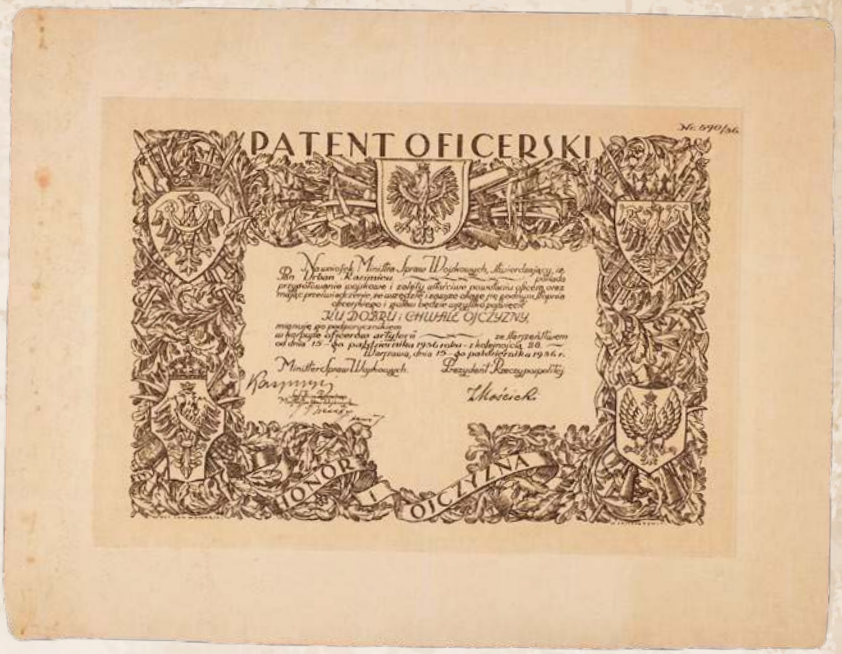
PATENT OFICERSKI

Patent oficerski ppor. artylerii Kazimierza Urbana z 1936 r. Na dokumencie znajdują się podpisy prezydenta RP Ignacego Mościckiego, ministra spraw wojskowych gen. Tadeusza Kasprzyckiego

Podporucznik Urban (ur. 19 marca 1912 r. w Wilnie) był absolwentem Gimnazjum im. Joachima Lelewela w Wilnie i Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii. W 1939 r. jako adiutant służył w 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów Józefa Piłsudskiego, który walczył w składzie 1 Dywizji Piechoty Legionów. Wzięty do niewoli pod Lwowem, więziony w Starobielsku. W Wigilię 1939 r. w liście do matki napisał: „Kochana Mamo! W dniu wigilijnym przesyłam Mamie i wszystkim najserdeczniejsze życzenia spełnienia naszych najtajniejszych westchnień, które mam wrażenie przy silnem chceniu się spełnią (...)". Kazimierz Urban został zamordowany przez NKWD wiosną 1940 r. w Charkowie. Dar Mirony Klajn.

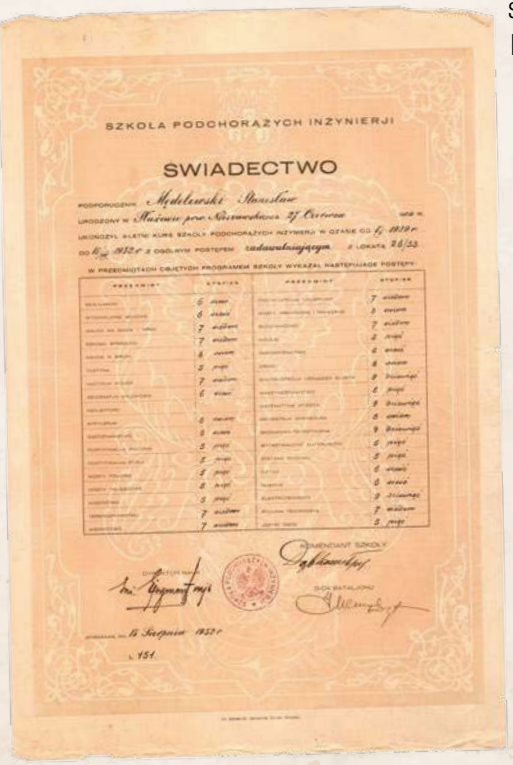
SZKOŁA PODCHORĄŻYCH INŻYNIERJI

SWIADECTWO

Świadectwo ukończenia Kursu Szkoły Podchorążych Inżynierii w Warszawie z 1932 r. należące do por. Stanisława Mędelewskiego

Porucznik Stanisław Mędelewski (ur. 27 czerwca 1909 r. w Służewie) dwa lata przed wybuchem wojny trafił do Centrum Wyszkolenia Saperów w Modlinie, gdzie został wykładowcą. W czasie kampanii polskiej walczył w szeregach batalionu sformowanego z kadry uczelni. Po przedostaniu się w okolice Kowla i walkach z oddziałami Wehrmachtu, a później Armii Czerwonej osadzono go w obozie jenieckim w Starobielsku. Stamtąd wysyłał listy do rodziny. Porucznik Stanisław Mędelewski został rozstrzelany przez NKWD w kwietniu 1940 r. w Charkowie. Dar Ireneusza Jaworskiego.

Czarno-biała fotografia portretowa przedstawiająca ppor. rezerwy Henryka Rasiewicza

Podporucznik rezerwy Henryk Rasiewicz (ur. 11 lipca 1898 r. w Gnieźnie) był weteranem I wojny światowej i uczestnikiem powstania wielkopolskiego. W czasie wojny polsko-bolszewickiej służył w 17 Pułku Piechoty. Wraz z awansem na stopień podporucznika w 1925 r. otrzymał przydział do kadry Okręgu Korpusu VII. Przed wojną prowadził z żoną Małgorzatą skład bielizny w Brodnicy. We wrześniu 1939 r. służył w 67 Pułku Piechoty, wchodzącym w skład 4. Dywizji Piechoty. Podporucznik Rasiewicz został rozstrzelany w Katyniu w 1940 r. Pozostawił córki Helenę i Jadwigę oraz syna Kazimierza. Dar Janusza Mery.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Drewniane wrzeciona typu ruskiego należące do Ireny Stankiewicz, z d. Szyprowskiej, wdowy po zamordowanym por. Mieczysławie Stankiewiczu

Irena Stankiewicz, z d. Szyprowska (ur. w 1913 r. w Grodnie), była żoną por. Mieczysława Stankiewicza. W 1940 r. została deportowana do Kazachstanu. Porucznik Mieczysław Stankiewicz (ur. w 1906 r. w Białymstoku) ukończył Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku oraz Szkołę Podchorążych Inżynierii w Warszawie. Awans na stopień porucznika otrzymał w 1933 r. i rozpoczął służbę w 6 Baonie Saperów. We wrześniu 1939 r. objął dowództwo 1 kompanii 56 batalionu saperów. Został zamordowany wiosną 1940 r. w Katyniu. Irena Stankiewicz powróciła do Polski w 1946 r. Dar Marii Rutkowskiej.

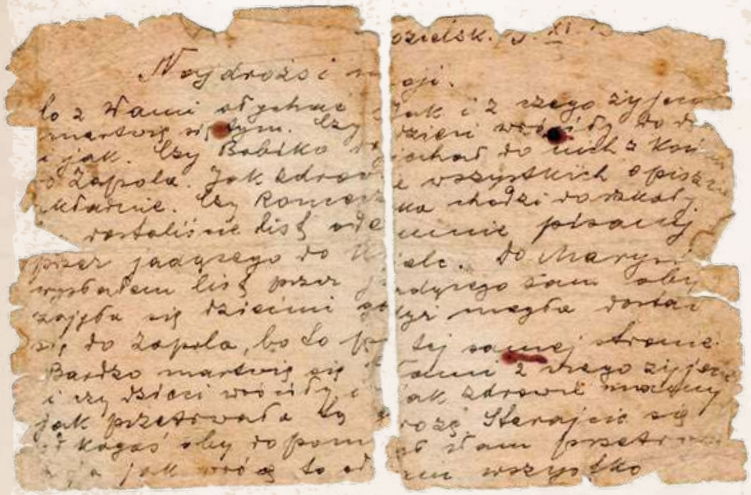

List rtm. rez. Aleksandra Kornela Kowala z obozu w Kozielsku do rodziny

Rotmistrz rezerwy Aleksander Kornel Kowal (ur. 4 września 1893 r.) ukończył austriacką szkołę oficerów rezerwy i w 1918 r. rozpoczął służbę w Wojsku Polskim. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a w 1925 r. został przeniesiony do rezerwy. W 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej i został uwięziony w obozie w Kozielsku. W listopadzie pisał do bliskich: „Najdrożsi moi (...) Bardzo martwię się Wami, z czego żyjecie i czy dzieci wróciły i jak zdrowie mamy, jak przetrwała tą grozę. Starajcie się o kogoś, aby dopomógł Wam przetrwać". Rtm. Kowal został rozstrzelany przez NKWD w Katyniu wiosną 1940 r.

Czarno-biała fotografia dr. Stefana Wąsowskiego z żoną Czesławą Dunin-Wąsowicz

Podpułkownik lekarz Stefan Franciszek Wąsowski (ur. 10 października 1880 r. w Drzewicy) był ordynatorem Szpitala im. św. Wincentego á Paulo Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w Lublinie. W sierpniu 1939 r. w obliczu rosnącego zagrożenia wybuchem wojny zgłosił się do wojska jako ochotnik. Otrzymał przydział do 2 Szpitala Okręgowego w Chełmie. 9 września 1939 r. ewakuował się ze szpitalem do Tarnopola, a osiem dni później został aresztowany i przewieziony do obozu jenieckiego w Kozielsku. W kwietniu 1940 r. zamordowano go w Katyniu. Dar Jolanty Kościukiewicz.

Głowica sztandaru należąca do gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Pamiątka rodzinna Janiny Lewandowskiej z d. Dowbor-Muśnickiej

Generał Józef Dowbor-Muśnicki był dowódcą I Korpusu Wojsk Polskich utworzonego w Rosji w 1917 r. i ojcem ppor. pilot Janiny Lewandowskiej, z d. Dowbor-Muśnickiej. Ppor. Lewandowska (ur. 22 kwietnia 1908 r. w Charkowie) ukończyła Wyższą Szkołę Pilotażu, a także liczne kursy radiotelegraficzne, m.in. w Centrum Wyszkolenia Łączności w Zegrzu, Lwowie oraz Dęblinie. W 1939 r. wraz z grupą innych pilotów dostała się do niewoli sowieckiej. Przebywała w obozach w Ostaszkowie i Kozielsku. Była jedyną kobietą rozstrzelaną przez NKWD w Katyniu.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 26/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

Hit tygodnia

Porsche 911 Turbo S – piękne... i bardzo drogie

Porsche właśnie zaprezentowało najnowszą wersję 911 Turbo S (992). Cóż można rzec o tym, jakkolwiek patrzeć, ikonicznym wręcz modelu? Jest to najszybszy w historii model 992, rozwija maksymalną prędkość 330 km/h, do setki potrzebuje 2,7 s (co prawda z pakietem Chrono Sport), a do 200 km/h – 8,9 s. Silnik o pojemności 3,8 l ma moc 650 KM, maksymalny moment obrotowy zaś to 800 Nm. Nowe porsche będzie dostępne jako Porsche 911 Turbo S Coupé i Porsche 911 Turbo S Cabriolet. Jeśli chodzi o ceny, to na polskim rynku wyniosą odpowiednio: coupé – 1 077 000 zł, a cabriolet – od 1 143 000 zł.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Kolejny salon motoryzacyjny zostaje odwołany, tym razem w Paryżu. Choć był zaplanowany dopiero na październik, organizatorzy zdecydowali, że odbędzie się w innej niż dotychczasowa formie, jednak jeszcze nie wiadomo w jakiej. W ten sposób paryski salon, który pierwszy raz został zorganizowany w 1898 r., dołącza do coraz dłuższej listy imprez motoryzacyjnych odwołanych lub przełożonych w tym roku.

Kia Motors Corporation ma nowego prezesa. Został nim Ho-sung Song, dotychczasowy szef działu operacji globalnych. Zadaniem Songa będzie realizacja „Planu S" – średnio- i długoterminowej strategii firmy, której celem jest stopniowe umacnianie się Kia Motors Corporation na pozycji lidera przemysłu motoryzacyjnego. „Plan S" określa strategię marki Kia oraz przejście do produkcji pojazdów elektrycznych i autonomicznych zamiast samochodów z silnikiem spalinowym. Do końca 2025 r. marka będzie oferować 11 aut wyłącznie elektrycznych. Dzięki tym modelom Kia zamierza osiągnąć 6,6-procentowy udział w rynku pojazdów elektrycznych na świecie (z wyłączeniem Chin) i jednocześnie zwiększyć do 25 proc. udział samochodów przyjaznych środowisku w swojej globalnej sprzedaży.

Czy wiedzą państwo, jaki samochód był najczęściej kupowany w zeszłym roku? Toyota Corolla. I nie jest to jedyny model Toyoty, który znalazł się w pierwszej dziesiątce. 10 najczęściej kupowanych na świecie modeli to w kolejności: Toyota Corolla, Ford serii F, Toyota RAV4, Honda Civic, Honda CR-V, Volkswagen Tiguan, Ram, Toyota Camry, Volkswagen Golf, Chevrolet Silverado.

Ośmiu ministrów do spraw transportu (w tym polski) wystosowało list do chorwackiej prezydencji, szefa PE i przewodniczącej KE, by w związku z pandemią koronawirusa zostały zawieszone prace nad pakietem mobilności (chodzi o przepisy dotyczące transportu drogowego). „Pilnie wzywamy do zawieszenia prac nad pierwszym pakietem mobilności do czasu zakończenia pandemii i ponownej oceny tego, czy sektor transportu drogowego będzie miał możliwości jego zrealizowania" – czytamy w dokumencie.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 7cf024e5c7

OPEC Plus, czyli naftowy traktat brzeski

Od jakiegoś czasu trudno oprzeć się wrażeniu, że rosyjski prezydent coraz częściej przegrywa podejmowane przez siebie batalie, zwłaszcza gdy jego ambicją jest okazanie rosyjskiej potęgi gospodarczej

JAN ROKITA

Tuż przed świętami zawarty został bezprecedensowy układ pomiędzy kartelem państw naftowych OPEC, przewodzonym przez Arabię Saudyjską, oraz konkurującą z nim grupą państw eksporterów ropy pod przywództwem Rosji. Oba bloki, najwyraźniej przerażone tym, co zaczęło się dziać na rynku naftowym, uznały konieczność administracyjnej redukcji wydobycia w ciągu najbliższych miesięcy o ok. jedną czwartą. Takiej zniżki produkcji ropy na skutek politycznej decyzji rządów państw eksporterów nie było nigdy, odkąd w 2016 r. po raz pierwszy Moskwa i Rijad, wraz ze swymi naftowymi aliantami, zaczęły porozumiewać się co do skali produkcji tego najważniejszego surowca energetycznego.

WOJNA CENOWA

Nowy układ OPEC Plus oznacza z jednej strony czasowe zawieszenie broni w wojnie na śmierć i życie o kurczące się rynki naftowe, jaką w marcu wszczął Władimir Putin i jego naftowi oligarchowie z Rosnieftu i Łukoilu przeciw saudyjskiemu księciu Mohammedowi bin Salmanowi, kontrolującemu państwowy koncern Saudi Aramco. Wojny, którą – jak się zdaje – Rosjanie zaczęli przegrywać na skutek bezpardonowych kroków podejmowanych przez Saudyjczyków, którzy (naśladując znane dobrze nie tylko nam w Polsce praktyki rosyjskie), tam, gdzie zależało im najbardziej na utrzymaniu się na rynku (np. w Chinach), gotowi byli politycznymi decyzjami obniżać ceny ropy do niesłychanego poziomu mniej więcej 10 dol. za baryłkę.

Z drugiej zaś strony kwietniowy układ OPEC Plus jest dowodem wspólnej porażki zarówno Kremla, jak i Saudów w ich próbie unieszkodliwienia amerykańskiej konkurencji na rynku naftowym. Od czasu kryzysu negocjacyjnego z 6 marca, gdy Putin – ku powszechnemu zdumieniu analityków rynku energetycznego – nagle wycofał się z negocjacji z Saudami, obie strony niedoszłego wtedy do skutku układu nie kryły nadziei, iż ubocznym i błogosławionym dla nich efektem rozpętanej wojny cenowej stanie się upadek opłacalności wydobycia ropy z łupków w Stanach Zjednoczonych. Od 2018 r. USA są największym producentem ropy na świecie, ale wydobycie z łupków jest nieco bardziej kosztowne niż tradycyjne szyby naftowe, zwłaszcza te na pustyniach Półwyspu Arabskiego. Ani w Moskwie, ani tym bardziej w Rijadzie nie przewidziano jednak chyba, że w ciągu marca największe gospodarki świata zachodniego praktycznie się zatrzymają na skutek lockdownu, zarządzonego przez władze ze względów sanitarnych. Po miesiącu okazuje się, że nie tylko Rosja (co oczywiste), ale nawet produkująca najtańszą ropę Arabia Saudyjska z trudem wytrzymywała wojnę cenową. Więc choć stronami obecnego układu są Putin i książę bin Salman, to rzeczywistym zwycięzcą negocjacji jest Donald Trump, który też (w swoim stylu) obwieścił natychmiast na Twitterze sukces Ameryki i „uratowanie setek tysięcy miejsc pracy

eprasa.pl 7cf024e5c7

w amerykańskim przemyśle energetycznym". Swoją drogą nie ma wątpliwości, iż nieformalna presja Trumpa wywierana na obie strony oraz formalne apele kierowane przez kongresmenów amerykańskich do sojuszniczej Arabii Saudyjskiej odegrały niebłahą rolę w doprowadzeniu do umowy OPEC Plus. Tak czy owak plan wypchnięcia Ameryki z globalnego rynku z pewnością spalił na panewce.

Co ciekawe, Trump otwarcie sugeruje w swoich tweetach, że poufne klauzule nowego układu idą znacznie dalej niż to, co 12 kwietnia – w Niedzielę Wielkanocną – ogłoszono publicznie. Oficjalna skala redukcji wydobycia przez oba bloki łącznie (saudyjski i rosyjski) ma wynosić w ciągu maja i czerwca nieco poniżej 10 mln baryłek dziennie (wobec ok. 100 mln dziennej produkcji światowej). W następnych miesiącach wydobycie miałoby być stopniowo zwiększane aż do końca roku 2021, do kiedy teoretycznie obowiązywać ma nowy układ. Taka kalkulacja bierze się z przekonania, iż w ciągu lata obecnego roku wywołany zarazą zachodni lockdown będzie zmierzać ku końcowi, konsumpcja ropy zaś tym samym zacznie się zwiększać. Ale już dziś wiadomo, że światowy spadek popytu na ropę jest niemal dwukrotnie większy od zaplanowanej w układzie redukcji podaży. Jeśli wielkie gospodarki zachodnie miałyby pozostać w stanie lockdownu przez dłuższy czas, skala zmniejszenia potrzeb naftowych, idącego w ślad za spodziewaną lawinową recesją, może się okazać jeszcze bardziej radykalna. Co więcej – stopniowe „odmrażanie" gospodarek przez rządy i tak zapewne nie przywróci popytu na ropę, skoro łatwo można przewidzieć, iż takie energokosztowne działy gospodarki, jak transport czy turystyka jeszcze długo nie będą zapewne powracać do „normalności".

UKŁAD

Ze specjalistycznych portali można się dowiedzieć, iż magazyny ropy w wielu krajach zachodnich są bliskie napełnienia. Mimo to Ameryka i Chiny, dwa gospodarcze supermocarstwa, mają przystąpić do nadzwyczajnego skupu ropy, aby pomóc zdjąć z globalnego rynku jej rosnące nadwyżki; Trump już zażądał od Kongresu na ten cel dodatkowych 4 mld dol. Większość ekspertów spodziewa się jednak mimo to, iż jeśli w ciągu maja–czerwca br. redukcje wydobycia będą na poziomie oficjalnie ogłoszonego układu, to ropy i tak ciągle będzie za dużo, jej cena zaś pozostanie bardzo niska. Niewykluczone więc, że tweety Trumpa znaczą tyle, że próbuje on wywierać presję na dalsze ograniczenia produkcji. Dla Ameryki może to być kwestia ekonomicznego przetrwania, w znacznej części opartego na łupkach, a rozwiniętego bardzo w ciągu ostatnich lat przemysłu wydobywczego.

Nawet bowiem w najbardziej optymistycznym scenariuszu, w którym po osłabnięciu zarazy, jak czasem po wojnach, nastąpiłby szybki boom gospodarczy, to i tak jego skutki dla rynku naftowego musiałyby być odłożone w czasie co najmniej do drugiej połowy 2021 r. A do tego czasu, podobnie zresztą jak w wielu innych działach globalnej gospodarki, mogą nastąpić mocne przegrupowania sił i zmiany na pozycjach rynkowych liderów.

Takie liczenie na zmianę liderów i nadmierna pewność siebie zaszkodziły jak dotąd najbardziej Rosji. Widać dziś jasno, że wywołanie w marcu przez Putina wojny cenowej było przejawem nieodpowiedzialności, biorącej się zapewne z nadmiaru wiary w rosyjską mocarstwowość ekonomiczną. Z naszej polskiej perspektywy bodaj najciekawszy komentarz do nowej umowy OPEC Plus pochodzi od Leonida Fieduna, rosyjskiego magnata naftowego i wiceszefa drugiego co do wielkości rosyjskiego koncernu naftowego Łukoil. Znany rosyjski portal informacyjny RBK zamieszcza wywiad z Fiedunem, zaczynając go od podstawowego pytania, czy w nowej umowie Rosja nie płaci aby nazbyt wysokiej ceny, jaką ma być redukcja wydobycia aż o jedną czwartą? (Dodajmy, że to ma być poziom redukcji wedle oficjalnego porozumienia, w wersji Trumpa musiałby on być jeszcze dużo większy). Wiceprezes Łukoilu odpowiada: „Ja bym tę sytuację porównał z traktatem brzeskim 1918 r., kiedy bolszewicy byli zmuszeni pójść na ciężki i upokarzający układ z Niemcami". Po czym tak objaśnia sens porównania obecnej umowy z Saudami do traktatu, w którym Lenin dla ratowania rewolucji zrzekł się na rzecz Niemców połowy europejskich terytoriów znajdujących się dotąd pod władzą cara: „Za 40–45 dni wszystkie magazyny ropy na świecie byłyby pełne, a po następnych 30–40 dniach Rosja musiałaby zamknąć szyby i wyprzedawać ropę po 15–20 dol. za baryłkę. Tymczasem nowy układ powinien uratować ceny na poziomie 30–40 dol. za baryłkę".

W pierwszych dniach po świętach cena owa oscylowała wokół 30 dol., czyli najniższego poziomu przewidywań prezesa Fieduna. A do tej kasandrycznej opinii człowieka bodaj najbardziej kompetentnego można tylko dodać, że w budżecie Federacji Rosyjskiej na rok 2020 założona cena ropy, od której zależy jego wykonalność, wynosi 42,4 dol. za baryłkę. A odkąd Moskwa zaczęła się umawiać z Saudami w 2016 r., poza krótkim intermedium roku 2017, ani faktycznie nie zmniejszała wydobycia, ani też nie traciła na cenie ropy. Przeciwnie, w latach 2016–2019 cena surowca wzrosła mniej więcej o połowę (z ok. 40 do 60 dol. za baryłkę). Na domiar złego w styczniowym orędziu Putin zapowiedział największy od lat pakiet świadczeń socjalnych, mających przełamać zły trend demograficzny i dać pomoc rosyjskim rodzinom.

PRZEGRANA SZARŻA PUTINA

Od jakiegoś czasu trudno oprzeć się wrażeniu, że rosyjski prezydent coraz częściej przegrywa podejmowane przez siebie batalie, zwłaszcza gdy jego ambicją jest okazanie rosyjskiej potęgi gospodarczej. Nie tak dawno Rosja musiała ulec Ukrainie, gdy idzie o ceny gazu, w obliczu przegranego procesu przed arbitrażem. Ostatnio doznała zaś spektakularnej porażki, musząc wycofać się z wszystkich gróźb energetycznych i żądań politycznych wysuniętych wobec Białorusi. Teraz Moskwa musi publicznie przyznawać się do karygodnego błędu 6 marca, gdy sama napędziła spiralę konkurencyjnej rywalizacji na rynku naftowym, przegrywając ją potem w ciągu kilku tygodni. I musząc podpisać upokarzający naftowy „traktat brzeski" dla ratowania własnych szybów i resztek budżetu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7cf024e5c7

Legalny smakowy dymek tylko z e-papierosa

Miłośnikom mentolowych papierosów został ostatni miesiąc legalnego i łatwego zaopatrywania się w swoją ulubioną używkę. 20 maja wejdzie na terenie całej Unii Europejskiej zakaz sprzedaży papierosów „smakowych" i tytoniu do skręcania. Oznacza to, że na rynku tradycyjnych papierosów zostaną tylko te o aromacie klasycznego tytoniu. Zakaz jest efektem dyrektywy unijnej sprzed sześciu lat. Badacze zjawisk społecznych zastanawiają się, jak zakaz wpłynie na zachowania konsumenckie

Zatroskani o zdrowie Europejczyków urzędnicy unijni z pewnością liczyli na to, że zakaz przyczyni się do masowego rzucania palenia. Tak też tłumaczono ideę, jaka mu przyświecała – papieros nie ma bowiem nikogo mamić nienaturalnym, często przyjemnym, np. właśnie miętowym, aromatem, ale ma cuchnąć spalanym tytoniem i rakotwórczymi substancjami smolistymi, by żaden palacz nie miał złudzeń, co wciąga do płuc. Czy miłośnicy mentoli rzeczywiście nie mieli wcześniej świadomości, że paląc, szkodzą swojemu zdrowiu i pozbawieni miętowego dymka rzeczywiście masowo porzucą swój nałóg?

PROBLEM DLA MILIONÓW

Z ostatnich szacunków wynika, że w Polsce nałogowo papierosy pali około 9 mln osób, z czego jedna trzecia wybiera właśnie papierosy mentolowe. Z badań przeprowadzonych przez Forum Konsumentów wynika, że połowa z nich nie ma świadomości, że 20 maja obudzą się w innej rzeczywistości. Niestety według badań ci, którzy wiedzą o wprowadzeniu zakazu, wcale nie zamierzają rezygnować z nałogu palenia. Część zamierza się przestawić na papierosy zwyczajne, a spora grupa respondentów „odważnie" zadeklarowała, że będzie próbowała się zaopatrywać w papierosy mentolowe pochodzące z nielegalnych źródeł, a więc przede wszystkim z przemytu. Takie wyniki nie napawają optymizmem. Ewentualny rozwój czarnego rynku mentoli stanowi oczywiście kłopot dla budżetu państwa, gdyż ogranicza wpływy z akcyzy, ale znacznie poważniejsze ryzyko wynika z zagrożenia dla zdrowia osób palących, gdyż produkcja i nasączanie tytoniu aromatami będą się odbywały poza wszelką kontrolą. Żaden palacz przemycanych papierosów nie będzie miał pewności co tak naprawdę wciąga do swoich płuc.

Co zatem zrobić 20 maja, gdy nie potrafimy się obejść bez palenia i to bez palenia mentolowego czy też o jakimś innym aromacie?

Poza dyskusją najsłuszniejsza wydaje się rada, by skorzystać z okazji unijnego przymusu i raz na zawsze pozbyć się nałogu, podejmując z nim skuteczną walkę. Wiadomo jednak powszechnie, że są osoby, które nie znajdą w sobie dość sił, by kiedykolwiek rzucić palenie. To właśnie oni powinni poważnie rozważyć alternatywę, jaką oferują papierosy elektroniczne. Unia Europejska nie wprowadziła bowiem zakazu sprzedaży aromatyzowanych substancji podgrzewanych w urządzeniach do tzw. wapowania, czyli raczenia się dymkiem z e-papierosa.

Z badania Forum Konsumentów wynika, że 18 proc. aktualnych palaczy papierosów mentolowych deklaruje chęć dalszego zaopatrywania się

eprasa.pl 7cf024e5c7

Fot. www.hollandfoto.net/Shutterstock.com

w nie na czarnym rynku, a jedynie 16 proc. chce się przerzucić na mentolowe wapowanie. Z punktu widzenia profilaktyki zdrowotnej to bardzo niebezpieczna proporcja i dlatego warto przybliżyć palaczom zagrożenia, jakie wynikają z palenia wyrobów pochodzących z nielegalnych źródeł, a także zalety, jakie charakteryzuje porzucenie nałogu w wersji tradycyjnej na rzecz e-papierosów.

LEPIEJ NIE PALIĆ WCALE, ALE…

Chociaż żaden odpowiedzialny lekarz nigdy nie będzie zachęcał kogokolwiek do palenia jakichkolwiek używek, to coraz więcej badań klinicznych dowodzi, że palenie elektroniczne jest potencjalnie mniej szkodliwe od tradycyjnych form nałogu, a w przypadku zadeklarowanych palaczy, którzy nie chcą porzucić palenia, może ograniczać negatywne skutki dla ich zdrowia.

– W oparciu o wyniki badań e-papierosy szkodzą 100 razy mniej niż zwykły papieros, ale musi to być papieros, który poza nikotyną zawiera substancje dopuszczone do stosowania oraz obecne w produktach spożywczych i dopuszczonych do użytku. Ta mieszanka musi zostać podgrzewana w kontrolowanej temperaturze, nie większej niż 300 stopni – mówi Piotr Kuna, specjalista w dziedzinie chorób wewnętrznych i alergologii z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

W wypowiedzi doktora Kuny zwraca uwagę to, by decydując się na palenie e-papierosów, zaopatrywać się tylko w substancje w pełni legalne, przebadane, dopuszczone do użytku. W praktyce oznacza to po prostu zakupy w renomowanych sieciach oferujących liquidy nikotynowe, a nie bazarowe czy prywatne eksperymenty. O tym, że te drugie mogą się skończyć źle, świadczą przykłady ze Stanów Zjednoczonych, gdzie w ubiegłym roku nad rynkiem e-papierosów zaczęły się gromadzić czarne chmury po stwierdzeniu kilku przypadków poważnych uszkodzeń płuc, a nawet zgonów wśród osób młodych. Ze wstępnych analiz śledczych wynika jednak, że do powyższych wypadków dochodziło głównie, gdy urządzenia do podgrzewania liquidów były stosowane niezgodnie z ich przeznaczeniem. Palacze eksperymentowali z substancją o nazwie tetrahydrokannabinol (THC), która ma działanie psychoaktywne i pochodzi z konopi indyjskich. Amerykańskie doświadczenie jest kolejnym dowodem na to, że nie należy w przypadku jakiejkolwiek formy palenia korzystać z produktów pochodzących spoza legalnego obrotu. O tym, że warto promować takie podejście w społeczeństwie, przekonują także eksperci z Forum Konsumentów przy okazji wejścia w życie zakazu sprzedaży papierosów mentolowych.

– Mamy nadzieję, że wśród palaczy znajdą się tacy, którzy rzucą palenie, ale będziemy też namawiać, by nie korzystać z produktów z szarej strefy, bo te produkty mogą być bardziej szkodliwe, jest to nieuczciwa konkurencja i są to mniejsze wpływy dla skarbu państwa. Wskazujemy też alternatywy dla tych, którzy jednak nie będą chcieli rzucić palenia, bo na rynku są alternatywy, w postaci e-papierosów czy wyrobów podgrzewających tytoń, które nie będą objęte zakazem. Mamy nadzieję, że pomoże to konsumentom lepiej się przygotować do majowej zmiany – mówi Agnieszka Plencler, prezes Forum Konsumentów.

Warto zatem uświadomić sobie, że po 20 maja tzw. liquidy oraz podgrzewane wyroby tytoniowe będą jedynymi legalnymi alternatywami dla amatorów smaku mentolowego. Zatem zamiast kierować swój wzrok w stronę wyrobów pochodzących z przemytu, warto się przygotować do nadchodzącej zmiany, poszerzając swoją wiedzę o e-papierosach proponowanych m.in. przez globalne marki takie jak Vype.

Amerykańskie FDA (Agencja Żywności i Leków – federalny regulator na terenie USA) uznało wyroby bazujące na podgrzewanym tytoniu za właściwe dla zdrowia publicznego i lepszą alternatywę dla nałogowych palaczy. Wyroby z podgrzewanym tytoniem badali też polscy naukowcy z instytutu PAN, dochodząc do podobnych wniosków. Skuteczność e-papierosów jako lepszą alternatywę dla papierosów potwierdziła także Public Health England, rządowa instytucja odpowiadająca za zdrowie publiczne w Wielkiej Brytanii. Co ciekawe, jeden z najnowocześniejszych zakładów produkujących płyny nikotynowe do podgrzewania znajduje się w Polsce, pod Ostrzeszowem. Renomowani producenci bardzo dbają o to, by ich produkty były na bieżąco badane pod kątem wpływu na zdrowie użytkowników. Robi tak m.in. BAT, który przeprowadza w laboratorium badawczym w Wielkiej Brytanii różnorodne rodzaje badań nad e-papierosami i aerozolem z e-papierosów elektronicznych. Do tej pory przeprowadzono tam m.in. ponad 80 analiz chemicznych, 35 testów określających wpływ na komórki organizmu oraz 20 badań klinicznych. To m.in. ich wyniki skłaniają naukowców do stawiania tez o potencjalnie mniejszym ryzyku związanym z zastępowaniem tradycyjnych wyrobów tytoniowych e-papierosami. Palacze mentoli, pamiętajcie o tym, 20 maja już za miesiąc.

BZ

eprasa.pl 7cf024e5c7

Dla seniorów internet na trudne czasy

Okoliczności związane z pandemią zmuszają seniorów do pozostania w domu. Tak nakazuje odpowiedzialność za własne zdrowie i życie, ale także troska o najbliższych. Ten czas jednak nie musi być stracony. Dziś – dzięki internetowi – nasze relacje mogą rozkwitać, zwiedzimy świat palcem po... ekranie, pozostaniemy pod opieką naszego lekarza, w pełni skontrolujemy nasze finanse, a zakupy przyjadą prosto do domu

Na co dzień trochę szkoda tracić czas na świat wirtualny, gdy realny jest tak pociągający. To prawda, którą odkrywamy i doceniamy z wiekiem. Z wiekiem przychodzi również mądrość, która pozwala zachować zdrowy balans. Pielęgnujemy tradycyjne formy kontaktu, pracy, zakupów, korzystania z banku i innych usług, a także rozrywki, ale jednocześnie pozwalamy, aby w naszym życiu pojawiały się udogodnienia, które oferuje internet. Korzystamy z nich, nie wyrzekając się uroku tradycji. Jednak kiedy przychodzi konieczność, przenosimy swoje życie do świata wirtualnego.

INTERNET... ŁĄCZY POKOLENIA

Nie jest istotne, czy jesteś seniorem aktywnym w internecie, czy stawiasz w nim dopiero pierwsze kroki. Dziś, gdy tak ważne jest, aby stosować się do zalecenia #zostańwdomu, znajdzie się czas, aby rozwinąć swoje umiejętności. To również dobry sposób na pogłębienie relacji z młodym pokoleniem. Zwykle to ono czerpie z mądrości starszych, dziś jest okazja, aby się odwdzięczyć.

Pomoc seniorzy znajdą nie tylko we własnej rodzinie. Warto skorzystać z akcji przygotowanych przez różne instytucje. Należy do nich Bank Pekao, który chce pomóc seniorom w budowaniu nowego, wirtualnego wymiaru relacji społecznych, pokazując, że bycie samemu w domu nie musi oznaczać samotności.

OKAZUJMY SOBIE SOLIDARNOŚĆ

Wraz ze startem nowej kampanii edukacyjnej „Bierz Internet za rogi" ruszyła specjalna, wirtualna platforma oraz grupa dyskusyjna w mediach społecznościowych. Platforma „Strefa Seniora" oraz grupa dyskusyjna na Facebooku „Bierzemy Internet za rogi z Dancingiem Międzypokoleniowym" to nie tylko treści edukacyjne i informacyjne, ale też miejsce wymiany doświadczeń między pokoleniami, wzajemna pomoc i nawiązywanie relacji – zarówno między samymi seniorami, jak i między starszym a młodszym pokoleniem. W kampanię zaangażowali się popularni influencerzy i liderzy opinii, zarówno młodszego, jak i starszego pokolenia, m.in. Krystyna Czubówna, Jacek Kawalec, Marta Manowska, a także influencerzy, tacy jak Eliza_betka czy popularny w sieci Reżyser Życia.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 1/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

ZACZNIJMY OD PODSTAW

Tę zakładkę platformy „Strefa Seniora" stworzono z myślą o starszych osobach. Dzięki poradom tu zamieszczanym można wejść w wirtualny świat śmiało i bezpiecznie. Poznajemy tu możliwości internetu, terminy, które się w nim pojawiają, oraz najważniejsze informacje na temat surfowania po sieci. Uczymy się zasad bezpieczeństwa.

KWESTIE URZĘDOWE I FORMALNE

To szczególnie dziś istotny aspekt funkcjonowania w internecie. Obecnie coraz więcej instytucji umożliwia skorzystanie z obsługi online. To spore ułatwienie, oszczędność czasu i bezpieczeństwo. W tym dziale można się dowiedzieć, czego potrzeba, aby załatwiać kwestie urzędowe i formalne przez internet, jakie formalności można dopełnić online oraz w jaki sposób to zrobić. Zaczynamy od uzyskania... e-tożsamości, dzięki której możemy załatwić przez internet wiele spraw, które dotąd wymagały osobistej wizyty w urzędzie czy punkcie obsługi klienta.

ZDROWIE I MEDYCYNA

Wprawdzie seniorzy nie powinni wychodzić z domu, ale dzięki internetowi i odpowiednim narzędziom wciąż mogą pozostawać pod troskliwą opieką lekarza i korzystać z dobrodziejstw e-zdrowia. W tej zakładce nauczą się, w jaki sposób można skorzystać z porady lekarskiej, jak umówić się na wizytę lub uzyskać e-receptę. Ale to nie wszystko: tutaj również można nauczyć się, w jaki sposób zadbać o swoje zdrowie, ćwicząc w domu i dbając o dietę. Warto z tego skorzystać, zanim wrócimy do spacerów na łonie natury.

BANKOWOŚĆ INTERNETOWA

Rachunki, przelewy, oszczędzanie to nasze codzienne sprawy finansowe. Aby je załatwić, wcale nie trzeba udawać się do placówki bankowej lub na pocztę.

Dzięki możliwościom, które daje bankowość internetowa, wiele z nich załatwimy z domu. Jest to bezpieczne, proste i szybkie. Na platformie „Strefa Seniora" starsze osoby nauczą się, z jakich funkcji można korzystać i jak to zrobić. Kolejne instrukcje krok po kroku przeprowadzą ich przez wszystkie możliwości bankowości internetowej.

ZAKUPY W INTERNECIE

Internet to bardzo przydatne narzędzie, które można wykorzystać również do robienia zakupów w sposób szybszy, wygodniejszy, a nierzadko również tańszy. Te zalety liczą się zwłaszcza w czasach rozwoju epidemii, gdy dla własnego bezpieczeństwa lepiej nie wychodzić z domu. Aby robić zakupy bezpiecznie, warto nauczyć się za nie płacić online oraz wiedzieć, gdzie szukać opinii o produktach i sprawdzać ceny.

ROZRYWKA I EDUKACJA

Jak oderwać się od codzienności? Do tego również służy internet – nieprzebrane źródło rozrywki i informacji, dzięki któremu można miło spędzić czas lub nauczyć się nowych rzeczy takich jak choćby korzystanie z popularnych portali społecznościowych, wybrać ulubioną grę, czy oglądać filmy. To doskonały sposób także na naukę nowych języków i zdobywanie nowych zainteresowań. Na sytuację związaną z epidemią szybko zareagowały instytucje kulturalne, które udostępniły możliwość darmowego oglądania spektakli teatralnych, opery, koncertów. A nawet wirtualne spacery po najpiękniejszych zabytkach i cudach natury całego świata.

Kiedy minie epidemia, kiedy będzie można już opuścić domy – zrobimy to z wielką przyjemnością. Ale świat wirtualny, z którym się zaprzyjaźniliśmy, pozostanie już na zawsze naszym drugim domem i będziemy wracać do wygód, które nam oferuje.

Anna Raciniewska

eprasa.pl 7cf024e5c7

MAŁGORZATA TOMASZEWSKA PREZENTERKA TV

Jabłko na dobry początek

Jako dziecko uwielbiałam mortadelę. Chociaż... pierwszą rzeczą, jaką nazwałam, było jabłko. Mówiłam na nie „busio". Dostawałam je pokrojone w kosteczkę.

Tata (słynny bramkarz Jan Tomaszewski – przyp. red.) bardzo lubił przygotowywać mi jedzenie. Przeważnie były to talerze z różnościami. Takie dziecięce antipasti (z włoskiego przystawki – przyp. red.). Kanapki dzielił na małe kawałeczki. To był jego sposób. Dobrze się sprawdzał.

W dzieciństwie bardzo lubiłam makaron. Tylko z solą. Bez żadnego sosu. Jak trochę podrosłam, stałam się fanką marynat. Uwielbiałam w takiej postaci: cebulkę, ogórki, grzyby, czosnek... Dosłownie na kilogramy jadłam też przetworzone w ten sposób oliwki. I uwielbiałam salami, pozostając jednocześnie fanką mortadeli.

Z rodzinnym domem – jedzeniowo – najbardziej kojarzy mi się kurczak z rożna. Przyrządzony przez tatę. I nawet nie chodzi o sam smak i zawsze chrupiącą, zrumienioną skórkę kurczaka (tata był mistrzem w jego przygotowaniu), ale o to, że siadaliśmy razem do stołu. Tata często wyjeżdżał, więc te wspólne posiłki były dla nas naprawdę ważne.

Bardzo wcześnie się usamodzielniłam i wyprowadziłam z rodzinnego domu. Potrawą, którą najczęściej wtedy jadałam, był makaron z żółtym serem i keczupem. Wiadomo, studenckie gotowanie. Z czasem w mojej kuchni zaczęły się pojawiać dania orientalne. Trochę też dlatego, że moja mama zamieszkała w Dubaju. Jej dom jest teraz w Emiratach Arabskich. Kiedy ją odwiedzam, na stole pojawia się chlebek pita i przepyszne owoce, zupełnie inne niż u nas, pełne słońca... Jest humus, który bardzo lubię, i rewelacyjny sos czosnkowy, którego – mimo wielu prób – nie udało mi się odtworzyć w Polsce.

Teraz z mamą kojarzą mi się wschodnie smaki, ale wcześniej była dla mnie kulinarną mistrzynią polskich dań, m.in. kotletów – i mielonych, i schabowych.

Własne podróże przybliżyły mnie do włoskiej kuchni. W moim obecnym domu pizza i makarony goszczą na stałe. Z tym że muszę się do czegoś przyznać – dotychczas kupowałam na pizzę gotowy spód. Albo w sklepie, albo w zaprzyjaźnionej restauracji. W tej drugiej opcji ciasto było już tak przygotowane i wyleżakowane, że wystarczył zwykły piekarnik, by efekt w niczym nie ustępował temu z restauracji.

W dzisiejszej sytuacji może spróbuję zrobić ciasto do pizzy samodzielnie. Jest więcej czasu, no i mam w kuchni towarzystwo. Sadzam synka bezpiecznie za blatem i działamy. To znaczy ja działam, a Enzo (dwa i pół roku) mi pomaga. Oboje dobrze się bawimy.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Waldemar Kompała / TVP S.A.

Makaron w sosie serowo-śmietanowym z indykiem i suszonymi pomidorami

Do sosu: gotuję bulion warzywny (przy braku czasu używam gotowych kostek), dodaję 2 szklanki śmietany, suszoną cebulę (przyprawę) oraz starty ser. Sól, pieprz i chili do smaku. Sos zostawiam na małym ogniu, mieszając od czasu do czasu.

Wykonanie: gotuję makaron al dente, a na osobnej patelni podsmażam cebulę szalotkę i czosnek na złoto. Dokładam na patelnię indyka pokrojonego w kostkę. Na sam koniec dorzucam suszone pomidory. Po podsmażeniu wrzucam indyka z dodatkami z patelni do sosu dosłownie na minutkę. Makaron podaję posypany parmezanem.

Moja ulubiona pizza

Do sosu: miksuję dwa pomidory, kilka kawałków suszonych pomidorów, jeden ząbek czosnku, łyżkę oliwy (do smaku) i kilka listków bazylii. Doprawiam pieprzem (nie dodaję soli, bo jest już w kaparach).

Wykonanie: na gotowe ciasto rozprowadzam sos, dodaję żółty ser tarty. Na to pokrojony w plastry ser mozzarella, salami spianata, do tego różowa cebula pokrojona w piórka i czarne oliwki.

eprasa.pl 7cf024e5c7

SŁODKO-SŁONY

Jak elf

ANNA MONICKA

Gdy kwarantanna zaczyna drenować mózg, rodzą się czasem zabawne pomysły. Dziecko jęczy, że na śniadanie ciągle płatki albo lane kluski? Zrób mu niespodziankę.

Historia tego śniadania jest romantyczna. Oto zamknięty na dwa tygodnie w małym wypożyczonym mieszkanku przyjaciel, po wysprzątaniu kawalerki, podokręcaniu wszystkich śrubek i przeczytaniu kilku książek, zabrał się do eksperymentów w kuchni. Ze znalezionej w szafce mąki, jajka, odrobiny mleka, na suchej patelni, upiekł sobie placki zamiast chleba. Nie wiem, czy celowo, czy przez przypadek wyszły mu najprawdziwsze lembasy, chleb podróżny elfów. A przynajmniej ja tak sobie wyobrażałam to pieczywo, dopóki Peter Jackson nie narzucił mi swojej filmowej wizji.

My mieliśmy okazję popróbować wersji ulepszonej, gdy już wyszedł z kwarantanny. Tym razem mąkę dobrał starannie – pszenna z pełnego przemiału (dwie szklanki), jajko, trochę soli i cukru, łyżka śmietany (albo jogurtu), pół łyżeczki proszku do pieczenia, odrobina masła. Trzeba porządnie zagnieść ciasto, żeby się kleiło do rąk, ukręcić kuleczki wielkości orzechów włoskich, spłaszczyć je i piec na suchej patelni. Nie urosną oczywiście, ale będą miękkie, w smaku podobne do sucharów bieszczadzkich, tyle że bez kminku (ale można oczywiście trochę ziarenek dosypać).

Świetnie smakują ze śledziem, wędliną, wszelkimi pastami do pieczywa, jogurtem. Posmarowane miodem lub konfiturą zamieniają się w popołudniowe ciastko do herbaty albo deser.

Nie zjedliśmy wszystkich od razu, po dwóch dniach były już twardsze, ale wciąż bardzo smaczne. Ponieważ moje dziecko wciąż narzeka, że koronawirus odebrał nam inwencję w kuchni, bo na śniadanie wciąż to samo, postanowiłam córcię zaskoczyć.

Ze święconki zostało mi kilka jajeczek przepiórczych, które bardzo lubię, bo mają takie ładne naturalne wzorki, że nie trzeba ich malować. Ugotowałam je w koszulkach (delikatnie wbiłam na osolona wodę z octem) i podałam na lembasach z rzeżuchą. Córka zmiotła je w kilka minut i uznała, że po takim śniadaniu czuje się jak elf. Dla takiego komplementu warto się trochę pobawić w kuchni.

Fot. Archiwum prywatne autorki, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Łuskowiec i salangana

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jedna z hipotez próbujących wyjaśnić pandemię COVID-19 wiedzie do pangolinów, czyli łuskowców. Te frapujące, pokryte łuskami zwierzęta, wyglądające raczej jak gady niż ssaki (którymi są w istocie), mogą być pośrednimi nosicielami wirusa, przenosząc go od nietoperzy na ludzi. Sytuacja taka nie zaistniałaby, gdyby nie chińskie zamiłowanie do włączania do jadłospisu najdziwaczniejszych zwierząt.

Menu z odległych stron świata jest bardzo ciekawą lekturą dla przyrodnika. Menu chińskie szczególnie – zarówno z racji egzotycznej i różnorodnej przyrody tego kraju, obejmującej środowiska od śnieżnych szczytów Himalajów po tropikalne lasy, jak i z konieczności wyżywienia niezwykle licznej populacji ludzkiej, co wiąże się z traktowaniem wszystkich zwierząt jako potencjalnego pożywienia. Niektóre dania dają się jednak wyjaśnić tylko specyficzną chińską skłonnością do rozsmakowania się w osobliwościach.

Łuskowce, których kilka gatunków żyje w Azji, to rzadkie, skryte zwierzęta o nocnym trybie życia. Nie mają zębów, ich języki są niezwykle długie, robakokształtne i służą do chwytania termitów oraz mrówek. Kiedy w razie niebezpieczeństwa zwijają się w kulę, wyglądają jak smocze jajo. Oczywiście chwytanie i zabijanie pangolinów jest zabronione. Robi się to jednak na znaczną skalę, ponieważ ich mięso uważane jest za prestiżowy przysmak serwowany przez bogatych Chińczyków, by zaimponować gościom.

Kolejnym unikalnym stworzeniem jadanym w Chinach jest salamandra olbrzymia, największy płaz świata, o czym świadczy jej nazwa rodzajowa *Megalobatrachus*. Salamandry olbrzymie, masywne giganty o małych oczkach, spotykane rzadko w rzekach i strumieniach, dorastają 1,8 m (!) długości i ponad 20 kg masy ciała. O ile nie zostaną zjedzone, mogą żyć kilkadziesiąt lat.

Wiosłonos chiński – niech nazwa wystarczy za opis – to największa słodkowodna ryba Chin, dorastająca kilku metrów długości i co najmniej 300 kg. Była największa słodkowodna ryba Chin – ostatni osobnik tego gatunku, którego połowy liczono w dziesiątkach ton, widziany był ok. 20 lat temu.

Wielką popularnością od wieków cieszą się w Chinach zupy ze słynnych „gniazd jaskółczych", czyli ze stężałej śliny, z której budują gniazda salangany z rodziny jerzykowatych.

eprasa.pl 7cf024e5c7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Należy czekać

www.wojciechreszczynski.pl

Nieistniejący absurd, wykreowana głupota, wymyślona śmieszność, wydumany skandal to elementy propagandy opozycji

Jeszcze z podstawówki pamiętam, ile było śmiechu, gdy kumpel pytany, co jest cięższe – kilogram puchu czy kilogram gwoździ – odpowiadał: „Oczywiście, kilo gwoździ". Po tylu latach znowu mogę się śmiać, ale cierpko, bo z całkiem serio wypowiadanych tego typu totalnych głupot o ogólnopolskim zasięgu. A wszystko za sprawą Antonowa An-225, największego na świecie ukraińskiego samolotu transportowego, który dostarczył nam z Chin 80 ton materiałów sanitarnych.

Na początek polityk, prawnik, ekonomista, „działacz konserwatywny" Jacek Wilk: „Antonow An-225 może zabrać nawet 250 ton. 80 ton można było przewieźć o wiele tańszym samolotem. Oczywiście pisole powiedzą, że się czepiam – parę milionów w tę czy w tę, kto bogatemu (naszą kasą) zabroni". Myślę, że uczelnie Jacka Wilka – SGH i UW w Warszawie oraz Uniwersytet Erazma w Rotterdamie – mogą być z niego dumne. Od magistra idźmy wyżej w stopniach naukowych. Katarzyna Lubnauer, doktor nauk matematycznych, nauczyciel akademicki, polityk Koalicji Obywatelskiej: „Antonow 225, 80 ton to mniej niż trzy tiry. Czy każdy transport z polskich firm produkujących już teraz maseczki i inne środki premier też będzie witał z taką pompą?". Dla pani doktor matematyki takie pojęcia, jak masa, gęstość, objętość, ciężar, są – jak widać – trudne do ogarnięcia. Inny doktor, nauk technicznych, Maciej Lasek, były przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, ten, który skopiował raport rosyjskiej komisji gen. Tatiany Anodiny w sprawie katastrofy smoleńskiej, obrońca teorii pancernej brzozy, według której oderwała samolotowi skrzydło, obecnie poseł na Sejm RP: „No i góra urodziła mysz. Sto ton. Więcej przewiezie jeden An-124 lub trzy dreamliners w wersji pasażerskiej".

Według ukraińskiego przewoźnika ładownia samolotu była prawie całkowicie wypełniona załadowanym towarem. Maseczki, ochraniacze, fartuchy itd., wszystko z lekkich materiałów tekstylnych, bawełnianych, sztucznych o łącznej wadze 80 ton. Ale dla zaślepionej nienawiścią do władzy opozycji to za mało, gdyż samolot może udźwignąć nawet 250 ton. Skoro tyle nie zabrał, to dobra okazja, aby dowalić rządowi. Trudno polemizować z tym totalnym idiotyzmem, tak jak z totalnie zaczadzoną nienawiścią do PiS opozycją z jej tzw. autorytetami.

Zdumiewa brak podstawowego wykształcenia, elementarnej wiedzy i ten olbrzymi tupet, a raczej hucpa, która pozwala np. pani Kamili Gasiuk-Pihowicz wymazać z pamięci ponaddwumilionowy dług partii Nowoczesna względem skarbu państwa, za który bezpośrednio odpowiada jej mąż skarbnik, ale nakazuje jej wyliczyć kolejkę w Siedlcach do urny wyborczej, gdy dojdzie do głosowania korespondencyjnego.

„W Siedlcach do głosowania uprawnionych jest 59 577 osób. Przy zachowaniu bezpiecznego, dwumetrowego odstępu kolejka wyniesie 119 kilometrów". Ta pani dobrze wie, że w Siedlcach może być nawet do 40 obwodów głosowania, a nie jeden, z jedną urną. Ale nie o prawdę tu chodzi, tylko o dążenie do wywołania efektu kompromitacji obozu władzy. Im głupszy, im bardziej absurdalny będzie zarzut, tym lepiej. Zawsze ktoś się na takie kłamstwo nabierze, powtórzy, jak z tym lżejszym od kilograma puchu kilogramem żelaza.

Nieistniejący absurd, wykreowana głupota, wymyślona śmieszność, wydumany skandal to elementy propagandy opozycji. Mają powiększać społeczny chaos w walce ze znienawidzonym rządem, którego opozycja wbrew konstytucji nie uznaje, i to już piąty rok.

Dlatego nie jestem pewien, czy największym nieszczęściem są polskie feministki. Kobiety w służbie ideologii, która historycznie już dawno zrealizowała swoje postulaty, a dziś służy neobolszewickiej teorii i praktyce marksizmu kulturowego. Wśród mężczyzn popularne jest powiedzonko, że feministki to kobiety brzydkie i niekochane. Czy rzeczywiście to one zareagowały na rozpatrywany przez Sejm obywatelski projekt (zgłoszony przez prawie milion obywateli) ustawy „Zatrzymaj aborcję", zakazujący aborcji eugenicznej? Dla zaangażowanych w politykę feministek, równocześnie tzw. obrończyń konstytucji, oszalałych na punkcie zakazu zabijania „zlepku komórek", to kolejna okazja do ataku na PiS, rząd i prezydenta. Mają wsparcie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Jako symbol tego sprzeciwu wymalowały sobie na twarzy pojedynczy piorun, znak graficzny Hitlerjugend. Że też nikt, z „Gazetą Wyborczą" włącznie, nie powiedział im, że są durne, w jednym szeregu z nazistkami, faszystkami, antysemitkami, itd. Także TVN nie zaprezentował nic nowego na kolejną rocznicę urodzin Führera?

Reklama | 53/0320/F

eprasa.pl 7cf024e5c7

PRZEZ ŚWIETLIK

Leninów nam trzeba

Wiktor Świetlik

W „Domu z facjatą" Czechow pisał, że dobre wychowanie polega nie na tym, by nie oblać obrusa sosem, ale na tym, by nie zauważyć, kiedy zrobi to ktoś inny. W polityce jest dokładnie odwrotnie. Jak to jest, że nagle opozycji i jej socialmedialnej zagródce zaczął przeszkadzać 29-letni wiceminister finansów?

Radosław Sikorski, zostając wiceszefem MON, miał lat 29. Warto dodać, że na początku lat 90. To było trochę inne wojsko niż dzisiaj. Sikorski najwyraźniej sporo się nauczył, bo po latach, kiedy tam wrócił, ze zgorszeniem patrzył na prześladowania dzielnych oficerów z WSI ratujących losy świata, ba, nawet galaktyki, przed destrukcją ze strony pierwszego pisowskiego reżimu.

Także 29 lat miał Wojciech Olejniczak, gdy został ministrem rolnictwa w czasie, kiedy przeprowadzano kluczowe rozmowy dla przyszłych dopłat dla polskiego rolnictwa. Ale można powiedzieć, że on był nieco starszy, bo szlify wcześniej zbierał w Związku Młodzieży Wiejskiej, gdzie młodzieżowcy po 50. uczyli, iż człowiek ma tyle lat, na ile się czuje i ile akurat trzeba mieć, by dobrze zarobić.

Im – i nie tylko im – było wolno. A Piotrowi Patkowskiemu nie. Mimo tego że był przez kilka lat blisko Morawieckiego, doradzał mu i zarządzał jednymi z kluczowych departamentów. Ostatecznie facet, który przez lata był szefem jednego z największych banków, jest chyba w stanie ocenić czyjeś kompetencje w zakresie finansów? Ponad dwa lata temu media biznesowe opisywały Patkowskiego jako eksperta ze świetnym doświadczeniem, po doradzaniu w Instytucie Sobieskiego, mającego, wcześniej, podczas studiów, stypendium rektorskie.

Wydawałoby się, ale nie. Chłopak się nie nadaje. Wygląda – fakt – na dwa razy młodszego, niż jest, więc można się pośmiać. A do tego nie ma nic w CV, co by dawało mu odpowiednie kompetencje. Realne kompetencje. Ani ojca, prezesa nomenklaturowej spółki, ani dziadka ubeka, ani ciotki – właścicielki spółki polonijnej w latach 80., ani Ordynackiej, ani KLD, ani nawet pociotek nikogo stamtąd.

Jak ktoś taki może zostać wiceministrem? Absolutny skandal. Jedynymi godnymi ludźmi, by zarządzać polskimi finansami – nawet za sto lat – będą byli marksistowscy profesorzy, którzy w 1988 r. przeżyli cudowną przemianę. Najwyżej ich zabalsamujemy, jak Rosjanie Lenina, i kierować finansami będą z mauzoleum, nikogo innego godni nie jesteśmy.

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas

SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 7cf024e5c7

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Czekamy

Aleksander Nalaskowski

Dzięki wirusowi odkryliśmy, że w Polsce żyją również ludzie starzy. Dotąd niektórzy „Europejczycy" poznawali ich tylko po moherowych beretach, inni widzieli w nich staruchów otumanionych słuchaniem Radia Maryja, a jeszcze inni zbyt długo żyjących beneficjentów ZUS. Pomysłowi radzili „schowaj babci dowód", a jeszcze inni chcieli zagnać do roboty o kilka lat dłużej. Powszechna zmiana nastawienia, życzliwość wobec ludzi starych mam nadzieję, zagoszczą na dłużej i przełożą się na dalsze realne działania. Szkoda tylko, że to wirus musiał nam o tym przypomnieć. Kibicuję rządowi we wszelkich działaniach na rzecz najstarszych obywateli.

Telewizja pokazała kobietę, która ze szlochem opowiadała, jak to nie może się dostać do domu pomocy społecznej i spotkać z mamusią. Szkoda, że reporter nie zapytał, dlaczego swoją matkę oddała do przytułku.

Dowiedzieliśmy się, że Polacy potrafią być ofiarni, empatyczni i kompetentni. Złotymi czcionkami w naszej historii najnowszej powinniśmy zapisać wszystkich, którzy teraz pracują, bez wyjątku wszystkich. Na razie bowiem nie ujawniają się egoizm ani spychologia. Ale i to zapewne nie jest wieczne.

Wielu wieszczy, że świat po pandemii będzie wyglądał inaczej. Wprawdzie nikt nie jest w stanie powiedzieć jak, ale w dobrym stylu jest oczekiwać zmian. Obawiam się jednak, że abyśmy taką zmianę dostrzegli, to zamrożenie świata musiałoby potrwać naprawdę długo. Tak długo, aż się skończą rezerwy, aż rzeczywiście zacznie brakować żywności, energii, pieniędzy. I tym samym wszystko, co dotąd było ważne, stanie się zupełnie nieważne i godne wzięcia w cudzysłów. Aby nastąpiła radykalna zmiana, rzeczywistość musiałaby się wyzerować. Pewne symptomy widzimy. Na naszych oczach sport już przestał być towarem pierwszej potrzeby, odwołanie futbolowych rozgrywek czy igrzysk olimpijskich tak naprawdę nie zrobiło większego wrażenia. Sportowcy robiący pompki i przysiady w domu też już specjalnie nie rajcują. Wraz ze swą nieskończoną pychą wyparowały gwiazdy, także celebryci. Zniknęły teatr, kino i jakoś nie słychać tu lamentów. „Demokracja" uprawiana przez Parlament Europejski okazała się grą planszową, a „zamordyzm" Morawieckiego realnym ratunkiem i pomocą. Kościół staje się bytem niemal wirtualnym, a szkoła – skoro można ją zastąpić lekcjami online i programami edukacyjnymi – czasem straconym. Musimy to wszystko na nowo przemyśleć i tak naprawdę wrócić do korzeni, do samej istoty naszego życia wspólnego, istoty oskrobanej z grubej warstwy narosłych nadużyć, błędów, manipulacji i pospolitego kłamstwa. Takie skrobanie może być bolesne. Zdzieranie pychy bowiem boli.

Wykorzenieni ze świata sprzed wirusa będziemy skazani na ukorzenienie w świecie po pandemii. Wcale nie jest pewne, że będzie to lepszy świat. Deprywacja na skalę globalną może przynieść różne skutki. Na razie wychodzi z nas to, co dobre – solidarność, dyscyplina (wedle mnie powodowana nade wszystko strachem przed chorobą, nie zaś świadomością społeczną), zauważanie ludzi wiekowych, rodzinność. Ale nieuchronnie musi się ujawnić również to, co w nas złe, taka jest logika sytuacji ekstremalnych. Nicują rzeczywistość i nie robią wyjątków. I od tego zależeć będzie kształt przyszłego świata, a nie od tego, jak go sobie teraz wymyślamy. Będziemy jak rozbitkowie na wyspie bezludnej. Od czego będzie zależało: czy będziemy bohaterskimi rozbitkami z „Tajemniczej wyspy" Verne'a, czy morderczymi kreaturami z „Władcy much" Goldinga?

Na razie wirus wytworzył własny język. Niestety także jego fatalną odmianę. Już naprawdę nie da się słuchać o „zaopiekowanych" seniorach czy szpitalach „dedykowanych" chorobom zakaźnym. Na Boga, zlitujcie się nad polszczyzną! Zwłaszcza osoby publiczne nie powinny mówić językiem „wykształconych inaczej" ćwierćinteligentów. A wszyscy winniśmy używać słów w ich właściwym znaczeniu. Podoba mi się natomiast nazywanie wirusa zarazą. Bo to oddająca istotę rzeczy nazwa, bardziej niż pandemia. Bo to jest zaraza. Zabójcza, niebezpieczna i nieprzewidywalna i – last but not least – powoduje silne emocje. W nazwie pandemia nie ma ani strachu, ani uczuć. Karierę robi też określenie „wybory korespondencyjne". Notabene nie wiem, skąd się biorą sondaże opinii, bo z kimkolwiek rozmawiam, wszyscy deklarują, że wezmą w nich udział. Nie dziwię się jednak obstrukcji i szkodnictwu marszałka Grodzkiego. Jego awersja do bezgotówkowych kopert jest na wskroś zrozumiała.

Język to także sposób komentowania wydarzeń. Odnoszę wrażenie, że codzienne komunikaty o liczbie zachorowań i niestety zgonów stały się jak prognoza pogody. Są już standardem, a tym samym chyba znieczulają. Niekiedy też można odnieść wrażenie, że to namiastka zawodów sportowych. Ile nowych zachorowań, ile zgonów, jaki wynik? Ale czy istnieje jakiś język albo retoryka, które oddawałaby należycie nieszczęście chorych, ich rodzin, dramaty i wysiłki ochrony zdrowia?

Cóż, działajmy, ale ze świadomością, że natura może z nami zrobić to, co zechce. A co zechce, to się dopiero dowiemy.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Dzień prawdy sędziego Tulei

Jerzy Jachowicz

Fundacja Wolne Sądy oraz Stowarzyszenie Sędziów Iustitia mają nie lada kłopot. Organizacje te w wyniku przykrych okoliczności zostały zmuszone do zawieszenia planowanych na 16 maja uroczystości wręczenia sędziemu Igorowi Tulei dorocznej nagrody obydwu gremiów: Sędzia Roku 2019. Zwykle uroczystość odbywała się w marcu. Pandemia koronawirusa spowodowała, że zdecydowano się zorganizować ją w połowie maja.

Przyczyną zawieszenia ustalonego terminu uroczystości jest – mówiąc najkrócej – niepokojący stan psychiczny laureata. Początek reakcji na pandemię nie zapowiadał wstrząsu, jaki dokonał się w mentalności sędziego Tulei. Zaczęło się od typowego utyskiwania na różne niedogodności. A to, że dręczy go nuda, więcej niż zwykle pali, żyje marzeniami, by stanąć na brzegu morza, poczuć chłód wody i nieograniczoną przestrzeń.

Niewytłumaczony przełom nastąpił na początku Wielkiego Tygodnia. Bodajże we wtorek na swoim Twitterze sędzia oświadczył: „Popieram korespondencyjne wybory prezydenckie w dniu 10 maja, bo szanuję konstytucję". Niezrażony hejtem, jaki wylał się na jego głowę, w kolejnym tweecie zadeklarował: „Zagłosuję na Andrzeja Dudę. Zasłużył na to pierwszą kadencją". Środowisko prawnicze, a i opozycja polityczna oczekiwały na kolejny wpis, w którym Tuleya oświadczy, że żartował. Zamiast tego ku swojemu zdumieniu przeczytali: „Konkurenci Andrzeja Dudy nie zasługują nawet na miano kandydatów". Fakt swojej szokującej przemiany politycznej potwierdzał mediom lewicowym.

Krzepiąca wiadomość, jaką podają organizatorzy uroczystości, jest taka, że sędzia Tuleya sam poddał się psychoterapii. Oraz taka, że trafił pod opiekę jednego z najwybitniejszych fachowców, prof. Mariana Opani, szefa Kliniki Psychiatrii Politycznej. Nie najlepiej jednak wróży diagnoza profesora, iż przyczyną przypadłości jego pacjenta jest „wybuch nieokiełznanych uczuć do niezidentyfikowanej postaci, zaimplementowanych w osobę prezydenta Andrzeja Dudy".

Fanom sędziego Tulei, do których należę, pozostaje tylko czekać na dzień prawdy – dzień wyborów.

CO MNIE ZASTANAWIA

Nasze dzisiejsze Westerplatte

Katarzyna Łaniewska

2 kwietnia minęła 15. rocznica śmierci św. Jana Pawła II. Telewizja publiczna przypominała fragmenty pielgrzymek polskiego papieża do ojczyzny i słowa, które padały.

Najczęściej wspominane są te z pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego wypowiedziane pod krzyżem, na pl. Józefa Piłsudskiego o odnowie ziemi, tej ziemi. Ale każdy z nas nosi w sobie inne jego słowa. Na mnie wielkie wrażenie zrobiły te, że każdy z nas ma swoje Westerplatte, czyli każdy człowiek dźwiga w sobie jakąś odpowiedzialność, zadanie do wykonania, ciężar stawania w obronie innych, ciężar walki o wolność. Walki o przetrwanie, przezwyciężenie zła. To nasze Westerplatte. Często ja, stara i schorowana, przypominam sobie, że i ja mam swoje Westerplatte i muszę zwyciężyć, przejść je z honorem. Zapamiętałam również słowa Ojca Świętego o ojczyźnie, gdy napominał nas, że Polska to jest nasza matka. Nasi rodacy to nasze siostry i nasi bracia. Trzeba ich szanować tak jak rodzinę. Błagał nas, by zapamiętać jego słowa.

W tych niezwykle trudnych czasach jego słowa powinny nas obowiązywać. Mieliśmy doświadczenia wojenne, okupacyjne, stanu wojennego i inne. Ale te są nowe. Wszystko zawarte jest w jego słowach. Jaką one mają siłę! Powinniśmy pamiętać je i starać się wcielać je w życie.

Wiem z doświadczenia wojny, okupacji i czasu PRL, że Kościół zawsze był płaszczem pomocy. Tak jak Ojciec Święty chował pod swoim płaszczem małe dziecko – to zdjęcie obiegło cały świat. Kościół dawał nam siłę. Pielgrzymki do Częstochowy dawały siłę. Dziękuję panu prezydentowi, że tam się znalazł w naszym imieniu. Nie sądzę, że chciał się tylko pokazać – chciał się pomodlić na kolanach. Dźwiga na sobie ciężar odpowiedzialności za swój urząd, za nas, obywateli, za Polskę. Nie śmiejmy się z tego. Ja i wiele osób bardzo mu dziękujemy!

Wiem, że niewiele znaczą moje słowa, nie mam siły przekonywania. Moje felietony są tylko zbiorem moich myśli ale wiem, że są tacy, którzy je czytają, opowiadają innym i może przyznają mi rację. Idźmy więc za obowiązkiem każdego z nas, za naszym Westerplatte. Myślmy o tym, co św. Jan Paweł II chciał nam przekazać. Nie wstydźmy się łez i uśmiechów przy chwilach radosnych.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Rozłam kontrolowany

Czas epidemii jest także pogrzebem marzeń o zgodzie narodowej

Ryszard Makowski

Zastępy pięknoduchów śnią o Polsce różnorodnej mentalnie, ideowo, religijnie, ale pełnej wzajemnego szacunku. I takich współobywateli. I co ciekawe, taki moment był w nie tak odległej przeszłości. 10 mln członków Solidarności to nie fikcja, a kto pamięta tamten czas, wie, jak mocno byliśmy duchowo zbliżeni. Zdeptał to stan wojenny, a podział przypieczętowała III RP.

Wykreowano dwa plemiona. Lewackich beneficjentów systemu i pogardzanych przez nich ciemnogrodzian. Jak rzetelna była praca wielu, nie sposób nie użyć tego słowa, szubrawców, widzimy dzisiaj. W monecie kiedy spada na nas zaraza i najbardziej zawirusowany zdrowy rozsądek nakazywałby zwarcie sił we wspólnym interesie, mamy coś przeciwnego. Podział jest podsycany. Zamiast zawieszenia broni, opozycja nakręca atmosferę, tak jakby problem pandemii był wyłącznie rzeczą PiS. Rząd, działający w niezwykle trudnych warunkach, bo nie ma konkretnych algorytmów, jak postępować w czasie nieznanej dotąd opresji, znajduje się pod pręgierzem niezwykle surowych recenzentów.

Nawet 10. rocznicę Smoleńska sprowadzono do rozróby o wjazd prezesa Kaczyńskiego na cmentarz. Jaki z tego wniosek? Ano jeden podstawowy. Bez pozbycia się fejkmediów, jątrzących i perfidnie rozbijających jedność narodu, będziemy żyć w nieustannie wrzącej, nienawistnej rzeczywistości. Nie chodzi o zakaz krytyki. Jest jednak różnica między wytykaniem błędów a regularną nagonką. Czas się wyzwolić z medialnych zaborów. Innej drogi nie ma.

eprasa.pl 7cf024e5c7

Michał Korsun prezentuje: Stuhr-m do urn

Wycinki z przeszłości

Zamknięci w domach, jesteśmy skazani tylko na wirtualne podróże. Oto widoczek z Krakowa, zaczerpnięty z książeczki „Na ziemi polskiej przed wielu laty", wydanej w 1925 r.

„Wokoło dzielnicy Śródmieścia idziemy plantami, szeroką cienistą aleją. Dziś po obu jej stronach stoją wysokie domy. Niegdyś na miejscu tych plantów był mur mocny. Całe miasto otaczał. Cały dawny Kraków mieścił się w obrębie tych murów.

Tuż koło Krakowa za czasów Kazimierza założono inne miasta: Kazimierz i Kleparz, dziś dzielnice Krakowa. Przy końcu każdej ulicy, która od rynku ciągnęła się ku murom miejskim, była w musze brama, przez którą można było wejść do miasta. Przy bramie stała straż. Na noc bramy zamykano. Dziś tylko jedna brama została, na końcu ulicy Floriańskiej, brama floriańska.

Na rynku dwa budynki z czerwonej cegły wysoko wznoszą się ku niebu. Kościół Marjacki z jednej strony, ratusz z drugiej pobudowano strzelisto. Marjacki kościół to duma krakowian. Podczas gdy w wawelskiej katedrze schodzą się rycerze i dostojnicy, tutaj zbierają się kupcy i rzemieślnicy. Z dawnego ratusza krakowskiego zostało dziś jeno przypomnienie – wieża, po wiele razy przez pożary niszczona i na inny niż dawniej sposób odbudowana".

Ta epidemia kiedyś minie. A wtedy – koniecznie do Krakowa!

(mk)

Poeta dalej śpiewa

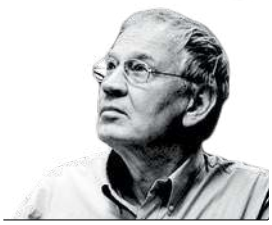

Wiersz napisany po śmierci Jacka 10 kwietnia 2004 r. Z czasem przytłoczył go ciężar innych spraw kwietnia. Wspominając, chciałbym go dziś na powierzchnię wydobyć.

Leszek Długosz

Na śmierć Jacka Kaczmarskiego

Ty nie triumfuj
Nie jesteś silniejsza niż być możesz...
Ten, który przed twą zaciekłością w popiół umknął
Dalej śpiewa

– Melodia się rozszerza, słyszysz?
Od serca do serca się przemieszcza
Słowa – w tysiącach pamięci się obwarowały
I struna niesie celnie
– Do Kolejnych trafia...

Skrzydłem czułości pieśń jednako bywa
I uderzeniem niżli pięść mocniejszym
Tak broni się, zwycięża – prawda
I która boli
I która zdobi

Żałosne twoje emblematy – czaszka, piszczel
Czarny proporzec niechaj nie łopoce
– Łup z dawna był wiadomy
Co twoje? – Twoje
Nic ci nie ujęto
– Na twoim terytorium nic nie uchybione
Nie jesteś jednak wszelką konsekwencją
I nie silniejszaś niż być możesz
Poeta dalej śpiewa
Śpiewa ponad ciebie
– O innej porze następna ręka
Ze strun go wywoła
Inna go krtań rozgłosi
Z popiołu kształt się znów odnowi
Po który ty nie sięgniesz
Nieszczęsna i Żałosna
Jednorazowa...

/ Kraków, kwiecień 2004 r. /

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 7cf024e5c7

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Czego nie widać z lotu ptaka

Często sądzimy, że prowadzimy samodzielną refleksję, a jedynie powtarzamy myślowe odruchy plemienne. To dotyczy wszystkich.

Tak naprawdę to zazwyczaj widzimy jedynie fragment, cząstkę świata, postrzeganie całych systemów społecznych – których częściami przecież jesteśmy – nie jest bowiem dla nas naturalne. Teoretycznie jest to możliwe, a nawet zdarza się w praktyce – systemowo patrzeć starają się przecież analitycy. Niektórzy wybitni politycy czy liderzy społeczni też to potrafią. Jednak ten typ percepcji nie jest zwyczajny ani pospolity. Trzeba się go mozolnie uczyć. Ale nawet najlepsi analitycy i liderzy nie są wolni od schematów myślowych, które są zakotwiczone w ideologiach ich wspólnot, w zbiorowej mentalności tych, z którymi się utożsamiają.

Każda ludzka kultura ma swoje „monstrancje" – znaki czegoś, co wykracza poza świat dający się obejrzeć pod mikroskopem

„Z LOTU PTAKA"

Tak nazywa się cykl felietonów na portalu Deutsche Welle autorstwa Urszuli Ptak, mieszkającej w Berlinie Polki. Publicystka ma inną perspektywę ideową niż środowisko tygodnika „Sieci". I czasem interesujące spostrzeżenia.

Jeden z ostatnich felietonów zatytułowała: „Lekcje z katastrofy". W tekście przebija autentyczna złość, iż to dopiero pandemia spowodowała, że należytego szacunku doczekały się zawody na co dzień niedoceniane, takie jak pielęgniarka, ratownik medyczny, lekarz, opiekunka społeczna. A potem Ptak pisze: „Czy Polacy zrozumieją, że chemia i biologia w szkole są ważniejsze niż lekcje religii? Kto nas uratuje: naukowcy pracujący nad szczepionką czy ksiądz idący ulicami z monstrancją i odprawiający czary?".

MONSTRANCJA I MIKROSKOP

Urszula Ptak stawia na naukę. Ufa, że to nauka da nam tę ratującą życie szczepionkę. Ale czy ma rację, przeciwstawiając monstrancję mikroskopowi w rękach badacza, sprowadzając religię do jakichś czarów? Naszym zdaniem to, czego Urszula Ptak nie pojmuje o duchowej i społecznej roli religii, tego samego, wbrew pozorom, nie rozumie też o roli nauki. Nie widzi całości. Nie widzi ukrytych społecznych powiązań i funkcjonalności.

Tak, świat człowieka jest przedziwny, gdyż tego, co najważniejsze, często nie widać. Jego systemowa natura wymyka się nie tylko naszym zmysłom, lecz także naszej pomysłowości.

Z PERSPEKTYWY SYSTEMU

I religia, i nauka działają w świecie sieciowym. Chociaż w inny sposób. I monstrancja, i mikroskop swe efekty przynoszą, swoje funkcje pełnią tylko w społecznym kontekście. W kontekście uwspólnotowienia rozlicznych jednostkowych wyobrażeń oraz instytucjonalnych powiązań.

Nauka może robić swoje tylko pod warunkiem, że społeczeństwo utrzymuje wielu, bardzo wielu uczonych, w tym tych, którzy przez długie lata zajmują się rzeczami dla mało kogo zrozumiałymi. Ale żeby społeczeństwo chciało i mogło finansować badaczy i całą instytucję nauki, to *najpierw* musi być społeczeństwem – wspólnotą przekonań, wyobrażeń, wartości. Bez tego żadnej nauki nie będzie. I nie może być. Bo dla kogo?

A skąd bierze się społeczeństwo, poczucie wspólnotowości? Solidarność?

Solidarność społeczna nie bierze się z odkryć uczonych. W ogóle ze światem wartości nauka sobie nie radzi. Taka solidarność bierze się ze *wspólnej* historii, z tradycji, religii, ze wspólnych symboli. Monstrancja kieruje myśli – i to nie tylko ludzi wiary – właśnie ku takim symbolom. Każda ludzka kultura ma swoje „monstrancje" – znaki czegoś, co wykracza poza świat dający się obejrzeć pod mikroskopem.

Z kolei odkrycie uczonego zadziała tylko pod warunkiem, że jest wplecione w nader liczne konteksty instytucjonalne – w interesy uczonych i w formy finansowania badań, w praktykę eksperymentalną nauki, w techniki wdrożeniowe, doświadczenia wielu inżynierów, procedury certyfikacyjne leków, w mechanizmy rynkowe. To tylko niektóre ogniwa społecznego systemu. Nie wszystkie dostrzegamy, nie wszystkie rozumiemy, nie wszystkie kontrolujemy.

SYMBOL JAKO FUNDAMENT

Monstrancja to nie czary. To symbol, znak, archetyp ważny dla wspólnoty. Jeden z tych symboli, które niosą społeczną ramę niezbędną do tego, by nauka działała.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 7cf024e5c7

Forum wGospodarce.pl

II edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

Platforma wymiany doświadczeń dotyczących budowy nowego ładu gospodarczego i lepszego zabezpieczenia strategicznych interesów Polski po epidemii oraz roli dużych firm w wyjściu z kryzysu gospodarczego

- **Zainicjujemy dialog** między największymi przedsiębiorstwami inwestującymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy** negatywne skutki oddziaływania koronawirusa na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy** możliwe scenariusze powrotu na ścieżkę rozwoju.
- **Zaprezentujemy** znaczenie obecności największych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na:

www.wgospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Rozwoju

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro

Coca-Cola

PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

AstraZeneca

Deloitte.

emitel

JTI

NOVARTIS

STRABAG

VELUX®

eprasa.pl 7cf024e5c7

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie

w kioskach!

Papież nadziei
Wspomnienie o Janie Pawle II w 100. rocznicę urodzin

Olimpiada przyjaźni
Przemyt, handel, balangi – Polacy w Moskwie 1980 r.

Bracia Węgrzy
Jak Królestwo Węgier straciło 2/3 terytorium po I wojnie?

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI
na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

- do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 7cf024e5c7